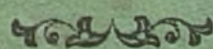
CZAS

Dodatek miesięczny.

ROK DRUGI.

Tom V — Zeszyt 13.

Styczeń.





KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU".

Styczeń — 1857.

IGNACEGO DOMEJKI

CZTEROMIESIĘCZNA PODRÓŻ

z Paryża do Chili w roku 1838.

Heu mihi, quia incolatus meus prolongatus est:
Ps. CXIX. 5.

Przedmowa.

Mój drogi Adamie!

Posyłam tobie dziennik mojej czteromiesięcznéj podróży z Paryża do Chili. Nie szukaj w nim ani dokładnego opisu krajów przez które przeleciałem, ani się spodziewaj spotkać z nowemi odkryciami, lub z czem bardzo ciekawem coby godne było ogłoszenia uczonemu światu. Nie miałem ni ochoty ni pretensyi do pisania *wojażu*: nie miałem do tego ni czasu, ni sposobu ni spokojnéj myśli. Inaczej urosł mój rękopism. Powodem do niego było, że cokolwiek mię zajęło, wzruszyło, podobało się lub zasmu-

ciło, zaraz po chwili stawaliście mi na myśli i brała mię ochota opowiadać wam, chwalić się z tego co widziałem; choć o tem już nie jeden przedemną *wojażer z professyi* pisał i drukował. Dla tego też nie wstydzę się pomieścić w tym dzienniku rysunków moich, chociaż wcale nie jestem artysta. Radbym się niemi odwdzięczyć Wrocławskim wydawcom za owe rysunki, któremi nieżałowali ozdobić *podróży dla dzieci*, a które pamiętam, szczególnie rysunki murzynów bardzo mię bawiły. Dla tego gdybyś chciał kiedy wydrukować mój dziennik, radbym żeby choć na okładce była wysztychowaną Teneryfa, a gdzie we środku, dla zaostrzenia ciekawości z parę murzynów i latającą rybę.

Niech cię też nie dziwi mój Adamie, że moje opisy tak są niewykończone i w wielu zdarzeniach o których wojażerowie tyle do mówienia, tyle do *deklamowania* mają, ja prawie nie znalazłem czém was zabawić, czem zastraszyć ni zadziwić. Łatwo się bowiem domyślisz, że ja wojażowałem rostargniony, mając głowę i serce za sobą, jeszcze dalej niż wy ode mnie byliście; i nieraz najcudniejsze, najwspanialsze widoki, najciekawsze przedmioty zamgliła mi myśl o kraju. Czytam w jednym z najnowszych wojażów jednego poczciwego Niemca, że on podróżny w wyprawie na wierzch Kordylierów, kędy i ja przebywałem, zbierał kwiaty, kamienie, przypatrywał się obłokom i przepaściom, czynił obserwacye, a na wierzchołku Cumbre czytał Szekspira, o którym mówi że był jego *immer neue Begleiter langjährigen Reisen.*

Dla tego to myśl wolna, spokojna, dała mu sposobność do opisania widoków i niebezpieczeństw, które ja niepostrzeżone minąłem. Ja niemiałem potrzeby wozić z sobą Szekspira; mój *immer neue Begleiter* będzie zawsze taż sama myśl o kraju, która ma co dzień coś nowego do przypomnienia, i we wszystkiem spostrzeże zawsze coś takiego, że zamiast o tém co mam przed sobą, myślę o rzeczach bardzo dalekich.

Nie polakowi wojażować, nie polakowi pisać woaże. Długo jeszcze o nas pisać powinni spokojniejsi ludzie, niż my o drugich pisać poczniem. Nie wojaż to ja zatem posyłam, nie piszę wojażu — ale jak jeden z naszych kollegów wyborny na podróżne nasze dyaryusze wynalazł tytuł, są to *Notatki szlachcica polskiego*. Jeśli ci się podoba je ogłosić zrób z niemi co zechcesz: zostaw wszystko co mierne, niedowcipne, chociażby nudne; wymaż co niemoralne: — bo jest to prawda, o któréj jeżdżąc po dalekim świecie przekonałem się, że zła książka i prędzéj i dalej zabieży niż zły człowiek i złemi książkami więcej rozbojów ludzie popełnili niżeli ogniem i orężem.

Coquimbo, dnia 23 stycznia 1839.

DZIENNIK PODROZY

z Paryża do Chili.

I.

Wyjazd z Paryża — Londyn — Fahlmouth.

Wyjechałem z Paryża d. 31 stycznia 1838 r. dyliżansem Lafite et Caillard o godzinie pół do piątej wieczorem, pożegnany na wsiadaniu od moich dobrych przyjacioł, dawnych sąsiadów, współpowietników, a teraz jak ja *wojażerów*. Płakałem w duszy, ale oczy były suche bo dokoła nas była gawiedź paryska i cudzoziemcy. Ostatni raz patrząc na gromadkę swoich, cały kraj stanął mi na myśli; chciałem coś do nich mówić, kiedy powóz zahuczał i niewiem jak przeleciałem stolicę.

Po drodze, żegnały mię jeszcze domowem wejrzeniem pola śniegiem okryte i słomiane strzechy Pikardyi. W Boulogne pierwszy raz w życiu obaczyłem Ocean.

2 lutego, w Święto N. P. Gromnicznej wsiadłem na statek parowy i wieczorem przypłynąłem do Duwru. Ta mała próba podróży morskiej zatrwożyła mię nieco: dostałem choroby i widziałem chorych. Niewiem nawet które z tego dwojga było gorsze; tak wyglądają brzydko, mianowicie kobiéty chore na okręcie.

Zapach ziemnego węgla, krzyk faktorów komora celna, zimno i zimne miny Anglików nie nader mile sprezentowały mi Anglią. Tegoż wieczora pięknym czterokonnym powozem ruszyłem do Londynu.

Noc była jak u nas koło gromnicy; mroz tęgi, śniegu tyle, że byłoby po czém kutemi saniami jechać, a konie biegły jakby pod feldjegrem. Około północy przelecieliśmy przez Cantorbery, miejsce wsławione żywotem Świętego Tomasza.

Druga biła, kiedy powóz zatrzymał się w Excheter. Zaproszono nas do izby. — Co za niespodziany widok o drugiej w nocy potężny stół zastawiony mięsiwem jak u nas na Wielkanoc. Była to wieczerza. Ogromne tusze pekenfleiszu, szynki tłuste, pieczenie, czyli tak nazwane rostbeafy, séry nakształt największych bab naszych i tympodobne specyały, z takim gastronomicznym wymysłem były porozwalane, z taką znajomością sztuki i żarłoctwa ludzkiego, że we drzwiach, już się znalazł apetyt. Przy tém, na dobrze rozżarzoném ognisku w kominie paliło się brzemie węgla stopionego już w ogromną massę; — uderzył w nią żelaznym rożnem służący, i jakby z kuźni jakiej buchnęło na całą izbę ciepło, przyjemne, miłe, i ogarnęło pospołu podróżnych i wieczerzę.

3. — O szóstej rano stanęliśmy w Londynie, wysiedliśmy na Strand i zaprowadzono nas do hotelu Osbornshotel na Adelfi, nie daleko małego teatru Adelfi.

Nie bez przyczyny zapewne ciężką i daleką podróż do Nowego lądu, Bóg mi pozwolił rozpocząć od widzenia najbogatszego i najporządniejszego miasta dziś na starym świecie; od widzenia ojczyzny John Bula, czerstwéj, rumianéj i tak zagospodarzonej jakgdyby ludzie dla tego tylko świata żyli.

Pomimo pięknéj pogody, która mi dała sposobność przypatrzyć się fizognomii miasta, nieobleczonego we

mgłę i dymy jak go malują; swąd węglowy tak mię był odurzył, że przez pierwsze dwa dni chodziłem jakby po nieschludnej kuchni. Czystość jednak, cichość niepojęta, dla tego zwłaszcza co z Paryża przyjeżdza, dziwny we wszystkiem porządek, zdrowy rozum, przemysł i pracowitość, uszanowanie prawa i bespieczeństwo znamienują Londyn i bardzo mi się podobały. Nie masz tu owéj ciżby garsonów, dekroterów, *kryerów* czyli krzykaczy i tysiącznych kuglarzy, spekulatorów, dowcipnych a natrętnych, którzy we Francyi gorzej węglowego dymu odurzają ludzi. Zamiast wrzeszczących donosicieli czegoś nowego po mieście, widać spokojnych ludzi niosących wysoko na kijach, wielkiemi literami pisane afisze, które każdy kto chce, może czytać. Tu nawet policja, jedyne miejsce w Europie, szanowana jest, porządna, nie napastuje ludzi i nic odrażającego ani w obejściu się ani w ubraniu swojem niema.

Nie mało może do téj cichości i porządku, i do nadania temu miastu jakiegoś właściwego jemu wejrzenia, przyczynia się wielość i rozdrobnienie prywatnych domów, brak wielkich hotelów i wielkich meblowanych oberż. Tu każda prawie familia ma oddzielny dom oddzielne wejście od ulicy, drzwi pięknie pomalowane, ale zamknięte; na których *knock and ring* napisano: co znaczy, żeby ci otworzono potrzeba i dzwonić i stukać.

Tak przynajmniéj nowa część Londynu po tylokrotnych pożarach odbudowana, urządzona jest i na klucz zamknięta. Szerokie ulice, szerokie place, ogrody czyli tak nazwane parki rozległe, żadnemi *zbytecznemi* kościołami (jak to niesłusznie ludzie staroświeckim miastom przyganiają) *niezakryte*; a przy tém, posągi admirałów i ministrów, niezliczone mnóstwo galonowanéj liberyi, pięknych koni i powozów odznaczają tu siedlisko wysokiéj arystokracyi. Reszta stolicy, stare miasto, i sta

re jego odnogi, nie ze wszystkiem ze starości swojéj, z wież zamków i kościołów odarte; potężne kramy, bazary, bank i las okrętowy na Tamizie; tak są nieprzebranem bogactwem towarów i wszelkich wyrobów kunsztownych zarzucone, taki ruch na tym świecie, taka rozmaitość ludzi, że prawdziwie, jesteś tu na rynku i jarmarku czterech części świata.

A gdzież gmin? pytał kiedyś Cesarz Aleksander;— Czyż tu zarówno wszyscy bogaci?— Żebractwo zabronione tu jest, nienawidziane, i gorzéj uczynków złych pogardzone.— Ale jakże prawo biednemu zabronić może łaknąć i pragnąć?— Podatek na ubogich temu zaradza, a tego podatku składają na rok do dwiestu milionów bogatsi — Wyborny sposób, toć prawie bez dobroczynności chrześciańskiéj obchodzą się tu ludzie?— Nie zewszystkiem, bo tego podatku niewystarcza na wyżywienie uboższych;— ale na to jeszcze inna rada: rząd zachęca do emigrowania, do osadnictwa, do dobrowolnego wygnania, a przytém byli ludzie, światli ekonomiści, co jeszcze sztuczniejsze wymyślali projekta.— Cóż znaczy ta kobieta w mróz na Picadilly z dzieckiem, łachmanami przykryta; nogi nagie, ręce powyżéj łokci obnażone, w kapeluszu słomianym; kłania się na wszystkie strony aż do paradnego bruku chyląc głowę i śpiéwa okropnie. Zimno i chrypka tłumią jéj fałszywą ale jakąś światową pieśń a dziecko biega od przychodnia do przychodnia, napróżno.— Ta kobieta nieżebruje, jest to śpiewaczka, a prawo niezabrania artystom ćwiczenia swoich talentów.— Cóż znaczy ta druga, staruszka, blada jak trup, trzęsąca się; patrzy litośnie w oczy, nie śmie prosić i ze strachem przyjmuje. A ciż drudzy, jak smutnie odbijają od massy silnéj i bogatéj. Strach wpatrywać się długo w przesycone czerstwością zdrowie tego pospólstwa, w tę rumianość *wieczerzy Exchester*, żeby w niéj nie odkryć więcéj owych zbolałych części

jak się nie raz wpatrując, widzi na zagrzanéj trunkiem twarzy półwiecznego człowieka zmarszczki i rozmaity zadatek wygodnego życia.

4.— Była niedziela, pozamykano kramy, i cichość większa niżli w dzień powszedni. Wiedzieć potrzeba, że w mieście tém, jak i po całéj Anglii, wszelkiego stanu ludzie, mężczyzni i kobiety, młodzi i starzy, wszyscy zarówno chodzą do kościoła i przykładnie w nim się znajdują. Trudno mi było dopytać się katolickiego kościoła: wszystkie bowiem kościoły z czasów katolickich obrządek protestancki dla siebie zabrał; wiele ich popaliło się w tylokrotnych pożarach, i dziś katolicy tutejsi do Hiszpańskiéj kaplicy chodzą na nabożeństwo, a mówiono mi że są jeszcze dwie mniejsze kaplice w dalekich częściach miasta.

O pół do dwónastéj rano kościół Śgo Pawła był już zamknięty; o trzeciéj po południu byłem w Westminsterze. Puszczano wszystkich *darmo*, ale ta część kościoła w któréj się dawniej lud modlił, była zamkniętą, bo w niéj leżą groby wielkich ludzi które się tylko za pieniądze pokazują. Dzisiejsze zaś nabożeństwo i lud dzisiejszy mieszczą się w dawnym chórze, miejscu, które dla duchowieństwa tylko i kościelnych obrządków było poświęcone. Ołtarz jeszcze, a raczéj miejsce ołtarza pozostało niczem niezajęte: i uważałem, ludzie czasu nabożeństwa wielokrotnie obracali się w tę stronę, nie wiem czy mimowolnie czy z przepisu. Ze wszystkich przytém zborów protestanckich, tu tylko i kościołowi Śgo Pawła zostawiono muzykę i śpiewaków, na co rząd, jak mi mówili Anglicy nieszczędzi kosztu. Nie był to dzień do przypatrywania się kościołom, kiedy się do nich ludzie na naukę schodzili; odłożyłem więc zaspokojenie mojéj ciekawości na jutro.

5.— Jakoż w poniedziałek wszedłem do kościoła Śgo Pawła o południu. U wejścia cztery pensy kazano mi

zapłacić: bo inaczéj nie puszczają nikogo. Ludzie pobierający pieniądze jedli obiad w kościele a wielu ciekawych przechadzało się po tym potężnym gmachu w kapeluszach z kijami.— Oprócz wielkości muru, wspaniałości i formy naszych kościołów, nic nie mówiło że to dom Boży. U wielkiego ołtarza, gdzieśmy nawykli widzieć Ciało i Krew Pańską, stoi ogromna statua, któregoś z wielkich ludzi Angielskich, po lewéj stronie Nelson, po prawéj Collingowood czy Northesk jeśli się nie mylę. Jakieś malowidła na kopule we mgle tonęły. Pod ogromnemi filarami świeciły świeże marmurowe figury, niedawno widać postawione; przypatrywałem się im; były to posągi walecznych ludzi: pod każdym prawie podpisano, że pobił francuzów. Nie mogę zataić, że kościół ten wewnątrz dwa razy mniejszym mi się wydał niżeli jego powierzchowność obiecuje. Szerokie czworogranne kolumny zakrywają część znaczną przestrzeni, ciężkie są i niemają w sobie téj śmiałości wysmukłych, wyniosłych filarów, któremi się tak pysznią dawne katolickie kościoły. Przy tem, dwoje potężnych ramion tego kościoła na podobieństwo Watykanu zbudowanych kryje się po bokach, i wewnątrz mało się przyczynia do wspaniałości gmachu. Rzecz dziwna, uparci przy swojem i wielce dbający o to, by znaku krzyża i żadnych powierzchownych znamion niezostawić kościołowi swemu protestanci, wybudowali sam kościół w kształt krzyża, zapatrzywszy się na stolicę apostolską któréj nielubili. Wiedzieć bowiem potrzeba, że dzisiejszy kościół Ś. Pawła jest na miejscu starego, który w 17 wieku spłonął, a miał 690 stóp długości i wieżę na 540 stóp wysoką. Dzisiejszy sto trzydzieści stóp krótszy, i z kopułą na czterysta siedmdziesiąt stóp wyniosłą, był wybudowany z podatku narzuconego na węgiel ziemny z czego się bardzo cieszy wydawca Camdena, mówiąc, że ten sposób budowania daleko jest lepszy od dawne-

go z dobrowolnych ofiar. — Zimno mi się zrobiło; marmurowa podłoga od wilgoci jakby wodą była polana; dreszcz mię przejął; rzuciłem raz jeszcze okiem na puste do koła ściany i wyszedłem.

Udałem się do Westminsteru. Po krótkim targu puszczono mię za dwa i pół szylingi. Nie mam ochoty ni pamięci opisywać pomników, z których się tak chlubią anglicy. Te groby bogate, marmury, srebrne i złote ozdoby, a pompatyczne napisy, prochem są obok jednéj kaplicy Henryka VII tak misternie, pracowicie, sumiennie i z taką pobożną wspaniałością wyrobionéj, że pisać o tém, byłoby największą pisarską zuchwałością. Jeżeli w architekturze jak we wszystkich sztukach pięknych jest *piękność* jedna, niezmienna, jednegoż dnia z człowiekiem, a może przed nim stworzona, ta piękność oblokła się tu w poważną koronę z kamienia, i sztukmistrz ją *w widzeniu* pochwycił. — Nic dotąd nie odmieniono w téj kaplicy; siedzenia nawet mnichów i kapituły, zciemniałe od starości zostawiono; wyrzucono tylko ołtarz.

Uderzony pięknością téj kaplicy i przypomnieniem wieku, którego była stworzoną, przechadzałem się, po królewskich grobach, z większą może obojętnością, niżeli zwykli je oglądać wojażerowie. Nie mogę jednak przemilczeć wrażenia, jakiego doznałem. W pośród kosztownych a niezliczonych pomników, jedynie pobożne, pełne prawdy i prostoty, chrześcijańskie, proszące o religijny ratunek, są grobowce książąt i panów katolickich, którzy w zbroi ze złożonemi rękami, mają wejrzenie sług i żołnierzy Bożych. W miarę jak się przybliżasz do nowszych, wyraz ten prawdy i pobożności rycerskiéj niknie. Henryk VIII, instytutor nowego kościoła, mówią, że tylko dla siebie zawarował nabożeństwo żałobne; — pozazdrościł go potomnym. Bogato na grobie, jakby na tronie swoim złożonéj Elżbiecie nie

zostawił nic artysta prócz dumy, cierpienia, zawiści, tych samych przymiotów, które tak wiernie oddał w swoim obrazie de la Roche, przedstawując śmierć téj królowéj. W istocie na widok jéj nagrobku, stanął mi na myśli ten obraz tak niepiękny z Luxemburgskiéj galeryi, który zapewne równie mógłby służyć za nagrobek Elżbiecie, jak ów kosztowny z marmuru. Od tego grobu oddziela na zawsze grób Maryi, ta sama kaplica Henryka VII tak piękna i pobożna, w któréj już dawno ucichły pieśni na pojednanie umarłych i przebłaganie Boga.

Idąc do coraz nowszych i nowszych pomników, tracimy z oczu prawdę, prostotę, wespół z pobożnością, a ukazuje się jakaś pogańska sztuka, boginie, nimfy, allegorye, obok przesady, suchości i fałszu. Nieco późniéj, wbija się do tego cmętarza czy galeryi rzeźbiarstwa, sztuka francuska, jakby na popsucie wielu pomników, których część znaczna mówi o zwycięstwach nad Francuzami. Odtąd, widzisz bohaterów udrapowanych, geniusze na pół obnażone, śmierć w płaszczu, czas z kosą, kupidyny i niewiedzieć bożyszcza jakie, a ani na jednym grobie Chrześcijanina, znaku Chrześcijanina. Nakoniec, jakby na okazanie do czego to zepsucie sztuki prowadzi, pokazano mi statuy z wosku wylepione, pomalowane, poubierane, które jakoby lalki jakie w tymże samym Westminsterze chowają, dla pokazania jak wyglądali za życia Nelson, kilku królów i królowych. W istocie, obszedłszy te nieme pomniki, na które tyle białego marmuru, a na napisy tyle złota wyłożono, ledwo sam sobie wierzysz, żeś przeszedł koło grobów Szekspira, Newtona i tylu sławnych i wielkich ludzi, których imiona byłyby natchnęły artystów czémś wyższem, piękniejszém; — gdyby nie duma i upór ludzki, które częstokroć w ludziach chcą widzieć coś więcéj niż ludzi, i oślepione wielkością, niechcą z niéj oddać dani Bogu,

od którego jedynie wszelka wielkość i piękność pochodzi.

6. — Nie wiele téż mam do powiedzenia o muzeach londyńskich. Najpiękniejsze dzieła, jakie w nich widziałem, nie były to rzeźby ani obrazy, ale sławne fossylia, czyli kopalne skielety ichtiosorów, plesiosorów, pterodaktylów i tylu innych zaginionych potwór, które z wielką sztuką i znajomością rzeczy angielscy geologowie ku wiecznéj pamięci odkryli i zachowali. Jest to rzecz godna widzenia, owi przedludzcy mieszkańce starego świata; patrząc na nie, czas stworzenia tak się przedłuża, jak się przedłuża przestrzeń, kiedy się okiem astronoma patrzy w nieskończoność światów. Ciekawe te zabytki dawnéj organizacyi zwierząt znajdują się w British muzeum, razem z kollekcyą minerałów, posągami świeżo z Grecyi przywiezionemi, zabytkami starożytności egipskich i wielu innemi ciekawościami. Na tem zakończę moje krótkie uwagi nad Londynem. Cóż wreszcie miałbym do powiedzenia o całéj świetności kupieckiego państwa, o liberalnym parlamencie młodéj królowéj, wojsku czerwono, bogato ubraném, kiedy wśród tego wszystkiego widziałem przyjaciół, towarzyszy moich w nędzy, tracących prawie nadzieję.

7. — Siódmego lutego wieczorem miałem iść na Drury Lane, kiedy p. Lambert wchodzi i donosi mi, że po jutrze rano odpływa z Falmouth do Brezylii przewozowy statek (packet-boat) na którym zamówione mamy miejsca. W godzinę byliśmy już w pojeździe i ruszyliśmy pocztą na całą noc do Falmouth. Nie miałem nawet czasu pożegnać naszych braci w Londynie, ani im donieść o sobie.

8. — W drodze przypatrzyłem się nieco Anglii, owym hrabstwom i poprzegradzanéj ziemi; porządnym domom i miastom zamożnym. — Nie dobra to jednak

rzecz podróżować pocztą; kraj cały przebieżysz i niemasz słowa do powiedzenia.

Późno wieczorem przebiegliśmy przez Plymouth, przez Devenport i przepłynęliśmy zatokę o świetle księżyca.

9. — O trzeciéj rano przybyłem do Falmouth w czas słotny i burżliwy. Oka zmrużyć nie mogłem. Jakaś gorączka mię ogarnęła na pożegnaniu z Europą. Siadłem do pisania listów. — Zaledwo po kilka słów napisałem do domu i do Paryża, kiedy dwókrotny wystrzał działowy ostrzegł nas, że okręt rozwija żagle. Okręt to był, o którym już wspomniałem.

O dziewiątéj rano wsiedliśmy do czółna i dopłynęliśmy do brygu Spey, na którym dano dla mnie i dla p. Lambert osobną izbę, bardzo porządną, i ze wszelką uczciwością nas przyjęto. —

PODRÓŻ MORSKA.

II.

Madera. — Wyspy Kanaryjskie.

9. — Natychmiast zacząłem ciężko chorować. Morze było burżliwe. Niemiałem nawet czasu rozpatrzyć się w urządzeniu okrętu i poznać pasażyerów (podróżnych).

10 — 13. — Przez cztéry dni okręt nasz był gwałtownie rzucany i po kilkakroć zrywała się burza. Nieznośna to rzecz ów ruch ciągły i powszechny, w którym wszystkie przedmioty, na które patrzysz zdają się przewracać, ludzie słaniają się, wszystkie ściany i pokrycie skrzypią niemiłosiernie, a wicher jakimś kozaczym gło-

sem świszcze po nad uchem. Odurzony byłem od huku fali która się rozbijała na pokładzie i przerzucała przez okręt. Żeglarze nasi mieli wiele pracy: bo wiatr był od zachodu i pędził na brzegi Francyi. Co chwilę zmieniano żagle, zwijano; ruch wielki był między majtkami i kapitan w kłopocie. Jednego dnia rano, burza zdawała się wolnieć, uciszać, oficerowie okrętu byli na dole, kiedy razem wszczął się rozruch na pokładzie, wybiegł kapitan, spostrzeżono wicher w obłokach, nakształt trąby idący na nas; — w okamgnieniu spuszczono wszystkie żagle i nieprzyjaciel minął nas szczęśliwie.

15. — Byliśmy na szerokość przylądka Finisterrae, a burza jeszcze nieustawała.

16. — Wiatr począł słabieć.

17. — Wiatr zmienił się. Wyszedłem po raz pierwszy na pokład. Morze było tak szalone, tak rozdrażnione od tylodniowéj burzy, że mi się w głowie kręciło, patrząc jak lekko okręt nasz puszczał się z fali na falę, jakby z góry na górę, i tylko pianę za sobą zostawiał. Zimno jeszcze było; niebo północne ociągnięte chmurami, płowe; kolor morza zielonawy.

19. — Minęliśmy szerokość Lisbony. Wiatr odmienia się, przeciwny.

22. — Znowu burza.

23. — O południu słońce wyjrzało z za chmury, żeglarze mieli czas poczynić swoje obserwacye. Znaleźliśmy się pod 35⁰ 34‘ S. G. a 14⁰ 34‘Dł. (na południk Londyński). — Tu nas pochwyciły wiatry południowe, przeciw którym długo się nasz okręt ubijał nim doczekaliśmy się pomyślnego wiatru w niedzielę zapustną d. 25. Skierowano okręt prosto ku Maderze.

26. — Burza i wiatr południowy odpędziły nas daleko z drogi.

27. — O godzinie 8 rano obaczyliśmy wyspę Porto-Santo.

Z razu było to coś bardziéj do obłoku niż do ziemi podobnego. Siwe, sinawe, szare massy podnosiły się z morza i mgłą omroczone były. W godzinę odmieniły się kolory, zarumieniła się góra, potem znowu ciemniejsze tło przybrała, daléj żółtawemi i fioletowemi skałami zaczęła przeświecać; — okręt biegł prędko a kłęby obłoków przeciągały między nami a wyspą.

O południu już całą wyspę z towarzyszkami swemi widzieliśmy jak na dłoni. Porto Santo górowała nad niemi; dwie małe przed nią Illeo de Serra i Pico Branco stały jak dwoje bliźniąt przed swoją matką, a na drugim końcu, od południa, podnosiła się z morza Illeo Bascho.

Słońce było ku zachodowi, kiedyśmy okrążali skały de Serra i wpłynęliśmy na piękną zatokę. Boki wysp wyniosłe, nagie i stromo zapadające, czarnemi, białemi i czerwonemi warstwami porysowane i pokręcone, mieniły się do zachodzącego światła; a grzbiety gór i cała pochyłość przypłaszczonéj wyspy pokryte były zielonością. W głębi zatoki widać miasteczko Porto Santo, jedyne na téj wyspie, z kilkadziesiąt białych domków złożone, nad któremi góruje piękny kościół. U portu stały dwa okręta, z których jeden z nawpół zwiniętemi żaglami a po nad miasteczkiem na wzgórzu kręciły się dwa wiatraki.

Wiatr był zachodnio-północny; nam potrzeba było płynąć ku południo-zachodowi. Że tego dnia niebespiecznie było wypływać z zatoki i morze między temi wyspami a Maderą na częstą burzę narażone, groziło czemś niedobrém dla naszych żeglarzy, uważny kapitan osądził za rzecz przyzwoitą rzucić kotwicę w tym porcie i czekać jutra. Dano więc rozkaz, skierowano okręt ku brzegom, a że wiatr był od lądu, szliśmy gzygzakiem, stawiając żagle bokiem do wiatru i obracając je to w prawo to w lewo. Co kilkanaście minut wszystkie razem

żagle odwracano na drugą stronę okrętu i okręt zwijał się w okamgnieniu. Żwawo i ochoczo krzątali się majtkowie, wielki ruch był na pokładzie, i cała wyspa ze swemi górami, skałami i samotną wioską obracała mi się na wszystkie strony wspaniale, jakby się pysząc z mego zadumienia.

Nieszczęściem noc zaszła, rzucono kotwicę i cała czeladź okrętowa zeszła na dół zapijać grogiem całodzienną pracę.

28 — O godzinie piątéj rano podjęto kotwicę, rozpięto żagle i w pół godziny wyszliśmy z zatoki na otwarte morze. Natychmiast obaczyliśmy Maderę. Ranek był piękny, pogodny, kapitan nam przyrzekał stanąć o południu w porcie Funchal. Ale się inaczéj Bogu podobało. Przez cały dzień, a była to popielcowa środa, to cisza, to wiatry zmienne zatrzymywały nas lub pędziły w stronę, dokąd iść nie chcieliśmy. Nie podobna opisać jak się odmieniają kolory i figury skał w miarę jak się przybliżamy do nich na morzu przy wschodzącem słońcu. Mgła przezroczysta odcieniała zachodnią część Madery, a z wierzchołka Pico de Ruivo dymiły obłoki i wiły się w czupryny. Cała wyspa w przecięciu od północy na południe była jakby jedna góra, któréj spadek od zachodu nieco stromszy niżeli od wschodu. Spady te czyli pochyłości boków tworzą kąty od 13° do 15° z liniją poziomu, co przechodzi znacznie pochyłość law wyrzuconych przez wulkany dzisiejsze i swobodnie płynących.

Zaledwo o południu mijaliśmy Porta de San Lorenzo; tu widać szereg skał nagich, które przedłużają wschodni koniec wyspy w ostry, podobny do starożytnego wodociągu mur. We wschodniéj stronie od brzegów Afryki, spostrzegliśmy trzy wyspy zwane Deserta, a które od żeglarzy dezerterami są przezwane, jakoby uciekły od głównego korpusu skał Madery. Wysepki te ciągną się

w linii prostéj jak ogromne wały, zupełnie puste, nagie, o brzegach pionowych, a na czele od północy widać odosobnioną skałę, w kształcie kolumny, podobną do dalekiego pod żaglem okrętu.

Skorośmy weszli między te wyspy a Maderę, wiatr ucichł, potem silnie zawiał od południa i po niejakim czasie znowu się odmienił. Żeglarze nasi w wielkim byli ambarasie. Słońce już zachodziło, kiedyśmy zatokę Machico i port Sta Cruz mijali. Miejsce to ma być niebezpieczne z powodu częstych burz i gwałtownych ciągów, między skalistemi brzegami Madery z jednéj strony a wyspami Deserta z drugiéj. Tu nas zachwyciła noc ciemna i deszcz ulewny.

(1. Marca). — Nazajutrz o godzinie 7 rano zawinęliśmy szczęśliwie do portu i miasta Funchal, stolicy Madery; a jak tam nasi żeglarze manewrowali przez noc całą, nie wiem.

Zatoka ta i port nie są wygodne ni bezpieczne dla żeglarzy. Najbardziéj się tu lękają wiatrów wschodnich, które okrętom na wielkiéj głębinie (20 do 30 sążni) jaka jest w téj zatoce niedają pokoju, zrywają je z kotwicy i pędzą na pobrzeżne skały. Z téj przyczyny większe okręta daleko zatrzymują się od miasta, zawsze są na ostrożności, i za nadejściem niebezpiecznego wiatru zmykają na środek morza.

Dla tego téż kapitan zapowiedział nam, że jeśli się mu uda załatwić swoje interesa, dziś a najdaléj jutro rano w dalszą puścimy się podróż. — Nie długo więc czekając na czółna i do wyspy dopłynęliśmy.

Mała forteczna, nie większa jak Nowogrodzki zamek, na bazaltowéj skale zbudowana stoi na straży, gdzie się wylądowywa. Po czarnych, bazaltowych schodach weśliśmy na górę, gdzie piękna wiosna, roskwitłe drzewa i zapach kwiatów powitały nas w piękny pogodny

ranek, tak piękny, jak nasze majowe. Roje czarniawych Portugalczyków, szyprów i rybaków kręciło się koło nas. Ich twarze trochę cygańskie, oczy żywe czarne, wiele imaginacyi i uczucia znaczące; ludzie urody średniéj, zręczni i łagodnego wejrzenia. Mała granatowa jarmułka z pąsową obwódką i w stérczący ogonek zakończona, na czarnych kędzierzawych włosach; biała koszula i płócienne po kolana spodnie, długie żółte bóty, kurtka na ramionach zawieszona i kij w ręku: oto cały ubiór tych wyśpiarzy, którzy wyobrazić sobie proszę dziwnie odbijać musieli dla mnie, pod pogodném i ciepłém niebem, od owych zimnych, ciężkich, rostbifem że tak powiem oddychających Anglików, ciepło i zapaśnie ubranych, których tylko co jeszcze, za śniegu, we mgle i węglowym czadzie zostawiłem.

Przyszliśmy do miasta wąską, nie wysokiemi domkami zabudowaną uliczką, wtenczas właśnie, kiedy dzwoniono na mszę. Idący przy mnie Anglik powtarzał z przekąsem, że ta uliczka niepodobna do Regent-street. W samém mieście jakaś dziwna ruchawość, żywość i rozmaitość. Dom do domu niepodobny, ulica do ulicy. Na placach kościoły niewielkie, ale dosyć starannie zbudowane z wulkanicznych skał czarniawych.

Chciałem natychmiast wybiedz na góry, ale grzeczność kazała dotrzymać kompanii towarzyszom podróży i kapitanowi. Wynaleziono Britishhotel i potrzeba jeszcze było z godzinę zatrzymać się przy herbacie i beafstiku, gdzie téż piérwszy kieliszek madery wypiłem za zdrowie moich przyjaciół.

Poszliśmy potém na owocowy rynek — Jest to rzecz bardzo przyjemna przybywającemu z północy widzieć raz piérwszy rynek owocowy z podzwrotnikowego kraju. Cytryny, pomarańcze, banany i mnóstwo owoców których nazwać nie umiem, rozłożone wpośród warzywa i ogromnych dyń, a po nad niemi, jakieś jagody i czer-

wony pieprz w kształcie paciorek pozawieszane, czyniły dla mnie obraz milszy i ciekawszy od całéj Regent-street mojego Anglika. Sniadawe twarze przekupek, czarne ich oczy i czarniejsze włosy, pięknie odbijały od zieleniny i złotawych owoców.

Skwapliwie biegłem widzieć pola rozkwitającą wiosną umajone. Miałem w kieszeni geologiczne młoty do próbowania skał o których wiele uczeni pisali; ale zaledwo wyszedłem z miasteczka, tak mię zajęła żyjąca natura, że na czas ochłonąłem z geologicznego zapału.

Wyspa Madera przedłuża się od północno-wschodniéj strony ku południo-zachodowi. Jéj korpus, wpośród którego ogromna góra Pico de Ruivo po nad wygasłemi kraterami sterczy, jest w północnéj części, a niejako ogon, część niższa i węższa od poprzedniéj, ciągnie się ku południowi. Od wyniosłego Pico de Ruivo rozchodzą się na około w promieniu doliny i parowy, jakby porozrywane szmaty ziemi od środkowego wulkanu. Z tych dolin najpiękniejsza rozszerza się stępując ku morzu i u stóp jéj leży Funchal. Nasypy wulkaniczne, popioły, lapille, żużle któremi się ta wyklęsłość napełniła usłały grunt bardzo żyzny, który działaniem powietrza, wody i przemysłu ludzkiego, ciągle się poprawia, żyźnieje i ogrodem jest na owe sławne winnice, o których któż pierwéj nie posłyszał niż o saméj Maderze? Idąc w górę od portu, na parę godzin pieszéj podróży stoi piękny kościół Najświętszéj Panny Nta Sa. del Monte, do którego lud pobożny we święta pielgrzymki odprawia. Droga do tego kościoła drobnemi kamykami wyłożona idzie przez same ogrody i winnice.

Poszliśmy tą drogą w górę aż do kościoła, a zeszliśmy inną doliną.

Część najcieplejsza, podzwrotnikowe rośliny zawierająca poczyna się tuż po nad miastem. Wyżéj nieco przemagają winnice, a po nad niemi mirtowe, cyprysowe

i kasztanowe gaje; — wyżéj jeszcze, sosny i niejedno nasze drzewo, śnieg i zima.

Jeszcze nie wyjdziesz z miasta, już liczne ogrody wysoko obmurowane, przepełnione zielonością, wyciągają z za parkanów długie liście bananowe i zaostrzają ciekawość. Z dziecinną rozkoszą wbiegłem do pierwszego ogrodu który znalazłem otwarty na pierwszem wzgórzu za miastem — Jakaż to wielkie różnica między cytrynowemi i pomarańczowemi drzewami, które tu na ziemi swobodnie rosną nieobcięte, nieostrzyżone; a owemi wazonami, które co wiosnę do Tuilleries i Luxemburgu wojażują. Drzewa te znalazłem owocami okryte, a co mię wielce bawiło, to widzieć pomarańcze i cytryny od wiatru na ziemi, obite i na murawie gnijące jako jabłka czy gruszki w gęstym a dobrze zagospodarzonym sadzie. Cytryny nieco zieleńsze, srebrem odbijały od żółtych pomarańcz i były to jakby jabłonie o srebrnych i złotych jabłkach a ja wpośród nich stałem jakby najmłodszy z trzech braci naszych dziecinnych bajek. — Biały kwiat przebijał przez pomarańczowe liście a czerwoniawy okrywał brzoskwinie i migdały; winograd poczynał się rozpuszczać, a drzewa z północnych stref stały jeszcze nagie.

Nad całą tą ogrodowizną, górowały tu i owdzie sterczące palmy, daktylowe drzewa i bananowe bukiety: najnowsza dla mnie znajomość — Aloesami grodzone po wielu miejscach żyworodne płoty; niezgrabne kaktuzy zarastały po za murami, jako u nas łopuch i pokrzywa; a przy tém ziemia usłana kwiatami; heliotropy, gieranium, hiacynty rosną tu dziko i kwitły rzęsiście.

Wszystko to było dla mnie tak nowe i piękne, że jakem powiedział, nie miałem czasu ni ochoty, przypatrywać się razem naturze mineralnéj, kamieniom i skałom. Wszakże, był to ciekawy bardzo grunt dla geologa; i kiedy odwróciwszy oczy od kwiatów i owoców,

wziąłem garść ziemi, lub odbiłem kawał skały, stanęła mi na myśli owa moc straszna, podziemna, która całą tę wyspę podniosła i massy potężne trachytów, bazaltów, żużli i popiołu wyrzuciła z pod głębokiego oceanu — Ten sam ojciec co tak bogato kwieciem i owocami obdarza dzieci swoje, straszną ma siłę! Nie jedna może podobna Maderze wyspa mogiłą kiedyś będzie nieposłusznym plemionom, które długo i niewdzięcznie używają nieprzebranych w swéj obfitości bogactw przyrodzenia.

Szliśmy w górę ku kościołowi zbaczając po drodze na prawo i na lewo. Dwa gatunki ludzi i dwa gatunki domów napotykaliśmy. Domy ozdobne, ale tak zewsząd obmurowane że do nich dostąpić trudno; drzwi malowane, brązowane, ale na zamek zamknięte, przypominające owe *knock and ring* londyńskie, były to mieszkania Anglików — Spotkałem jednego pod tém pogodném niebem, między ogrodami, w takiéj zupełnie posturze, tak czysto i przystojnie ubranego, z takimże zimnym spokojnym akcentem, jak owe podżyłe rantiery na Elizejskich polach, lub jak ciągnący przed latem do Szwajcaryi wojażerowie. — Drugiego starszego, który nas do swego ogrodu zaprowadził, spotkaliśmy wyżéj nieco. Miał już coś południowszego w sobie, rad był się podobać i bardzo się kochał w swoim ogrodzie. Miał na sobie długiego kroju frak, żółtą kamizelkę, kapelusz okrągły i buty ze sztryflami: znać że przybył tu jeszcze za czasów kiedy buty ze sztryflami noszono w Europie. Pokazał nam dwa gatunki kawy, która się mu bardzo dobrze udaje; na jednéj jagody były zielone, okrągławe, na drugiéj czerwone, większe i podługowatsze. Tuż rosło wysokie drzewo daktylowe i rozłożyste banany. Anglik dobrze się znał na kwiatach: jakoż byłoby czém napełnić dziesięć trephausów i oranżeryj z jego jednego ogródka. Przy tem laury i cyprysy pomię-

szane były w gęstwini z pieprzem, goździkami, figami, słowem z całą żyjącą bakalią.

Drugi gatunek domów i ludzi bardzo się różni od poprzedniego. Są to wyśpiarze, ubodzy. Domy ich zawsze otwarte, całe domostwo i dobytek tak wystawione na widok publiczny, że jednym rzutem oka zdaje się obejrzysz całą familią, jéj domowe życie i chudobę, co myślą i robią.

Wiele ludzi spotykaliśmy po drodze, znoszących drzewo z góry, lub idących po drzewo. Większe ciężary spuszczano na saniach. Kobiety niosły na głowach w pęki powiązane gałęzie; a między młodszemi, było wiele białych jak mléko, niewielkiéj urody, pięknych i skromnych. Między starszemi znajdowały się puste, wesołe i żartujące sobie z przychodniów. Z ubioru mało się różnią od Europejskich, wyjąwszy że na głowach noszą takież czapeczki co i mężczyzni, a na ramionach, jakby peleryny jakie, czerwone ze szlakami.

Liczne téż gromady dzieci grzały się na wiosenném słońcu, przy domach, i mimo ubóstwa, nie naprzykrzały nam się. Przewodnik nasz odarty, bosy a gawęda, jedząc śniadanie przy jednéj chałupie, dał kawał chleba dziecku, które w jednéj koszulce stało oparte o mur i spokojnie nam się przypatrywało. Dziecko to niechciało przyjąć chleba od przewodnika, aż mu powiedziano, że to my bogatsi jemu ofiarujemy; w tenczas, wzięło chleb i dziwnie pięknie ku nam spojrzało, z wdziękiem i przymileniem się; podniosło rączkę swoją do ust i pocałowawszy ją, opuściło i odeszło; a ze chciwości z jaką poczęło jeść widać było że głodne i ubogie.

Dochodząc do kościoła widać piękne źródła, które staraniem i kosztem bogatych Anglików, jak o tém dumne napisy wykute na kamieniach świadczą, z pobliskich gór były sprowadzone. U tych źródeł dziewczęta myły sobie nogi, bawiły się, śpiéwały, nie uważając bynajmniéj

na przechodzących. Dalej poczynają się piękne kasztanowe, orzechowe i z rozmaitych innych drzew gaje, pod któremi ziemia pierwiosnkiem była okryta. Spotkaliśmy tam wyśpiarzy niosących w palankinie jakieś paniątko tyftykami osłonięte, jak to ma bydź zwyczaj u bogatszych odbywania podróży w tym kraju.

Kościół Najświętszéj Panny *del monte* o dwóch wieżach, z głębokim przysionkiem na przedzie, na bazalcie i z bazaltowéj czy trachytowéj skały zbudowany, dosyć pięknéj jest architektury, a ma przed sobą wysokie wspaniałe wschody kamienne i taras żelazną kratą opatrzony. Wewnątrz, bogaty ołtarz N. Panny i drugi równie piękny po prawéj stronie od wejścia. Malowidła trochę nadpsute i wiekiem przyćmione zdają się bydź niezłego mistrza ze szkoły hiszpańskiéj. Ławek nie masz w kościele, mała tylko galerya z boku, dla bogatszych. Mówiono nam, że czasu odpustów lud bardzo się ciśnie do tego kościoła i nocuje po gajach.

Minąwszy kościół, wzięliśmy się na lewo, kędy w głębokim parowie szumi kaskada, a przy niéj niewielki młynek z kołem o pionowéj osi. Na drugiéj stronie parowu rozciąga się las i piękna majętność pana Gordon ajenta jakiéjś kompanii, który tu wielkim kosztem przyozdobił naturę, pobudował altany, pozasadzał drzewa, i zbankrutował. Wpośród nieokrytych jeszcze liściem drzew przebijały się zielone laury, mirty, cyprysy, a nad niemi panuje dziwnéj piękności cedr w kształcie baldakinu.

Schodząc nadół weszliśmy między chaty ubogich wyspiarzy, po większéj części ze trzciny zrobione i trzciną pokryte a w bogatéj gęstwinie rozmaitych krzewów, drzew i kwiatów pochowane. Nie widać tu ani zamurowania, ani złoconych drzwi angielskich. Każdy domek otwarty, ludzie uprzejmi, łagodnego wejrzenia, ochoczy do pokazania drogi, witający się z przychodniem.

Nie masz tu wykwintnych ogrodów, ale widać rozległe winnice, ponad któremi, jakby jakie siecie rozciągają się kraty, mniéj więcéj na łokieć od ziemi, dosyć starannie z cienkich tyczyn ulepione. Na tych się kratach zawieszają grona i latorośli winne, a pod niemi wiosną rośnie wiele warzywa: — widziałem piękny bób kwitnący jak u nas w sierpniu a obok niego wschodzącą zaledwie pszenicę, któréj tu nie wiele sieją.

Między temi chatami, są nieco porządniejsze, na kształt karczemek jakich, gdzie wino chleb i mléko przedają. Gospodyni pobiegła przynieść nam świeżego mléka. Wśród zieleniny i wiosny przypomniałem sobie młode dni, szczęśliwsze, kiedyśmy to w okolicach Wilna z przyjaciołmi zapijali mléko; i daleko odbiegła myśl moja od Madery, kiedy przyprowadzono żółtawą, gładką, brodatą kozę, a dobra kobieta jęła się do dojenia. Nie do smaku to było Litwinowi z bogatego w łąki i pastwiska, i zamożnego w trzody rogatego bydła kraju. Odbiegła mię ochota do mléka i poszedłem daléj.

W istocie, mało tu jest bydła, a to które się do uprawy roli używa, chude, i małe, konie téż małe, nikczemne; osły tylko i muły piękniejsze i staranniéj utrzymane niżeli w Bulońskim lesie lub w Montmorancy. Za to kóz wiele i domowego ptastwa, a ze źwierzyny, widziałam piękne gołębie siwe z opalowém gardłem.

Wróciłem do miasta po zachodzie słońca w bardzo przyjemny chłodek. Cała ludność miejska była na ulicach, na balkonach lub przechadzała się po nad brzegiem morza. Na wieczerzę dano nam wszelkiego rodzaju owoce, które, szczérze powiem, nie wiele co lepsze od naszych dobrych gruszek. Wieczorem o księżycu odpłynęliśmy do okrętu. Noc była cicha, morze spokojne jakby jakie jezioro, a za każdém uderzeniem wioseł, iskrzyły się po fali nakształt gwiazd od pogodnego nieba odbitych, elektryczne światełka, które w południo-

wych strefach dają się często spostrzegać i bardzo zadziwiają podróżnych.

W téj miłéj przechadzce, pan Lambert tylko mi towarzyszył; resztę kollegów znaleźliśmy przy grogu. Przepędzili oni dzień cały w oberży angielskiéj gdzieśmy ich zostawili i bardzo się im niepodobała wyspa: — *what a shamful country, what a dirty peopel;* — wszystko się im niedobrze wydało: wino za słabe, ulice za ciasne, księży za wiele, kobiety niepiękne, żebractwo, a beafsztyk niegodziwy. Szanowny kapitan zapijając tę recenzyą Madery powtarzał: *home, sweet home!* bo dla niego domem był okręt i z domem swoim podróżował.

Nie bez kamieni wróciłem do mojej kajuty: niespostrzegłem się prawie, jak probując skał dorywczo, napełniłem mineralami kieszenie. Z tego com widział niewątpię, że formacya tej wyspy należy do wygasłych wulkanów, podobnych tym, jakie przed rokiem miałem zręczność postrzegać w Auvernii. Główniejsze różnice w okolicach Funchal są nie wielkiej wagi. Bazaltowe skały zawierają tu wiele oliwinu, ale nieznalazłem angitu w kryształach ni żadnych eolitów lub innych jakich wulkanicznych minerałów. Bazalt dzieli się tu w rozmaitej wielkości ziarna, kule, i częstokroć w ogromne na parę łokci średnicy buły. Taż sama sferyczna budowa daje się widzieć w rozpadaniu się tych skał na proch, twardsze ośrodki zostają nietknięte, a sama massa w tłustą i urodzajną ziemię przemienia się. Oprócz tego rodzaju bazaltów, widziałem inny, dzielący się w tablice na parę i więcéj cali grube jako też zwyczajny bazalt graniastosłupowy. Ten ostatni zdaje się trzymać spodu góry i przykrywa w dolinie Funchal jakieś pokłady warstowane którym niemiałem czasu przypatrzyć się. Wielkie też widziałem massy tufu bazaltowego, żużli i popiołów, a w nich przemagać zdaje się pumex, który w Auvernii bardzo się rzadko napotyka. Z tych

wulkanicznych nasypów i wielokrotnych law utworzone pokłady mają wejrzenie skał warstwujących się jakby jakie utworu wodnego ławice; warstwy ich zaś częstokroć stromo podjęte, lub rozmaicie pokręcone dowodzą, że oprócz wulkanicznych wyrzutów, podobnych dzisiejszym na Wezuwiuszu i Etnie, cała skorupa wierzchnia uległa kilkakrotnie wstrząśnieniu, gwałtownym odmianom, i była od środkowych wulkanów podniesiona. Staranne bowiem poszukiwanie P. de Beaumort na dzisiejszych wulkanach i lawach poczynione, dowodzą, że wszelkie wyrzuty i wulkaniczne wylewy układają się w warstwy, których pochylenie do poziomu nieprzechodzi nigdy 6 do 7^0, i ilekroć nam się zdarza w dawniejszych podobnych tym nowożytnym pokładach spostrzegać warstwy czyniące z poziomem kąt rozwartszy niż 7^0 mamy powód do przypuszczenia, że te pokłady zostały podniesione siłą wewnętrzną, tegoż samego początku i źródła co owa, która je pierwej wyrzuciła i po powierzchni ziemi rozlała. Rzecz godna uwagi, że ogólne spady boków wyspy jakem już o tem namienił, te spady dziś zapewne znacznie już działaniem powietrza i wody, wyrównane i przypłaszczone, tworzą jeszcze kąt jakem powiedział przechodzący wszelkie pochylenia law swobodnie płynących; a przez to dowodzą, że wyspa ta utworzyła się nie przez same wyrzuty wulkaniczne ale i przez podniesienie całej skorupy ziemnej w sposób podobny temu jak się potworzyly inne góry na powierzchni ziemi.

Miałem nadzieję, że nazajutrz jeszcze pójdę między góry sprawdzać moje domysły i uczyć się. Ale się inaczej Bogu podobało. O godzinie 7méj rano wiatr pomyślny zawiał, podjęto kotwicę i z żalem pożegnałem Maderę.

2. — Przybyło nam dwóch podróżnych: jeden Brezylijczyk, xiądz, chory; drugi młody chłopak z Funchal

w mundurze milicyi tutejszej, rzucający ojczyznę swoję piękną, ojca i przyjacioł, by szukać szczęścia między obcymi. Ojciec jego, jak mi mówiono, stratny i zajęty dziećmi powtórnego małżeństwa, nie przyszedł nawet pożegnać na zawsze syna swego; i nikt z familii nie przyszedł go pożegnać, jedno młody jakiś jego przyjaciel, który go całował i płakał, aż mi się okropnie zrobiło. Ten młody, piękny wyspiarz nienależał do naszej kompanii, bo umieszczono go za pół ceny w przedniej połowie okrętu. Nie wolno mu było przechadzać się po naszéj połowie i nikt do niego słowa nigdy nie przymówił wyjąwszy xiędza.

Wiatr mocny i pomyślny rychło nas odpędził od Madery.

3.— Pod wieczór widzieliśmy już jakby we mgle Teneryfę.

4.— Zrana, jeszcze spałem, kiedy mię kapitan zawołał by pokazać piękne Teneryfy skały. Byliśmy już blisko wyspy. Wspaniałe urwiska od północno-wschodniéj strony odsłoniły mi ciekawe przecięcie tych wulkanicznych, w rozmaite warstwy porysowanych pokładów, na których czytać mogłem wstrząśnienia i nie jedną rewolucyą wyspy. Przerysowałem natychmiast jedno przecięcie, na którém widać było wyraźny obraz cząstkowego podniesienia wyspy w tém miejscu: — część niższa pokładu, warstowna, zapada w jedną i drugą stronę dosyć stromo (pod kątami więcéj niż 20° mającemi) pośrodku zaś od dołu w górę podnosi się massa szarawéj skały na prostopadłe graniastosłupy dzieląca się i wdzierająca między warstwy, które porozrywała, wygięła i podniosła.

Trochę daléj na południe, zdjąłem z natury drugie przecięcie, z tego względu godne uwagi, że tu wpośród warstującego się pokładu, pokręconego od ogniowych skał, widać żyły tych ostatnich przerzynające od dołu

do góry cały pokład i rozgałężające się w rozmaity sposób, i to na rysunku starałem się wydać. Warstwy pokładu, są to łoża law, i wulkanicznych nasypów (lapille, popioły, tuf wulkaniczny) w rozmaitych epokach złożone i powtarzające się: żyły zaś i massy poprzecznie je przerzynające są czarniawe, zbite bazaltowe lub im odpowiednie skały jak się to zazwyczaj w nowszych i wygasłych wulkanach spostrzega.

Wiatr był powolny, pomyślny, morze ciche, niebo czyste, błękitne; płynęliśmy wszystkiemi żaglami, a wyspa z poszarpanemi górami przesuwała się przed nami jako obraz w panoramie. Urwiste, wysokie brzegi czarniawe, żółte i purpurowe, od porannego słońca pożyczały blasku, a wierzchy wyspy, miały na sobie jakąś szarą zieloność, pochodzącą, jak mi jeden z mieszkańców Teneryfy na okręcie mówił od wielkiej obfitości kaktusów które tu rosną.

Ledwośmy minęli to drugie urwisko z którego owe przecięcie o bazaltowych żyłach przerysowałem, odsłoniły się przed nami zatoka i miasto Santa Cruz, a dalej ku południowi góry i po nad niemi sławny wierzch Teneryfy, *pico de Tenerife* na 11,420 stóp podniesiony, śniegiem pokryty.

Wiatr zwolniał; wsiedliśmy z kapitanem na czółno by prędzéj dopłynąć do portu; ale po chwili wiatr znowu zawiał, wróciliśmy na pokład i zawinęliśmy do portu o pół do 11 rano w pierwszą niedzielę postu.

Miasto Santa Cruz dosyć czyste, niewielkie, nie jest tak pięknie położone jak Funchal: bo wszystkie winnice, ogrody i żyzna część wyspy po drugiéj stronie leżą, od zachodu. Mało drzew, mało rozmaitości, okolice puste. Ulice małemi kamykami brukowane z podwójnym rzędem trotuarów, ale po wielu miejscach bruk trawą porosły. Domy bogatszych w kwadrat budowane, galerye wewnątrz dziedzińców. W pośrodku miasta stoi pię-

kny kościół, ozdobnie przybrany, w którym kilka obrazów chociaż miernego pęzla, jednak nie bez zalet co do prostoty i prawdy w wydaniu pobożności. Charakter szkoły hiszpańskiéj daje się spostrzegać nawet w najpospolitszych malowidłach, tak w tym kościele jako też w kościołach, które na Maderze widziałem:

Oprócz komory celnéj i innych publicznych budowli, które temu miasteczku nadàją wejrzenie miasta, widzimy tu plac po europejsku przybrany, a tém się szczególnie różniący od wielu londyńskich i paryzkich że zamiast posągów jakich wielkich jenerałów stoi na nim figura Najświętszéj Panny.

Lud w ogólności bardzo się różni od mieszkańców Madery; nie widać tu owych twarzy śniadawych, ale po większéj części lud biały, wysmukły, silnéj budowy, spokojnego wejrzenia i poważniejszy od Maderczyków. Przy tém ma bydź uległy prawu, pracowity i cierpliwy. Zamiast owych lekkich czapeczek z ogonkami, któreśmy na Maderze widzieli kobiety noszą tu na głowach kapelusze męzkie czarne, lub nieco mniejsze słomiane z pod których spadają im na ramiona i po niżéj pasa, białe welony zwane *mantelami*; suknie ich białe, długie i cały ubiór skromny i poważny.

Mówią tu wszyscy po hiszpańsku i należą niby do Hiszpanii, ale się po swojemu rządzą, niezależnie od codziennych odmian i rewolucyi tego kraju. Pytali się nas ciekawie mieszkańcy o nowiny z Hiszpanii: bo jak mi jeden z przedniejszych obywateli miasta powiedział, dwa już miesiące jak kuryer nie przybywa rządowy. „Nie wiele na tem tracimy rzekł Kanaryjczyk jednakże, wolelibyśmy żeby się już wojna skończyła, co nieprętko nastąpi jeśli nam nie pomogą Francuzi.“ — Pytałem się, czy zawichrzenia podobne tym które poróżniają ludzi w Hiszpanii, nie zawróciły kiedy głowy i wyśpiarzom? Na to mi rzekł, że tu było zawsze spokojnie, chociaż

nie brakło na umysłach polityką zagrzanych. „Mamy tu ich na oku i niepozwalamy podnieść głowy. Żołnierze nasi, są to obywatele, milicya; a i bez nich moglibyśmy się obejść. Mamy tu dobrego rządzcę, sprawiedliwego. Ludność na kanaryjskich wyspach przechodzi już dwakroć sto tysięcy. Lud pracuje, a właścicielom za nadto droga spokojność, żeby się Bóg wie o co kłócić, a broń Boże bić się.“

Nie długośmy gościli w tém mieście. W parę godzin po południu byliśmy już na okręcie. Kapitan kupił pięć beczułek mocnego wina Teneryfy, a było to wino bardzo podobne do Madery, tak że dobry nawet znawca nie odróżniłby tych win od siebie. Mnie się zdaje, jak to nawet kupcy w Santa Cruz mi mówili, że większa część win, które do nas pod nazwiskiem Madery przychodzą nie jest z Madery ale z Teneryfy. — A jako w zawiłych i ciemnych kwestyach często się dzieje, powstały zaraz partye na okręcie, jedni za Maderą drudzy za Teneryfą. Po długich dyskussyach, próbach i namysłach, ta ostatnia partya przemogła, bo za nią był kapitan pięć beczułek na pogotowiu: z tem wszystkiem wolność kontrowersyj nie crerpiała żadnego przymusu i częstokroć po Teneryfie wolno było do Madery apellować. — Rzecz niewątpliwa, że wszystkie wina na tych obu wyspach zaprawione są mocnym spirytusem lub francuską wódką; bez czego aniby się konserwować ani przewozu wytrzymać nie mogły. P. Parkinson, który z nami na Teneryfę przypłynął, agent jednego bogatego domu londyńskich winiarzów, mówił mi, że na zaprawienie win do tego jednego domu wychodzi 300 beczułek mocnéj wódki francuskiéj. Cała sztuka ma się zasadzać na dobrém wymięszaniu wódki z winem, tak żeby się wódka nie oddzielała i nie szła do góry. Zresztą, w rzeczy téj mają być bardzo biegli Anglicy, a jeśli w

Anglii mniéj teraz w modzie Madera i Teneryfa jak były dawniéj, przyczyną zdaje się być, że te wina, mianowicie Teneryfa za tanie są a może i słabsze od Porto, Xeres etc.

Kapitan spieszył dla tego, że wiatr mieliśmy pomyślny. Wiatr to już był *stały*, znany u żeglarzy angielskich pod nazwiskiem *Trade-Wind*, a od Francuzów nazwany *vent elisé*. Spotkaliśmy byli ten wiatr na pół drogi między Maderą a Teneryfą, ale żeglarze nasi zaledwie dziś rozpoznali, że rzeczywiście jesteśmy już na ciągu wiatrów stałych.

Jakoż pas ziemi, na którym te wiatry panują, poczyna się tu na kilka stopni przed zwrotnikiem i podchodzi prawie pod równik; tam następują cisze, a za równikiem poczyna się inny wiatr stały, którego panowanie rozciąga się aż pod drugi zwrotnik. Na. tamtéj stronie równika wiatr ten wieje od południo-wschodu, z téj zaś strony od północo-wschodu.

Ważny ten fenomen ciągów nieustannych w powietrzu ustanowiony jakoby na zbliżenie do siebie starego lądu z nowym, pochodzi jak wiemy, 1. od nierównego położenia ziemi względem słońca, przez co jéj powierzchnia nie we wszystkich szérokościach geograficznych jednostajnie jest ogrzana; 2. od tego powszechnego prawa na równowagę płynów, według którego powietrze umniejsza swéj gatunkowéj ciężkości przez ciepło, a przez to zimniejsze jego warstwy płyną od biegunów ku rozrzedzonej pod zwrotnikami atmosferze. Gdyby tylko dwie te przyczyny były w naturze, rzecz jasna, że wiatry stałe między zwrotnikami wiałyby od biegunów ku równikowi przy powierzchni ziemi, a ich kierunki byłyby przeciwne w wyższéj części atmosfery. Ale tu się przyłącza trzecia przyczyna, to jest: obrót ziemi *od zachodu na wschód*, w skutek którego częstokroć powietrze zdaje się nam być w spoczynku; dzieje się to dla tego, że w istocie powietrze kręci się z takąż samą chyżością koło osi ziemnéj, z jaką obracamy się my i powierzch-

nia ziemi w tém miejscu; — przypuścimy teraz, że ciąg zimniejszego powietrza płynie od biegunów z pewną siłą i chyżością ku równikowi; — cząstki te napotykając w swéj drodze ku równikowi coraz większą chyżość wirową, nie mogą od razu jéj być posłuszne, bo ulegają w jednymże czasie popędowi ku zwrotnikom i przynoszą z sobą chyżość wirową mniejszą od téj, która jest właściwą między zwrotnikowéj strefie. Przez tę opieszałość swoją cząstki te stawiają pewien opór nam i wszystkim przedmiotom, które się obracają chyżością większą od nich. Od tego oporu pochodzi wiatr, którego kierunek musi być przeciwny obrotowi ziemi — kręcącéj się jak wiemy od zachodu na wschód. Że zaś w tymże samym czasie też same cząstki powietrza pomykają się od biegunów ku równikowi, rzecz widoczna, że uległe podwójnemu popędowi, płyną w kierunku pośrednim, to jest od północo wschodu na północnéj stronie, a od południo-wschodu na południowéj.

Tak sobie rozbierałem w myśli przyczyny tego dobroczynnego wiatru, który nam wypełniał żagle i niósł je lekko po cichem morzu między kanaryjskiemi wyspami. Po lewéj ręce ciągnęła się po za horyzontem wyspa Kanarya jakby łańcuch gór nieco przymglonych; od niéj to inne wyspy wzięły nazwanie. Po prawéj od zachodu, przesuwała się powoli południowa część Teneryfy ze wspaniałą górą któréj się czas miałem przypatrzyć.

Sam wierzch góry zazwyczaj we mgle i obłokach, na ten raz białym śniegiem jaśniał w czas pogodny. Wierzch ten wysuwał się z za wyniosłego wału gór, które go otaczają, składa się wyraźnie z dwóch oddzielnych części. Najwyższa niewielka, jest jak ucięta głowa cukru, czerniawa, jakby z nagromadzonych u krateru żużli złożona. Druga pod nią mniéj spadzista, śniegiem okryta, ma formę kulistego odcinka i cała jakby po-

ryta pręgami skał czarniawych, które od góry rozchodzą się w kształcie promieni. Dopiero pod tą śnieżną, kulistą częścią, poczyna się wyniosły wał, zielonawy, w rozmaite formy z lekka powykrawany i od tego wału zniżają się we dwie przeciwne strony boki wyspy aż do samego morza. Cała ta wspaniała wyspa ze śnieżną głową i czarniawą czupryną swoją cudownie odbijała od błękitnego nieba; u stóp jéj zieleniły się fale, a na połowę wysokości lekką wstęgą bladawych obłoków była przepasana. Część wyższa, ponadobłokowa w coraz żywsze i rozmaitsze wpadała kolory od zachodzącego słońca, część niższa wcześnie zaczęła się mroczyć i przyćmiła się obłokiem. W tymże czasie z za południowego końca wyspy, pokazywała się przy horyzoncie *Palma*, sławna ze starożytnego na niéj krateru Caldera, mającego sześć mil ang. obwodu, a którego brzegi od 4000 stóp idą stromo w górę Cała wyspa ma być ze świeżych jeszcze law i wyrzutów wulkanicznych złożona, a wygasłe na niéj wulkany, budzą się od czasu do czasu, odpowiadając wybuchom na Teneryfie i Lancerote.

Nim zmierzchło, widzieliśmy jeszcze jednę wyspę na zachodzie: — Była to Ferro, przez którą geografowie od niepamiętnych czasów pierwszy południk prowadzili, pierwéj nim uczeni i o to się nie pokłócili i niepoczęli liczyć południków jedni od swego Paryża, drudzy od swojego Greenwich.

Z nadejściem nocy znikły nam z oczu Kanaryjskie wyspy; została mi tylko w myśli Teneryfa, któréj formę świeżo byłem przerysował z natury. Zmierzyłem był też, chociaż sposobem przybliżonym do prawdy, kąty pochyłości boków téj wyspy; i z tego mi wypadło, że część najwyższa, mały czarniawy ostrokrąg, miał do 40^{0} spadu od południa a nieco stromiéj pochylał się od północy: pod nim część śnieżna, kulista jakby wydęta,

miała boki z obu stron jednostajnie pochylone pod kątami od 20° do 22° z horyzontem; nakoniec sam wał górzysty, na którym ta góra stoi, i który się ciągnie przez całą wyspę, zapadał do morza pod kątami od 13 do 15°. Na pochyłości wschodniéj tego wału widziałem wiele ostrokręgów mniejszych, rzędami uszykowanych, które z położenia swego i formy zdają się być wulkanami pasożytnemi, zależnemi od głównego wulkanu (cones parasites-Beaumont). — Jakkolwiek to krótkie widzenie wyspy nie było w stanie dać dokładnych wniosków ni spostrzeżeń, tyczących się geologicznéj natury tego kraju, z ogólnego jednak wrażenia, jakie na mnie obraz téj wyspy zostawił, mniemałbym, 1°, że cała ta wyspa od podziemnego ognia podniesiona, ma we środkowej części główny krater podniesienia, (crater de soulevement), którego miejsce leży w kólistéj śniegiem pokrytéj części; 2°, że trzy główne części w ogólnéj budowie téj wyspy, wał niższy, część śnieżna i ostrokrąg czarny, są jakby trzy epoki w utworze wyspy i sposobie jéj istnienia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NEGOCYACYE ZE SZWECYĄ

O POKÓJ

1651 — 1653.

(Przyczynek do historyi wojen Szwedzkich)

I.

Stan sprawy poprzedni.

Sąd historyczny zmienia się u nas co lat niewiele. Jest znaczna różnica w poglądzie tych co przed dwudziestu kilku latami, a tych co w ostatnich czasach o historyi naszéj pisali. Wyjąwszy epokę Piastowską, do któréj za przykładem Lelewela z szczególną wyłącznością rzucono się, epoki, niemal wszystkie, naszéj historyi, inaczéj są niż dawniéj, w dzisiejszych książkach, broszurkach i artykułach przedstawiane i oceniane.

Jaka jest przyczyna téj zmiany, poglądu? Większa część ludzi zatrudnionych piórem ćwierć wieku temu

wyniosła z młodości swéj pamięć ostatnich lat ówczesnego stanu kraju naszego. — Z nieszczęść, których była świadkiem, obok głębokiego uczucia bolesnych kolei, wyniosła także przeświadczenie własnéj narodu winy i dążność do jéj zmazania. Byli to, przynajmniéj w znaczniejszéj liczbie, prawodawcy z roku 1791, którzy przerwane na ławach sejmowych dzieło prowadzili daléj, z osobna, ale w tym samym duchu, w swych pracach piśmiennych, w swych poezyach, dziełach historycznych, politycznych i t. p. O dawnych zatém czasach pisali jako ludzie, którzy znali je nietylko z książek, ale co ważniejsza, z praktyki życia codziennego, z doświadczenia i tradycyj narodowych. — Mieli oni nadto i tę korzyść, że za ich czasów, dzięki nagromadzonym w Porycku, Puławach i Warszawie zbiorom, był w pomnikach rękopiśmiennych dostatek źródeł historycznych, i tem bogactwem ubóstwo i suchość naszych kronikarzy, a czasem i nieznajomość źródeł obcych, zastępowali.

Te materyały, tak nieodzowne do poznania przeszłości każdego narodu, szczególniéj zaś naszéj mało piśmiennéj, zostały dzisiejszym pracownikom odjęte. — Co większa, skutkiem nagłéj zmiany stósunków, odebraną została żywa pamięć przeszłości, która, bądź co bądź, najczystszém dla historyka jest światłem i zaprawą jego krytyki. — Jéj miejsce zastąpiły opinie polityczne *dzisiaj* krążące. — Według nich poczęto tedy klassować tę szczupłą ilość faktów, których nam dzieła drukowane dostarczyły, i w ten sposób trzy lub cztéry wieki ubiegłe wciągnięto do polemiki obecnéj....

Pomnożyła się liczba publicystów; historyków nieprzybyło, nauka nic niezyskała. A gdy niebawem Mickiewicz na całą przeszłość naszą roztoczył sieć błyszczącą swych pomysłów, i łachmany często ubożuchne okrył purpurą swego geniuszu, miejsce historyi zajęła poezya historyczna: stworzyliśmy sobie dla własnéj wy-

gody, dla własnego wreszcie uwielbienia trzech ostatnich wieków pewnego rodzaju *dzieje bajeczne*. — W nich, jako na tradycyi, pomysłach i domysłach opartych, niema już prawie wypadku dosyć wyświeconego, niema sądu nieulegającego odwołaniu, nie ma podobno występku niedającego się jakoś usprawiedliwić; z nich każdemu wolno, co zechce, wziąść lub odrzucić. — Krążą po pismach bezkarnie dziwaczne, sprzeczne prawdzie twierdzenia; każdy ma w biurku nowe dokumenta, „które zupełnie odmienne światło na przeszłość rzucają.“ Nierząd i szlachecka swawola wkradły się na pole historyi a jak dawniéj niebyło u nas przy trybunałach egzekucyi aby gwałtowników karać i śmiałków trzymać w ryzie, ale każdy starał się żyć swoim dworem i licha nie wyzywać, tak i dziś niech się pokaże biedna ramota historyczna, wraz czołem bijemy „przed tak szanowną, przeszłości naszéj poświęconą pracą“; krytyka sumienna nie odzywa się wcale. — Podobnie jak niedawno temu jeszcze polityka dla wszystkich była u nas przystępną, i czy umiał kto czy nieumiał, dla zbawienia ludzkości miał w kieszeni gotowy system polityczny; tak dziś historya bywa miejscem popisu dla fantastów, i gorzéj jeszcze — dla niesumiennych zarobkowiczów! Poszło zatém, że mimo ogłoszenia niektórych źródeł historycznych, istotnie nowych i ważnych, historya ostatnich wieków niepostąpiła wcale od czasów Naruszewicza (*Chodkiewicz*) i Niemcewicza (*Zygmunt III*); owszem naszą historyo-polemiką tyle dokazaliśmy, że nawet fakta przez tych uczonych należycie wyjaśnione, dzisiaj oczom naszym ściemniały.

W ciągu niniejszéj pracy będziemy mieli zapewne sposobność dotknąć téj samowolności pisarskiéj, o któréj mówimy. Może zaś nigdzie nie jest ona tak widoczną, jak w przedstawianiu czasów Zygmunta III. Tu sprzeczności bez liku. — U jednych, monarcha ten był przyczyną upadku kraju, u drugich, on go uratował od zgu-

by. — Opowiadając ustęp jeden z historyi sporów szwedzko-polskich, sądzę iż pożytecznėm będzie wyjść z punktu, w którym wszczęła się ta kwestya, wypełniająca pół wieku naszéj historyi, a tak w skutkach nieszczęśliwa.

Między rokiem 1570 a 1580 zaczęła się w całéj Europie restauracya katolicyzmu. — Wiele jéj było przyczyn, główną: obudzenie się ducha religijnego w stolicy Chrześciaństwa. Od elekcyi Marcela II, rozpoczyna się na nowo epoka Papiéży gorliwszych o interes kościoła niż o włoską politykę; utworzono nowe zakony Teatynów i Jezuitów, i zamknięto tak długo przewleczone i tylokrotnėm zerwaniem zagrożone obrady soboru trydenckiego. — Zaraz więc i w świeckiéj publiczności, skoro przeminął powab nowości nauk protestanckich, i gorliwość katolicka znowu stała się nowością, katolicyzm raptownie wziął górę. — Według świadectwa spółczesnego Wenecyanina [1]), we Francyi, około r. 1580, liczba protestantów zmniejszyła się o 70 od sta. W Niemczech sprowadzeni w r. 1551 do Wiednia Jezuici, w roku 1566 już zajęli Bawaryą i Tyrol, Frankonią i Szwabią, wielką część krajów nadreńskich; wcisnęli się do Czech i Węgier. W tak krótkim przeciągu czasu „wszędzie mnóstwo dusz pozyskali i Stolicy świętéj oddali wielkie przysługi“. — Podobnie jakto w naszych czasach widzimy, między rokiem 1560 a 1580, nim jedno pokolenie przeminęło, potrzeby i uczucia opinii publicznéj stały się wprost przeciwne dawniejszym. Przez wiele lat Albert V Bawarski, ulegając woli stanów, do-

---

[1]) Lorenzo Priceli — *Relazione di Francia* 1582 u Rankego *Fürsten und Völker* III 147.

magał się od Papiéża i od Koncylium wolności przyjmowania Sakramentu Ołtarza pod dwiema postaciami. Żądania swoje popierał natarczywie, jakby chwała jego panowania była złączona z tą koncessyą. Otrzymł ją nakoniec (w kwietniu 1564) lecz — nieśmiał publikować. Już bowiem przez ten czas okoliczności tak się zmieniły, że odstąpienie wszelkie od ścisłéj formy katolicyzmu, zdawało się szkodliwe, może — niepopularne.

Jak Papiéże dla zasłonienia religii z panującemi, tak panujący dla uratowania władzy swéj, szukali zgody z kościołem. — Panowanie Filipa II w Hiszpanii i we Włoszech, i przewaga wpływu hiszpańskiego w Europie, polegały na tryumfie katolicyzmu. Długie lata rządów tego Monarchy upłynęły na walce zaciętéj z protestantyzmem. Zdobywając miasta Belgijskie, kładł zwycię-żonym jedyny warunek, aby dyssydenci w ciągu dwu lat albo nawrócili się, albo wyprzedali się i wynieśli. Czynił ogromne, bez przerwy, usiłowania, razem z Grzegorzem XIII następnie z Syxtusem, dla opanowania Anglii, gdzie protestantyzm naprzód przyszedł do władzy. Przez dwadzieścia blisko lat popierał wszystkiemi siły ligę katolicką we Francyi, chcąc kogoś ze swego ramienia posadzić na tym tronie. — Heretycką Holandyą wytrwale wojował przez lat trzydzieści, wciągając do téj wojny najodleglejsze państwa i posługując się nieraz (historya wyznać musi) mniéj godziwemi sposoby. Nie było w ówczas w Europie katolickiego monarchy, któregoby on niestarał się przywieść do wspólnego działania, nie było tak dalekiego w Europie miejsca, któreby zdawało się mniéj ważném jego wszechstronnéj polityce. Za przykładem Filipa, wreszcie tożsamością interessów związani, inni katoliccy monarchowie, zrobili z tryumfu wiary, cel świeckiéj polityce. — Zacięta nienawiść rozerwanych wyznań musiała zaprawdę niepokoić panującego, w którego kraje wcisnęli się dyssydenci. Znaną

jest opinia Justusa Lipsiusza że w każdém państwie jedna powinna być religia „Tolerancya, mówi on, w rzeczach wiary błędem jest politycznym; jedyne miłosierdzie które panujący pod tym względem może okazać swym poddanym, jest — nie mieć miłosierdzia.“

Za Zygmunta Augusta Polska bliską była odstąpienia powszechnego kościoła. Próżno Hozyusz wołał że „dwie wiary dwóch zrodzą królów, i że Rzeczpospolita dopóty do pokoju nie wróci, póki wszelkiego kacerstwa nie wyrzecze się [2].“ Legat papieski Bonjoanni takie na króla przed Stolicą świętą zaniósł oskarżenia „Król z heretykami rad obcuje, w rozmowach i przy stole. Przyjmuje od nich listy, ich książki kupuje i czyta. Książki takie przeciw katolickiéj wierze pisane wolno wchodzą do Polski, sprzedają się przed bramą pałacu królewskiego, a choć wiadomo jest kto je po kraju upowszechnia, nikt o to nie bywa nagabywanym. Cierpi król że fałszywi kaznodzieje nauczają, dozwala że kacerze zbory swoje prywatnie i publicznie odprawiają, być może że tym zebraniom nawet sprzyja. Heretyków posuwa do godności wojewódzkich, kasztelańskich i innych świeckich, naprzeciw prawom królestwa i przysiędze którą złożył przed koronacyą Barbary. Biskupa Chełmińskiego okrzyczanego za heretyka podniósł do katedry kujawskiéj i nim Ojciec święty go zatwierdził, dozwolił mu pobierać dochody tego kościoła i urząd Biskupi sprawować. A choć tegoż biskupa stolica święta nie potwierdziła, król trwa w swym wyborze, i na wakujące Chełmińskie biskupstwo kandydata przedstawia. Wojewodę Wileńskiego, kacerza, miłuje wielce, i pozwala mu pełnić w Litwie obowiązki kanclerza i wojewody, cierpi nadto że ten wzgardę Najświętszemu Sakramentowi Ołtarza okazuje, w domu swym ma

---

[2]) **Hosii Ep. 238. *Opp.* Tom. II. 404 — 406.**

bezbożne ołtarze i bezbożne ofiary sprawuje. Zeszłego roku pozwolił Król na zawieszenie jurysdykcyi biskupiéj w rzeczach herezyi dotyczących; zezwala także iż w obec jego traktują się na sejmach materye, które tylko do Papiéża należą. Cudzoziemskim heretykom przystępu do kraju niewzbrania, owszem wygnanym za panowania Ojca, powrót ubezpiecza [3]).“

Tak silne zaskarżenia potwierdza Hozyusz, żaląc się że król Zygmunt August „jednę świeczkę Chrystusowi, dwie djabłu pali [4])“. „Jego to wina, mówi tenże, że „w Senacie obok jednego katolika, dwóch uczniów Bezy zasiada“. Mało który z dworów pańskich niebył wówczas dotknięty herezyą, a od następcy Zygmunta Augusta zależało prawie jaka religia w Polsce utrzyma się. Król polski małą w prawdzie miał władzę; podatków nakładać, wojska utrzymywać niemógł, ale w rzeczach religii i moralności przykład jego był stanowczym. Łatwo więc pojąć z jaką niecierpliwością wyglądano w Rzymie i Madrycie gońca z Sejmu elekcyjnego; po wszystkich kościołach rzymskich odczytywano przy mszy: *Orationem pro electione Regis Poloniae;* Papież Grzegórz XIII nadał odpusty tym, którzy za króla katolika w Polsce modlić się będą [5]). I w istocie, w pierwszej chwili było się czego obawiać; na konwokacyi Warszawskiej (1573) protestanci przeprowadzili porównanie w obec prawa wszystkich wyznań chrześciańskich. Ale na tém stanęli, i ani w téj, ani w następnych elekcyach niemieli, raczéj niepopierali skutecznie swojego kandydata. Może ich wstrzymywała bojaźń rozerwania Rzeczypospolitéj, coby niechybnie z wyborem dyssydenta nastą-

---

[3]) 1560 — Relationi d'Ambri a Principi e discorso di statu p. 467 *Ms.* z *Biblioteki Coll. Rom.* Z Tek Naruszewiczowskich Vol. p. t. *Incognita ad S. Augustum.*

[4]) Hosii Ep. 134. *Opp.* II. 286—290.

[5]) Eichhorn. *Bischof und Cardinal Hosius.* Mainz 1855 II 427.

piło; może téż, jak się niektórzy domyślają, woleli głosować na katolickiego xięcia, dla tego że ten nad sobą miał wyższą jeszcze władzę, Papieża [6]).

Mimo opozycyi gorliwych katolików, król Stefan wybrany został i uznany przez cały naród. — Uspokoiła się wkrótce troskliwość duchowieństwa. Pragnął król jedności wyznania w państwie; sam szczery katolik naglił poprawę duchowieństwa zakonnego i świeckiego, przestrzegał wykonania Trydenckiego Soboru i drażliwą kwestyą dziesięcin rostrzygnął w ten sposób, iż najprzód rozkazał z dóbr królewskich oddawać je kościołowi [7]). Wysłany pod te czasy do Polski Nuncyusz Bolognetti świadczy, że jakkolwiek Stefan interes państwa miał przedewszystkiem na względzie, to jednak pod panowaniem jego katolicyzm wzmógł się widocznie [8]). Stolica Apostolska dawała mu téż niezwykłe oznaki swojéj życzliwości. — Rzadkim, w historyi naszéj wypadkiem, w ciągu jednego roku (1584), trzej kandydaci królewscy otrzymali kapelusz Kardynalski [9]).

Nie bez tego jednak aby król Stefan niebył zmuszony opierać się zbytniej, a przynajmniej nazbyt spieszącej, jak mniemał, gorliwości pasterzy katolickich. Żądał Nuncyusz aby urzędy tylko katolikom były oddawane, w miastach królewskich tylko katolickie wyznanie cierpianém. — Byłyto właśnie środki, które w innych krajach przedsięwzięte współcześnie, najbardziej do wzrostu katolicyzmu przyczyniły się. Król Stefan mniemał, że jeszcze na te środki czas w Polsce nieprzyszedł; niemiał dość, jak mówił, po temu siły. — Nastawał Ho-

---

[6]) Ranke *Fürsten und Völker* III 365.

[7]) List Karnkowskiego do Kromera 1578 u Eichhorna II 511.

[8]) Spannocchi *Relazione* u Rankego III 366.

[9]) Jerzy Radziwiłł biskup Wileński, Bolognetti Nuncyusz i Andrzéj Batory synowiec królewski. — Albertrandi *Stef. Bat.* ed krak. 263.

zyusz aby król skasował uchwałę konwokacyi Warszawskiej. Król odpisał „Jestem monarchą świeckim; państwo idzie dla mnie przed kościołem. Waszym życzeniom, o ile można zadosyć się uczyni, ale zwolna i roztropnie aby goić rany nie jątrzyć [10])". „Zaprzysiągłem, pisze król w innym liście, utrzymać pokój między różniącymi się w wierze, ty zaś chcesz abym go kłócił [11])."

Z niemniejszą roztropnością unikał Stefan mieszania się w sprawy obce, odpychał projekta rozległe, jakoby dobro kościoła mające na celu, a które kraj nasz w zatargi niepotrzebne a ciężkie mogły były wciągnąć. — Między wieloma olbrzymiemi pomysłami, które kolejno zapalały imaginacyą Syxtusa Vgo był i ten, aby Stefan stanął na czele ligi chrześciańskiej dla wypędzenia Turków z Europy. Ale Stefan, podobnie jak Zamojski w r. 1596, przewidywał, że jąwszy się tak wielkiego dzieła, nieznajdzie dosyć pomocy u sprzymierzeńców, i że wszystek ciężar niebespiecznej wojny spadnie na Polskę. Nad wypędzenie Turków z Europy przekładał dla Rzpltéj podbicie Moskwy i mniemał, że skoro te dwa kraje połączy, wtedy dopiero utworzy nieprzepartą przeciw barbarzyństwu zaporę.

W czasie oblężenia Gdańska miał król pewne zatargi z Duńczykami broniącymi wolności tego miasta. — Z nich zapewne korzystając Filip II proponował Szwecyi i Polsce alians przeciw Danii [12]). — Król Stefan, na czele 40000 jazdy, miał przejść Pomorze i zająć Holsztyn i Jutlandyą; król Jan miał wkroczyć do Norwegii, flota zaś króla katolickiego opanować miała Ko-

[10]) Hosii Ep. 261. *Opera* II 433—434.

[11]) List Stefana u Eichhorna *Hozyusz* II 508.

[12]) *Raport de Dantzig du Sieur du Maurier* znajduje się w rękopiśmie Biblioteki Paryskiej Vol. 923 p. t. *Pièces concernant la Pologne.*

penhagę i zdobyć Kronburg fortecę nad Zundem. Proponował tę wyprawę Filip „dla przywrócenia religii katolickiej w Danii", czemu gdyby Duńczycy chcieli się opierać, zwyciężonych podejmował się król katolicki wywieść do Hiszpanii lub Indyj Zachodnich. Pismo z którego te szczegóły czerpiemy, niepowiada jaki proponowano dział zdobytych na królu Duńskim posiadłości; dodaje tylko, że co do Polski, oprócz chwały wiekuistéj która uwieńczyć miała Stefana za oddanie kościołowi usługi tak ważnej, zapewniano mu corocznie z cła Zundzkiego 100,000 skudów w złocie. — Batory propozycyą odrzucił.

W krótce potem przybył do Polski nowy Ambassador hiszpański, ofiarując w imieniu swego króla zakupić wszystko zboże, które Polska miała na zbyciu, pod warunkiem aby go nieprowadzono do Gdańska. — Chodziło Filipowi II, równie jak jego następcom (projekt ten bowiem później [13]) kilka razy był wznawiany) o odjęcie prowincyom niderlandzkim wszelkiego dowozu zboża, aby w ten sposób przy uciskającej Holandyą drożyznie i rozerwaniu sił przez miejscowe wybuchy, kraj ten tem łacniej przywieść do posłuszeństwa. Batory od-

[13]) Jest w archiwum kr. Belgijskiem, pod r. 1634. memoryał Jana Chrz. Gravaya Arcybiskupa Upsalskiego *in partibus*, zatytułowany: *Media frenandi Holandiam per viam Polonicam*, a podany Ferdynandowi Mela wielkorządcy Belgii. Obszerne to pismo dowodzi, że niema łatwiejszego sposobu odzyskania Holandyi jak przez jéj ogłodzenie; że gdy toczona przed kilkoma laty w Prusiech wojna utrudniła z portów polskich dowóz zboża, wnet w Zelandyi i w innych miejscach wybuchły powstania; że nadto odjęcie handlu Polskiego pozbawia Holandyą wszelkich sposobów dźwignięcia i utrzymania swéj marynarki; że wysłani do Polski komisarze Cesarscy lub Hiszpańscy, bez wielkiego kosztu, dając tylko zaliczki szlachcie polskiej, snadnieby ją odwiedli od spławiania zboża swego Wisłą lub Niemnem; że Szkoci i Żydzi podjęliby się przewieść je lądem do Magazynów Cesarskich; że nim jeden rok upłynie, plan ten

powiedział, że jakkolwiek wysoko ceni sobie przyjaźń króla Imci katolickiego, niemoże pozbawiać poddanych swoich korzyści, które odnoszą z handlu prowadzonego z Holandyą, Anglią i innemi północnemi krajami, jak również, że Polska niemoże obejść się bez towarów, które kupcy tych krajów jéj przywożą. Ambassador nic u króla niezyskawszy, pojechał do Gdańska. „Tam, mówi Du Maurier, wprowadzony do Senatu w długiéj przemowie ofiarował Gdańszczanom łaskę króla Imci, Pana swego, a w końcu żądał aby nikomu więcej nieprzedawali zboża, które złożoném jest w magazynach, gdy JKMość po równéj, a nawet wyższéj cenie, za nie zapłaci. — Gdańszczanie, chociaż poznali się na tych farbowanych lisach, zakłopotani byli jak pozbyć się gładko hiszpańskiego gościa. — Zapytali więc na co królowi Imci katolickiemu potrzebna tak wielka ilość zboża? Co wam do tego, rzekł Ambassador, choćbyśmy w morze wrzucili, skoro zapłacimy na nie! Na co Senat, z przestrachem wykrzyknął, że niebacząc na straty któreby odnieśli z zerwania stósunków z sąsiadami, nieprzystaną nigdy na tę sprzedaż, aby niedali mimowolnie przyczyny do tak wielkiej obrazy Pana Boga!“

Gdyby nam wolno było dzisiejszém porównaniem objaśnić politykę Batorego, tobyśmy powiedzieli, że jak dzisiaj zdaje nam się, iż niejedno jest być katolikiem a do partyi katolickiej należyć, „tak i Batory chociaż z przekonania osobistego i z uczucia potrzeb krajowych,

---

wprowadzony w wykonanie, przyniesie nieomylne korzyści. Twierdzi Gravay, że król polski i szlachta obrażeni na Holandyą za pomoc dostarczoną Szwecyi, przychylą się radzi do tego projektu zwłaszcza że odzyskanie Holandyi przez Hiszpanią. wcześniej czy później, ale nieomylnie, zaprowadzi króla Polskiego na tron Szwedzki. — Nie jest mi wiadomo czy ten projekt posłany był do Madrytu. — To pewna że w chwili kiedy był pisany (1634). król Władysław dalekim był od sprzyjania lidze katolickiej.

pracował nad pomnożeniem wiary katolickiej w Polsce, strzegł się jednak zawikłać Polskę w kwestye jej obce, w sprawy ówczesnéj ligi katolickiej. — Innym był Zygmunt.

Mogą zaprawdę Szwedzi nazwać się szczęśliwymi, iżeśmy im zabrali starszą linię Wazów, a młodsza dostała się u nich do władzy. — Niema wątpliwości, że Zygmunt, chociażby w Szwecyi był pozostał, niebyłby jej nawrócił, ale byłby ją wtrącił w otchłań wojny domowéj i zgotowałby swéj rodzinie los Stuartów. Zrodzony w więzieniu, z matki katoliczki, czy skutkiem wewnętrznego usposobienia, czy przez wpływ matki, czy też w nadziei osiągnienia korony polskiej, lub dla tych wszystkich razem powodów, wychował się w wierze katolickiej. Od młodości otoczony Jezuitami, tak przejął ich widoki, że go jeszcze ojciec Jan, chociaż sam ku powszechnemu kościołowi skłaniający się i przez Possewina nawrócony, przestrzegał aby mniej zawierzał Jezuitom, bo „Ojcowie ci jedną nogę stawiają w konfessyonale, a drugą w rządzie [14])“. — Stolica Apostolska pokładała na nim nadzieję, że on nietylko polskich ale i szwedzkich kacerzy nawróci [15]).

Jeśli dobrze rozpatrzymy się w owych czasach i we wpływie jaki Filip II. na kościół powszechny wywierał, jeśli sobie przypomnimy, że zakon Jezuitów był początkowo hiszpańską instytucyą, trzech pierwszych jenerałów miał hiszpanów, i aż pod koniec XVI. wieku zwano ich powszechnie *„hiszpańskimi księżami“*, to zrozumiemy dla czego Zygmunt przejął się taką sympatyą dla polityki hiszpańskiéj i osobistém uwielbieniem dla Filipa. — Ktokolwiek patrzy bezstronnie na tę postać

---

[14]) List Jana do Z. 9 lipca 1591 u Geijera *Geschichte Schwedens* ed Heeren et Uckert II 268.

[15]) Tak pisze kard. Joyeuse z Rzymu 1587 do Henryka III u Raumera *Briefe zur Geschichte des 16 und 17 Jahrhundertes.*

historyczną, musi przyznać, że on i Polakom i Szwedom zarówno był obcy, zarówno niedbały o ich świeckie interesa; apostolstwem religijném wyłącznie zajęty, o ile ubespieczeniem kościoła w Polsce narodowi naszemu przysłużył się, o tyle zaszkodził nam swoją polityką zagraniczną, w któréj nie miał innych przyjaciół nad Filipów i ich sprzymierzonych, innych wrogów nad nieprzyjaciół Hiszpanii. Bez potrzeby poróżnił kraj nasz z Holandyą, Anglią i Francyą. Wojnę z Szwecyą prowadził nietylko o tron, na którym utrzymać się nie umiał, ale i dla tego aby od polskiéj i od szwedzkiéj strony Holendrów przycisnąć i morze Baltyckie oddać flocie hiszpańskiéj. Godném jest uwagi, że w ciągu jego długiego panowania, bywały chwile pewnego oziębienia między dworem Polskim a stolicą Apostolską [16]), żadne zaś niepowodzenie lub zawody nie mogły oderwać go od ślepego zaufania w spólność interesów z Hiszpanią i wspólne z nią działanie.

Może i to do zrozumienia polityki Zygmunta III. przyczyni się, że jeśli był, jak zapewniają, tercyarzem w zakonie Jezuitów [17]), niektóre przysięgi tego zakonu złożyć musiał i powolném był narzędziem w ręku jenerała Jezuitów, często w ręku obcych dworów. — Nikt już

---

[16]) W roku 1641. Papież odmówił kapelusza kardynalskiego biskupowi Reggio, którego król przedstawił. *Instrukcya Nuncyusza Diotaveli* u Rankego III. 372. Trwało nieporozumienie jeszcze w r. 1621. W instrukcyi arcybisk. di Torres (30 maja 1621) mówi Grzegórz XV „Se la pieta del re e la riverenza che a questa sede egli porta, non havesse amorzato del tutto o almeno coperte le scintille de' dispiaceri loro, se ne sarebbe per li soffioni altrui acceso fuoco di discordia manifesta."

[17]) *Compendium Rerum variarum ex historicis polonicis collectum;* rękopism, którego autorem jest Paulo Muccante mistrz ceremonii u dworu Klemensa VIII, a z którego korzystał Niemcewicz III. 382 ed. Wroc.

dzisiaj z rozsądnych pisarzy, nie odmówi Jezuitom wielkich zasług oddanych światu katolickiemu, nikt zapewne nie zaprzeczy dzielności ich urządzenia i nieporównanéj zręczności w zastósowaniu ruchów swych do potrzeb spółeczeństwa w pierwszém mianowicie stóleciu ich istnienia. — Dowiódł zakon Jezuitów, że skuteczniejszą jest wielka organizacya niż wielkie indywidua. Zużywając je na korzyść sprawy, dokonali Jezuici dzieł olbrzymich, ludzi wielkich niewydali. — „Uczeni byli, pisze historyk protestancki [18]), i bogobojni na swój sposób; ich nauka nie miała w sobie wolnego polotu ducha, ani ich pobożność nie wychodziła z głębi i naiwności prostego serca. Posiadali dość wiadomości aby zyskać sławę, aby zaufanie obudzić, aby uczniów przygarnąć i wykształcić; daléj nieszli. Ich pobożność nie ujdzie czasem nawet świeckiéj nagany, ale jest widoczna, pozytywna, tém niewątpliwsza i na tém im dosyć. Ani ich nauka, ani ich religijność nie puszczała ich na nowe, nieubite drogi. Głównie odznaczała ich ścisła metoda; wszystko było u nich obrachowane, bo wszystko miało swój cel. Takiego zaś połączenia szerokich wiadomości i nieograniczonego zapału, nauki i przekonywania, okazałości i czystości, rozrzucenia się po świecie i wspólności działania, niewidziano, w historyi przed nimi ani po nich. Byli pracowici a pełni fantazyi, rozumni a entuzyaści, ludzie przyzwoici z któremi stosunek był miły, osobiście nieinteresowani, jedni od drugich zależni. Nic dziwnego że im się udało.“

Udało im się także w Polsce. Nie ich wina że im protestanci nie mogli podołać. Przybyli do Wilna 1569, do Krakowa zaś po raz pierwszy 1583 (7 lutego), a w r. 1613 mieli w swych kolegiach 8 do dziesięć tysięcy uczniów [19]). W pierwszych latach panowania Zygmunta

[18]) **Ranke III 34.**

[19]) **Argenti *de Statu S. J.* Ingolstadii 1616 s. 84.**

liczyli między duchownymi i świeckimi wielu protektorów. Król Stefan założył ich akademią w Wilnie, kolegia w Rydze, Dorpacie, Połocku, Waradynie, król Zygmunt kolegia, nowicyaty i kościoły w Orszy, Wilnie i Krakowie. Oprócz tego na pietnaście dyecezyj polskich już w owym czasie jedenastu biskupów było ich fundatorami. Nadto w każdéj niemal prowincyi mieli między świeckimi przyjaciół, protektorów i dobroczyńców hojnych. Takimi byli na Litwie: Krzysztof Mikołaj Radziwiłł, Karol Chodkiewicz, Lew Sapieha, Hier., Wołowicz; w Wielkopolsce Gostomscy, Kryscy, Warszyccy, Bobola; w Małéjpolsce Mikołaj Zebrzydowski, Tęczyński, Daniłowicz, Barbara Zamojska, wdowa po kanclerzu Katarzyna z Herburtów Uchańska, Mniszkowie, Gostomscy; na Rusi Żółkiewski, Ostrorogowie, Stadniccy, Anna Ostrogska, Sieniawska Elżbieta, Mieleccy. [20]). — Z ludźmi wielkigo znaczenia, choćby im byli nieprzyjaźni, umieli zachować neutralność [21]). Tylko dla mniéj potężnych nieprzyjaciół byli nieubłagani.

Już więc w pierwszych latach XVII. wieku przyszli w Polsce do przewagi ogromnéj i mogli byli, gdyby chcieli, dopomódz skuteczniéj Zygmuntowi lub jego następcom do uratowania rzpltéj przez wprowadzenie silniejszego rządu. Nikt nad nich większą liczbą umysłów nie kierował, nikt tyle co oni niemiał w ręku środków wszelkiego rodzaju i tak ich zręcznie nie używał. Ale Jezuici, z założenia swego byli kosmopolitycznym zakonem, mniéj dbali o los pojedynczego narodu, byleby ten naród pozostał katolickim. Rozrzuciwszy sieć swą na całą kulę ziemską, prowadzili interesa ducho-

---

[20]) Argenti etc. s. 277 et seqq.

[21]) Zamoyski, który do pewnego stopnia był ich przeciwnikiem pisał za nimi, na ich prośbę list do Jakóba I. W nim wyznaje, że i sam w młodości był protestantem i póżniéj dopiero nawrócił się.

wne i świeckie jak biegły jenerał, który uwagę swą wytężywszy na punkt walki, gdzie bitwa się rozstrzyga, wiele ubocznych hufców poświęca na stracenie aby rozerwać główne siły nieprzyjaciela. Taką straconą forpocztą w ręku Jezuitów, przez sześćdziesiąt lat wojen szwedzkich była Polska. I w ogólności, w każdym kraju, Jezuici nieporównanymi byli apostołami, ale uczuć obywatelskich nie mieli i do pewnego stopnia mieć nie mogli [22]). To też polityka Zygmunta III., całkiem oddanego zakonowi Jezuitów, jeśli pominiemy wzrost katolicyzmu w naszym kraju w czasie jego rządów, nigdy niestawiała sobie za cel dobra narodu, który go na tron powołał.

---

[22]) Przytoczę tu wypadek z naszéj przeszłości charakteryzujący stósunek Jezuitów do kraju w którym mieszkali. W roku 1655 Król Jan Kazimierz uciekać musiał z kraju przed Szwedami i przed odstępstwem panów polskich i szlachty. Mieszkał w Głogowie, gdzie królowa gorliwie i zręcznie pracowała aby naród i wojsko przywieść do upamiętania. Na dworze królewskim składał każdy grosz swój na wydatki publiczne. Królowa wyprosiła u papieża pozwolenie użycia na koszta wojenne srebra kościelnego. O czem spółczesny tak donosi z Głogowy: „OO. Jezuici mają tu za jakie 50tysięcy talarów naczyń i obrazów złotych i srebrnych, które uprowadzili z kościoła swego w Krakowie. Król wraz z senatorami tu się znajdującymi, i wszyscy, zobowiązują się zwrócić je lub dać dobra w ich wartości, a pomimo tego opłacać prowizye. Prowincyał bawiący tu, po prostu nie chce tego uczynić dla tego, jak to królowi i królowéj oświadczył, że choćby dali swoje srebra, to jednak niepewna: czyby sprawa kraju pomyślniejszy wzięła obrót. Przedstawiano mu bardzo wiele lecz to nic nie pomogło. Nuncyuszowi, który mu o to mówił, i który im sprzyja rzekł: iż ma trzy przyczyny do niewydania sreber. Pierwsza, iż gdyby je dał królowi, szwedzki król wyrzucałby im, że wspierają nieprzyjaciela jego i jeszczeby się gorzéj z nimi obchodził; druga, że i szlachta trzymająca stronę szwedzką, mogłaby im zarzut uczynić, jakoby dali srebra swe przeciwko niéj, a ponieważ to są przez tęż szlachtę ich kościołom ofiarowane, przeto jużby nadal nic więcéj dawać niechciała wiedząc, że temi darami jéj nieprzyjaciół wspierają . . . . Otóż takie powody przyto-

Przejdźmy teraz do Szwecyi [23]). Na reformacyi Gustaw Waza ugruntował swoje dzieło. Prędko bardzo, jak u większéj części narodów północnych, protestantyzm zrósł się z charakterem narodowym, z polityczną organizacyą Szwedzką. Kto w tym kraju chciał panować, winien był naprzód uznać go jako fakt dokonany i wyrzec się myśli prędkiego nawrócenia mieszkańców. Cokolwiek dla kościoła katolickiego można tu było pozyskać, musiało być zdobywane zwolna, stopniowo i z wielką oględnością. Już Jan III. wprowadzając liturgią zbliżoną do postanowionéj przez Sobór Trydencki, rozerwał duchowieństwo i rozdmuchał żar nienawiści do katolickiej wiary. — Rosły Szwedów obawy, gdy widzieli, że królewicz oddany całkiem „Papistom.“ To też nim Zygmunt wyjechał do Polski, zmuszono go (1587) do podpisania przyrzeczeń: że ceremoniału kościelnego nie zmieni, i nie powoła do urzędów nikogo kto nie jest protestantem.

D. 17 Listopada 1592 umarł Jan III, mając już w ciężkiem podejrzeniu brata Karola, iż dąży do wyzucia syna jego z tronu. — Ze śmiercią starego w nieobecności młodego króla, rozdzieliło się królestwo. — Duchowieństwo i chłopi trzymali stronę Karola, jako

---

czył prowincyał Nuncyuszowi, który się gniewem unosił, przyrzekając donieść o tém Papieżowi i wyrzucając im, że ich zgromadzenie w Indyach na męczeństwo się naraża, a tutaj wynajduje wymówki, aby się nieprzysłużyć prawemu swemu królowi przeciwko heretykowi, przeciwko nieprzyjacielowi kościoła. Lecz wszystko to co mu nagadano, niezdołało go skłonić do wydania sreber.. Biskupi, kanonicy i inni księża dają swe kościelne srebra, których wartość wyniesie 4 lub 500,000 franków.“ List Des Noyera sekr. Maryi Ludw. 12 gr. 1655 *Portofolio Mar. Ludwiki.*

[23]) Historycy nasi opisując stosunki Zygmunta z Karolem opierają się wyłącznie na źródłach polskich. Łubieński zasługuje na wiarę, ale wszystkiego widzieć nie mógł, powiedzieć nieśmiał. Czytając go czuje się nieśmiałość jego. A zatem *audiatur et altera pars.*

obrońcy zagrożonéj religii. — Rada państwa, w większości, zostawała wierną królowi; bogatsza szlachta była także gotową bronić praw jego. Clas Flemming gubernator Finlandyi i Estonii rozsełał po Szwecyi listy ostrzegając o zamachach Karola. — Niedługo po śmierci Jana, hr. Axel Lejonhufoud usiłował w imieniu Zygmunta zająć fortece Elfsborg i Gullberg. — Nieudał się zamiar. Lejonhufoud uciekł do Polski ze skargami na Karola. Podobne oskarżenia w większéj liczbie przychodziły ze Szwecyi. „JKMość, pisano, nie tak łatwo dziedzictwo swoje odbierze.“ Jeden z członków Rady upominał króla, aby gotował zawczasu siłę zbrojną i z nią przybywał do Szwecyi [24]).

Mimo to Zygmunt zamianował stryja rządcą kraju aż do swego przybycia. Ten list królewski Karol po kraju rozesłał a cichaczem namawiał duchowieństwo do zebrania się w Sztokholmie aby zwołać Synod kościelny, któryby uprzątnął religijne trudności. Nie o uprzątnienie ich Karolowi chodziło, pomnażał je owszem, objawiając trwogę swą o los kościoła narodowego przed Radą i Stanami. „Religia i wolność, były słowa jego, o to dobrodziejstwa, które ojciec mój (Gustaw Waza) krajowi zostawił. Naród uczuciem wdzięczności skłoniony, obdarzył tronem dziedzicznym potomstwo Gustawa; nikt więc królem być nie może, kto niechce utrzymać w państwie tych swobód. Na nieszczęście mamy teraz króla, który we wszystkiem Papieżowi ulega, konieczna rzecz przeto wolność i religią obwarować, jak z dawien dawna mamy prawo. Niechaj król zaprzysięże warunki, które Stany nałożą, a wtedy dopiero rządy winny być oddane Zygmuntowi.“ Snać, oceniając charakter Zygmunta, przewidywał Karol, że król albo cofnie się przed przy-

---

[24]) Geijer *Geschichte Schwedens* II. 267 et seqq.

sięgą, albo jéj niedotrzyma, a tém samém uwolni Stany od posłuszeństwa.

D. 25 lutego 1593 rozpoczął obrady swe, zwołany bez zezwolenia króla, Sobór kościelny w Upsali. Było na nim czterech biskupów (arcybiskupstwo wakowało), przeszło trzystu księży, wiele szlachty, mnóstwo mieszczan i chłopów. Synod, którego stuletnią rocznicę Szwecya dotąd obchodzi, pamiętny w jéj dziejach, fatalny dla Zygmunta! Prezesem jego obrany, młody profesor teologii, który za liturgią przez Jana skasowaną, cierpiał w więzieniu. Bez długiéj dyskussyi uchylono odmiany religijne Jana, i wprowadzono jako podstawę wiary katechizm Lutra. Uchwały Synodu zaprzysięgli Biskupi, podpisał je Karol. Z tryumfem obchodzono upadek „papizmu." Arcybiskupem Upsalskim mianowano zaciętego przeciwnika wiary katolickiéj, Abrahama Angermannusa.

Kiedy w ten sposób ogromna większość w Szwecyi cieszyła się pomyślnym skutkiem obrad Synodu; a duchowieństwo, miasta i chłopi, zebrani koło Karola, czuli się już o wiele mocniejszymi przeciw Zygmuntowi, Sejm polski pozwolił wreszcie królowi wyjechać do Szwecyi i na tę podróż w pieniądze go opatrzył (3 miliony dzisiej. złp.). Zygmunt wybrał się w drogę w towarzystwie zbiegłych przed przemocą Karola, w towarzystwie wielu Jezuitów i co najbardziéj Szwedów raziło, Nuncyusza Papieskiego Malespiny. W Gdańsku dognał go poseł papiezki Bartłomiéj Powsiński Opat Jędrzejowski [25]), wioząc królowi 20,000 szkudów „mały przyczynek", mówi papieska instrukcya, do kosztów przywrócenia wiary katolickiéj w Szwecyi. Ranke, który tę instrukcyą czytał [26]), niebezprzyczyny nazywa ją dzi-

---

[25]) G. Starowolski *Monumenta* s. 616 Niesiecki.

[26]) *Fürsten und Völker* III 374, IV, 352.

wną. Pokazuje ona jak bezwarunkowo podówczas spodziewała się Stolica Apostolska nawrócenia Szwecyi, ale zarazem uderza niezwykłą na dworze Papiezkim nieznajomością stanu rzeczy po drugiéj stronie Baltyku. „Boskiem zaprawdę zrządzeniem (są jéj słowa) kilka właśnie Biskupstw w Szwecyi, a między innemi stolica Arcybiskupia w Upsali wakuje. Choćby król chwilę mógł wahać się nad oddaleniem protestanckich biskupów z tego kraju, to ani wątpić wakujące rozda prawowiernym katolikom.“ — Poseł miał z sobą listę sposobnych po temu Szwedow. Papież przekonany jest, że biskupi pomyślą naówczas o właściwém obsadzeniu plebanij i szkół, byle im podano sposoby. „Może od razu da się w Sztokholmie założyć kolegium Jezuickie, co gdyby było niepodobnem, powinien król wziąść z sobą do Polski, o ile może najwięcéj, młodych zdolnych Szwedów wychować ich albo na Dworze u gorliwych biskupów, albo w polskich jezuickich kolegiach.“ Poseł radził nadto aby katolików, których król w Szwecyi zastanie, skłonić do zanoszenia skarg na protestantów. Toby zapewniło królowi, między dwoma stronnictwami, pozycyą pośrednią i w ten sposób może udałoby się wprowadzić niejedno wznowienie, jakoby skutkiem bezstronnego rozsądzenia. Żałował tylko wysłannik Papiezki, że król bierze z sobą tak mało wojska, któreby zmusiło szanować jego wolę.

Mimo różnice opinij religijnych, mniemał Zygmunt że jedzie do Szwecyi, jako ojciec do swoich dzieci; wojsko uważał za niepotrzebne. Rzeczy znalazł gorzéj niż się spodziewał. Niebędziemy opowiadali pobytu jego w Sztokholmie; znany jest z opisu Łubieńskiego, który tę podróż w świcie Zygmuntowskiéj odprawił. Nieprzyczyniła się ona do zjednania królowi umysłów, owszem ugruntowała podejrzenia, wzmogła niechęci i ogromną większość narodu przekonała że obronić wolność swego

kościoła potrafią tylko trzymając się strony Karola. Rozchodziły się po kraju wieści, że król czyha na życie stryja, sam Karol wyznał to późniéj na Radzie [27]). Że twierdzenie to jest potwarzą świadczy całe życie Zygmunta', którego charakter prywatny był nieposzlakowanym; niemniéj jednak oszczerstwa te skutkowały w swoim czasie. Stany wzbraniały królowi koronacyi dopóki niepotwierdził Statutów Upsalskich i niezaprzysiągł prawo, że żaden katolik niebędzie powołany do urzędu, i że Szwed, przechodzący na wiarę katolicką lub w niéj dzieci swe wychowujący, utraca prawo obywatelstwa. Pozwolono wprawdzie katolikom mieszkać w Szwecyi, ale nabożeństwa niemogli odprawiać gdzie indziéj jak w kaplicy królewskiéj. Nowo obrany Arcybiskup Upsalski, Zygmuntowi najbardziéj wstrętny, uzyskał potwierdzenie. A tak na każdym punkcie partya katolicka została pobitą, Stany odśpiewały uroczyście *Te Deum* jakoby za otrzymane zwycięztwo.

Postanowiwszy wrocić do Polski, niepewny był Zygmunt komu oddać rządy Szwecyi. Niemiał siły usunąć Karola', niemiał odwagi zostawić mu je, bo toby znaczyło tyle co sobie i kościołowi ciężko zaszkodzić. Obrano drogę pośrednią; ta w skutkach pokazała się najgorszą. Król w Upsali oznajmił Stanom, że oddaje rządy Karolowi i Radzie. Lud za regenta uważał Karola, szlachta samą tylko Radę. Zanim Zygmunt wyjechał, ukazała się protestacya Karola, że rozporządzenie królewskie przeciwne jest prawom Szwecyi, wedle których w nieobecności króla, on tylko, jako książe z rodziny panującéj, rządzić ma prawo. Gdy wielu ze szlachty przeciwnego było zdania, Karol poddał się decyzyi nowego Sejmu, który, niepytając Zygmunta zwołał, król zaś do Polski wyjechał (14 lipca 1594). Odtąd z królewskich prerogatyw przy Zygmuncie tytuł tylko, przy

[27]) 6 Marca 1595 cf. Geijer II, 280.

jego stryju władza została. Wkrótce Karol począł wchodzić w porozumienie z zagranicznemi Książęty.

W Polsce rozdwojenie było wielkie, tém większe, że oprócz dyssydentów, najsilniejsza partya krajowa stanęła w opozycyi. Nieszczęściem; brak instytucyj trwałych, niedozwolił aby w Rzpltéj pewien system polityczny ugruntował się i wyrobiły się pewne tradycye, któreby wraz z doświadczeniem jednego pokolenia na następne przechodziły. Wszystko polegało na indywidualnościach, z ich śmiercią kończyło się też wszystko; niebyło u nas podobno dwóch królów, którzyby jednéj polityki trzymali się. W niedostatku myśli wyższéj, tylko interes osobisty grupował ludzi, formował partye, ztąd to partya do dziś dnia znaczy u nas kółko ludzi interesem własnym, prywatą związanych.

Król Stefan niezwykłą tęgością charakteru i duchem swym wojennym wyprowadził Rzpltę z odrętwienia, w które ją ostatnie lata Zygmunta Augusta wprawiły. Król Stefan uczyć począł szlachtę i panów naszych, że jeźli chcą wolność swą utrzymać, wszyscy muszą być obowiązani do ciężarów publicznych i prawu wszyscy ulegać muszą. Umarł w chwili, kiedy nowa ta dla nas nauka wielkie w kraju oburzenie poczęła wywoływać. Jeszcze jedno takie jak Stefana panowanie, a możeby Rzplta uleczyła się z swawoli, nierządu i gnuśności obywateli, któremi ginęła.

Zamoyski, w polityce i wojskowości uczeń Batorego, chciał jego tradycye przeprowadzić w rządzie Rzpltéj; niczego więc bardziéj niepragnął jak z nowym królem być w zgodzie; niczego też bardziéj kraj niepotrzebował. Nieszczęściem, stanęła zaraz na przeszkodzie ogromna różność charakteru tych dwu ludzi. Jeden był śmiały, otwarty, energiczny, w pojęciu spraw i w decyzyi raźny, nic na pół robić nielubiący; drugi skryty, milczący, nad miarę ostrożny, dojutrek, powolny w zde-

cydowaniu się, jeszcze powolniejszy w exekucyi. Do téj różnicy osobistych usposobień dodać trzeba zupełną sprzeczność dążności. Za czasów Batorego, świadczy Bolognetti [28]), nadzieje kościoła w znacznéj części polegały na Zamojskim; on był naczelnikiem partyi katolickiéj. Lecz choć, jako człowiek i jako polityk sprzyjał wyznaniu katolickiemu, nigdy jednak świeckich spraw Rzpltéj niepoświęcał dla kościoła. Wiemy jak całkiem inny był Zygmunt. Zamojski nie lubił Jezuitów, niedopuścił ich do Zamościa mimo ich staranie; akademią Zamojską, która dostarczać miała krajowi ludzi z umiejętnościami politycznemi obznajomionych, poddał krakowskiéj. Niemogło to podobać się Zygmuntowi. Od pierwszego wstąpienia na świat publiczny, Zamojski bronił ciągle aby Korona i Litwa niedostały się w ręce cesarzów rzymskich. Zygmunt chociaż w rodzinie cesarskiéj miał współzawodnika do tronu, pogodził się z nią prędko, z niéj wziął żonę i jak od zjazdu Rewelskiego ciągle o tem w Polsce mówiono, chciał jéj odstąpić korony pod warunkami ubliżającemi prawom i bezpieczeństwu Rzpltéj [29]). W miejsce względności do któréj był przyzwyczajony, i do któréj u nowego króla miał prawo, Zamojski znalazł w Zygmuncie wstręt i do pewnego stopnia zazdrość. Król Stefan poznawszy w Zamojskim człowieka wielkich zasobów, oddał mu zupełną ufność i najwyższe urzędy w Rzpltéj,— a chcąc jedność rządu utrzymać, niepodnosił już nikogo do godności, kto niebył związany z hetmanem i kanclerzem stosunki przyjaznemi [30]). Zygmunt przeciwnie, zastawszy

---

[28]) U Rankego III 368, IV, 344.

[29]) Piasecki *Chronicon* ad an. 1589, niemniéj 1590, 1591 et seqq.

[30]) „Alle dignita senatorie et all'entrate del regno dicono hoggi non ammetersi se non i dependenti da esso Cancellerio, accio che da nissuno venga impedito di far quello che ad esso 'ed al re piu tornera di piacere di fare.“ *Bolognetti*. Mówi tenże że po zamiano-

na swym dworze samych przyjaciół Zamojskiego, unikał tych „pochmurnych dygnitarzy“ [31]); otoczył się Szwedami, Hiszpanami i Niemcami; używał Jezuitów do spraw publicznych i przez nich porozumiewał się z zagranicznemi dwory [32]), skoro zaś wakans nastąpił powoływał do urzędu i do rady samych tylko nieprzyjaciół Zamojskiego. Przy ówczesnéj Zamojskiego powadze, nic dziwnego że kraj cały podzielił się na dwa obozy: królewski i kanclerski. Z jednym trzymali biskupi i w większéj części katoliccy senatorowie; przy drugim szlachta cała, i nieuniknionym rzeczy następstwem, protestanci [33]). Już w pierwszych latach panowania Zygmunta zanosiło się na wojnę domową; że do niéj nieprzyszło, zawdzięczała Rzplta jedynie roztropności i patryotyzmowi W. kanclerza [34]).

Była więc między tymi dwoma, jedynie w Polsce naówczas znaczącemi ludźmi, ciągła walka i szarpanie; Zygmunt niemiał siły aby Zamojskiego obalić, Zamojski niechciał podnieść rokoszu. Każdy działał na swoją rękę, a obaj byli w mocy przeszkodzić iżby czynności jednego niemiały charakteru ogólnych działań Rzpltéj. Ztąd to aż do śmierci Zamojskiego widoczna jest we

---

waniu Baranowskiego Podkanclerzym a Tylickiego sekretarzem królewskim, mało kto w Rzpltéj, obok Zamojskiego ważył.

[31]) „(Rex) inprimis tales morosos magistros ex Aula sua summovendos decrevit, nempe omnes qui cum Zamoyscio consentirent, ut quem sciret severiorem patrii moris vindicem et eorum antesignanum, qui suspectam Regno cum Austriacis amicitiam devitandam censerent.“ Pias. ad ar. 1591.

[32]) Wzmiankuje Piasecki X. Bernarda S. J. tamże.

[33]) Ważne pod tym względem objaśnienia daje *Relacya angielska* z r. 1598 znajdująca się w British Museum. Ni bawem wyjdzie z druku.

[34]) Łubieński *Opera posthuma* s. 33. Utrzymuje on, że gdyby Zamojski był dłużéj pożył, nigdyby nie dopuścił nieszczęsnego rokoszu Zebrzydowskiego.

wszystkich ruchach Rzpltéj pewna niezupełność, nieoficyalność i brak ogółowego poparcia. Zamojski własnemi siły i na własną odpowiedzialność wojował Multany i Wołoszę; Zygmunt pokryjomu wplątał siebie, z sobą całą Rzplę, w sieć polityki hiszpańskiéj i katolickiéj Ligi. Wojny Zygmunta III (niemal wszystkie) zaczęły się za życia Zamojskiego, a bez jego wiedzy, jakoby prywatne zatargi, w istocie skutkiem długich a skrytych knowań królewskich [35]).

Pod te czasy Filip II prowadził wojnę zaciętą z Anglią, Henrykiem Nawarskim i Holandyą. Przez posłów namawiał skrycie Zygmunta do ligi przeciw Holandyi w nadziei że samo jej sformowanie, uczyni Holendrów pokorniejszemi, chociażby nawet do spólnych działań nieprzyszło. W r. 1596 poseł hiszpański Mendoza zanosił przed Sejm skargi na buntowniczą Holandyą, na wsparcie które od Anglii otrzymywała; wyliczał także szkody które handel polski ponosi zniszczeniem stósunków z Hiszpanią [36]). Mamy dostateczne do sądzenia powody, że ani Stolica Sta, ani Jezuici, nienakłaniali tym razem, Zygmunta do tego mieszania się w sprawy zachodnie, w pomoc Flipowi. Nuncyusz przybyły wówczas do Polski pracował gorliwie nad sklejeniem Ligi Chrześciańskiej przeciw Turcyi. Klemens VIII, świeżo pogodzony z Henrykiem IV, niesprzyjał bynajmniej Filipowi, owszem

---

[35]) Ówcześni protestanccy pisarze zagraniczni zowią Zamojskiego *roztropnym* w sprzeczności do Zygmunta, którego o brak przezorności obwiniają. Zamojski był w stosunkach z dworami protestanckiemi, pisywał do Elżbiety i Jakóba. Nienawidzony był od Ligi katolickiéj. Bielski (*ed. Sobieszcz. s. 301*) powiada że w r. 1597 złapano w Warszawie Hiszpana pewnego, który W. Hetmana chciał struć. W jednym z listów angielskich z *British Museum* odpisanych, z r. 1605, jest domysł że Zamojski umarł otruty. Niepotwierdzają go nasi ani obcy pisarze spółcześni.

[36]) Niemcewicz *Zygmunt* III *ed. Wrocł.* I 255.

zasmucały go, mówi spółczesny [37]), zwycięztwa armii hiszpańskiej odnoszone nad Francyą sprzymierzoną z Holendrami. Jezuici też, za jeneralstwa Aquavivy, przez Francyą protegowani, dalecy byli od przyjaznych stósunków z Filipem, który, mało co pierwéj, ich organizacyi nadwerężył, ośmielał hiszpańskie jezuickie prowincye do nieposłuszeństwa Jenerałowi, i usiłował zaćmić ich zakon podnosząc naprzeciw nim Dominikanów. Ani jedni więc, ani drudzy niemogli doradzać Zygmuntowi wysłania Działyńskiego do Holandyi; świadczy téż Bielski że Zygmunt uczynił to z powolności dla swego pokrewnego króla Filipa [38]).

W jednym niemal czasie przybyli do Hagi poseł Cesarski, Polski i Duński nakłaniając Stany zjednoczonych Prowincyj do poddania się Hiszpanii [39]). Polscy historycy opowiadając poselstwo Działyńskiego do Elżbiety, niewspominają o pobycie jego w Hadze. Fakt ten zaś jest ważny, nie tylko dlatego iż daje nam jeden rys więcej do obrazu polityki Zygmunta III, ale nadto, że Działyński (o ile wiem) pierwszym był Ambassadorem polskim w Holandyi, i że od téj missyi rozpoczyna się nieprzyjaźń kraju tego dla Polski, przez czas rządów Zygmunta trwająca.

„W miesiącu lipcu (1597), mówi spółczesny Kronikarz holenderski [40]), przybył do Holandyi Ambasador Paweł z Działynia dworzanin królewski Zygmunta III. Dnia 21 lipca otrzymał audyencyą u WW. Stanów i w to-

---

[37]) List Ossata posła z Rzymu do Villeroy 14 Maja 1596, *u Rankego* III 280.

[38]) Bielski ad an. 1597 *ed. Sobieszcz.* s. 304.

[39]) Od Cesarza przyjechał Karol Nutzel w Sierpniu 1597; Działyński przyjechał 19 lipca (w Sobotę) miał audyencyą 21; posłowie duńscy przybyli w październiku.

[40]) Van Meteren *l' Histoire des Pays-Bas* w edycyi in folio (Haga 1618) księga XIX ad an. 1597; w edycyi in 8o tom V, w tłu-

warzystwie Xcia Maurycego przyszedł na sessyą, a za nim nader liczny orszak jego służby. — W ich obecności tak przemówił po łacinie: iż król jego uproszony przez wielu Monarchów i tknięty obecnym stanem Chrześciaństwa, tak bardzo od Turków udręczonego, wstawia się u WW. Stanów za zgodą z Królem Hiszpańskim, ich prawym panem, a który jest Monarchą najpotężniejszym z całego Chrześciaństwa, i mógłby najwięcéj siły wywieść na Turka, gdyby nie wojna którą od strony holenderskiej jest zabawiony. Że należy mieć wzgląd na wielką potencyą Dworu Austryackiego i Króla hiszpańskiego, która jest taką, że te prowincye do ostatniéj ruiny będą przywiedzione. — WW. Stany niepowinny zapominać, że królewska rzecz jest roskazywać, a poddanych słuchać. Że król hiszpański Pan jest łaskawy i dobrotliwy i gotowy jest przebaczyć wszystko; że zatem przynależy im pogodzić się z nim jak najprędzéj, i poddać się pod jego roskazanie, jako tego który chce puścić w niepamięć przeszłe błędy. Że tak czyniąc, uczynią rzecz dobrą dla Chrześciaństwa, miłą dla Króla Imci Polskiego, i ochronią te ziemię od wojny i wielkich niebezpieczeństw.

„Ambassador wypowiedział tę mowę z wielką śmiałością i żarliwością, jakoby mnich z kazalnicy. Z wielką powagą i uszanowaniem mówił o téj łaskawości króla hiszpańskiego i to w obec Xa Maurycego, którego ojciec był tak zdradziecko zgładzony (jak o tém każdy wié), i na którego życie już wielokrotnie czychano. — Panowie i Stany podziękowały za trud Posła i za życzli-

---

maczeniu niemieckiem I 785. — Należy porównać z opowiadaniem Piotra Bora *Nederlandsche Oorlogen* Amterdam 1684 s. 332 et seqq. List kredencyonalny Działyńskiego, jego postulata, i odpowiedź Stanów znajdują się po łacinie w kolekcyi: *Resolutien van Staat van Holland* vol. ad an 1597 s. 374 et seqq.

wość jego króla, i odpowiedziano że propozycya wzięta będzie pod rozwagę.

„Kiedy wychodził z posłuchania, Xże Maurycy poprowadził go przez wielką salę Stanów i pokazał mu chorągwie zdobyte na Hiszpanach pod Tuernhout aby go przekonać że król hiszpański nie jest tak potężny, iżby niemożna było odnieść nad nim żadnéj korzyści.

„Żalił się potem że stroniono od niego odkąd powiedział tę mowę; przypominał że powinni mieć wzgląd na potęgę jego Króla, ile złego mógłby im wyrządzić zakazując wywozu zboża z Polski, którego te prowincye wielką moc co rocznie dla siebie sprowadzały. Odpowiedziano, że jeśli oni z Polski zboże przywożą to dają w zamian pieniądze, a tak jeden kraj niemoże się obejść bez drugiego.

„D. 22go wieczorem, w imieniu Stanów przyszli do niego PP. de Noordtwijck, de Niewelt, Van der Wercke i kilku innych. P. Van der Wercke miał do niego rzecz po łacinie, w któréj była decyzya Stanów temi słowy wypowiedziana: że z przyjemnością słyszeli oświadczenia życzliwe Króla Imci, i że jemu nawzajem dobrze życzą. Że bolało ich słyszeć o tak wielkiej potędze Turka, i o niebezpieczeństwach które stamtąd grożą. Podzielają zdanie Króla Imci, że gdyby Chrześcianie chcieli dać pokój swym niezgodom i połączyć swe siły razem, mogłoby to złe i to niebespieczeństwo snadnie od Chrześcian być odwrócone. Bolało ich to również, że król Imci tak źle był od niechętnych tym prowincyom pouczony, jakoby wojna którą Król hiszpański z nimi prowadzi, przeszkadzała mu użyć swych skarbów na niewiernych. Wspomnieli że te prowincye mają także pewne obligacye nie Królóm, ale Xiążętom i Hrabiom swoim. Król Hiszpański po tyrańsku gwałcił ich prawa, zgładził z tego świata przeszło sto tysięcy ludzi, przeciw prawu naro ów skazał na śmierć ich Ambasa-

dorów i bez zezwolenia Stanów nałożył niesłychane podatki. A tak zmuszeni zostali wziąść broń do ręki i poddać się z zachowaniem wszelkich wolności, pod sprawiedliwy i rostropny rząd Xiążąt Oranii. Że i oni także, długo, z uczucia wierności dla Pana swego szukali sposobów pojednać się, pragnęli pokoju i używali pośrednictwa Cesarza, Króla Francuzkiego, Angielskiego i Xiążąt niemieckich. Aż widząc że król hiszpański pod maską pokoju usiłuje zwaśnić prowincye, odważyli się na krok dozwolony wszystkim narodom wolnym, a mianowicie wolnemu ludowi holenderskiemu, i ogłosili że ich Panujący, kwoli statutów i przywilejów, pozbawion jest wszelkiego do tych krajów prawa i wezwali na Pana swego Xięcia Alansońskiego. — Pod tym to Xięciem i za rządów Xięcia Oranii prowadzili wojnę z królem hiszpańskim. Po zdradzieckiem zamordowaniu Wilhelma, popadły Prowincye w wielką niedolę, ale z niej z pomocą Bożą (na którą szczególniej liczą) zwycięzko wyjdą i granice swe rozszerzą. Że król hiszpański, pod pozorem bronienia wiary katolickiej, dąży do opanowania całego Chrześciaństwa, bo pocóżby innego wypowiadał wojnę Anglii, burzył Francyą i t. d. Te podstępy hiszpańskie dobrze rozważywszy, korona francuzka i angielska zawarły alians, do którego Stany są przypuszczone. — J. E. Ambasador zrozumie z jaką przykrością słuchały Stany jego żądań, zwłaszcza, gdy widzą, że ich nieprzyjaciel chce tylko pokryć swoje fortele wojenne słodkiem imieniem pokoju, i niebacznych wciągnąć do tej zasadzki. Mają więc nadzieję, że Król polski nad tém się namyśli, aby nie tak wiele sobie robić z pokrewieństwa z królem hiszpańskim, a raczéj mieć staranie o dobro całego Chrześciaństwa. — A że niczego tak nie pragną, jak być dobrze ze wszystkimi królami świata, odpowiadają na listy Króla Imci Polskiego dla zachowania jego dobréj woli i życzliwo-

ści ku temu krajowi. Że oni w tych przyjaznych uczuciach pozostaną, i niewątpią, że JKMość zechce i nadal nietykalnie utrzymać handel, od tylego czasu obu krajom wspólny i korzystny."

Nazajutrz Działyński wyjechał do Anglii. Znaną jest jego mowa, przez późniejszych nawet z zadziwieniem cytowana [41]), którą gdy mu królowa przerwała i przez Komisarzy traktować z nim kazała, Działyński tłumaczył się, że tylko to zrobił co mu kazano. Jakoż przekonali się Komisarze, że mowa jego była stósowna do danych mu i podpisanych przez Króla instrukcyj; cieszyli się nawet że wszystkiego co mu polecono, niemiał czasu powiedzieć [42]).

Wkrótce rozeszła się po całéj Europie, a mianowicie po krajach do Ligi nienależących, wiadomość że Polska otwarcie przystąpiła do aliansu z Hiszpanią. — Słusznie Elżbieta odpowiedziała Pawłowi Działyńskiemu, że tylko młodość i niedoświadczenie Króla mogły mu doradzić krok tak nieroztropny. Donosząc o tem poselstwie poseł francuzki z Hagi pisze do Villeroy. „Powszechnie tu myślą że to poselstwo odprawione jest kosztem Króla hiszpańskiego. Wystawność jego wielka ale niezdaje się aby tu kogo zdziwiła. Krótka to była ambassada; trwała tylko trzy dni, lecz być może że głębsze tutaj zostawiła korzenie, niż król polski mniema [43])." W istocie obaczymy zaraz że Karol Szwedzki umiał korzystać z niezręczności swego synowca.

Opłakany był stan Szwecyi od wyjazdu królewskiego. Karol chciał rządzić bez Rady, Rada od władzy nieda-

---

[41]) De Wicquefort *L' Ambassadeur et ses fonctions.* La Haye 1681 4o I 139 et seqq.

[42]) Van Meteren — *tamże.*

[43]) *Propositions de Mr. Buzenval,* manuskrypt w bibliotece królewskiej w Hadze T. I. list z d. 1 sierpnia 1597.

wała się usunąć. Pierwszy wciąż na chłopach i mieszczaństwie opierał się, druga na powadze królewskiéj i szlachcie. Wśród takich sporów, jedne prowincye słuchały Karola, drugie Zygmunta. Wbrew woli Rady, Karol zwołał Sejm do Söderköpingu. — Tam Izba Panów, przykładem Stanów niższych, zmuszoną była zaprzysiądz posłuszeństwo Karolowi — wprawdzie z zastrzeżeniem „w tém wszystkiem co dobra JKMści i kraju dotyczy.“ — Karol rozłożył podatki przyjęli je chłopi dziękując, że JXMość niezbyt wysoko ich obciąża. Zygmunt uchylił uchwały Söderköpinskie, zakazał płacić podatków, i przyobiecał wziąść pod swoję protekcyą wszystkich od Karola uciśnionych. Rada protestując przeciw oddaniu władzy w ręce Karola, błagała Zygmunta aby ją wsparł pieniędzmi i wojskiem. Król nieodmawiał ale i nieprzysełał; upominał tylko Stryja i Radę aby aż do jego przybycia, utrzymany został sposób rządzenia poprzednio ustanowiony. Na przedstawienia czynione mu przez Sekretarza jego do spraw szwedzkich miał odpowiedzieć: „Niechaj Karol z Radą szarpią się i gryzą, nic im nieszkodzi. Heretycy niewarci czego innego [44])“ W krótce téż wojna domowa wybuchła i kraj srogo był pustoszony. W Finlandyi Fleming staczał bitwy z chłopami i stronnikami Xięcia. Karol zażądał przeciw niemu powszechnej wyprawy. Rada ujmuje się za Gubernatorem Finlandyi, w skutek czego Karol ogłasza (2 List. 1596) że składa rządy, ale jak przyjął je od Stanów, tak w ich tylko ręce je złoży, i w tym celu zwołuje sejm do Arbogi na Luty (1597.)

Rada przyjęła abdykacyą Xięcia, za to po całym kraju głośno przeciw niej odezwano się. Pomimo zakazu królewskiego i protestacyi Rady, zebrał się Sejm w Arbodze. — Z entuzyazmem potwierdzono ustawy Söder-

---

[44]) Geijer II. 296.

köpinskie, które Xięciu jednemu oddały władzę i uchwalono, że kto im sprzeciwiać się będzie, ma być uważany za nieprzyjaciela kraju. Padł strach na radę; jéj członkowie, o ile zaciętsi przeciwnicy Karola uciekli do Polski. Xiąże już teraz samowładny Pan, z wojskiem zajmował celniejsze porty i fortece jak Elfsborg, Stegeborg, Kalmar, i ruszył do Finlandyi. Tam właśnie Flemming umarł; Finlandya broniona przez pozostałą wdowę, uległa. — Karol wielu jeńców, szlachty, wziął z sobą i w obecności królewskiego posła, Samuela Łaskiego, w Sztokholmie (1598) ściąć ich rozkazał.

Gdy te wiadomości przybyły do Polski, Zygmunt łatwo uzyskał od Sejmu pozwolenie wyjechania do Szwecyi, zkąd miał wrócić w sierpniu 1599. — Zamojski czy że wówczas z królem pogodził się, czy też że z ugruntowanéj władzy Karola wróżył dla Polski zatargi ze Szwecyą, radził królowi aby wybrał się z silnem wojskiem, bo jak mówił „już tylko przemocą można wydrzeć władzę Karolowi", a stronnicy królewscy jedni uciśnieni, drudzy przeszli na stronę Karola, niewiele Królowi dostarczą pomocy. — Lecz Król w rzeczach Szwedzkich całkiem zdaniu Szwedów uległy, postanowił bez wojska odpłynąć, czy dla tego aby ludu tamecznego bardziej od siebie nieodstręczać, czy téż, co prawdopodobniejszą, aby nierozgłaszać w Polsce buntu Szwedzkiego, przezcoby jego wziętość u Polaków musiała szwankować. Przepowiedział więc kanclerzowi, że jedzie do swoich poddanych, niepotrzebuje na nich wojska, i spodziewa się samą łagodnością przywrócić ich do obowiązku [45])".

Zygmunt był zaprawdę człowiekiem szczególnego usposobienia, iż na nim ani zdanie roztropne, ani nawet fakta spełnione nie robiły wrażenia. — Wypadki

---

[45]) Piasecki ad an. 1598.

zaszłe w Szwecyi nie zmieniły bynajmniéj jego opinii. Owszem, od pierwszéj swéj podróży (1593) ciągle sobie wyrzucał przysięgę, którą złożył przed koronacyą w Upsali. Zwierzał się Nuncyuszowi, że wszystkie nieszczęścia, które go od tego czasu spotkały, mianowicie śmierć żony uważa jako karę Bożą, za ustąpienia Heretykom poczynione. Oświadczał więc, że odtąd prędzéj umrze, niż zezwoli w Szwecyi na cokolwiek, coby sumienie jego zakłócało [46].

Smutną jest ta jego powtórna do Szwecyi wyprawa. Z pięcioma tysiącami dworzan i wojska przypłynął do Kalmaru i bez oporu zajął tę fortecę. Tam nieco posiłków otrzymawszy ruszył do Sztokholmu. Zaszedł mu drogę Karol. Spotkano się z orężem w ręku pod Stegrborgiem 25. wrz. (1598). Król na głowę pobity oświadcza chęć zgody. Dnia 28 września stanął upokarzający dla Zygmunta układ w Lynköpingu. Zobowiązał się król zwołać sejm w ciągu czterech miesięcy i odtąd rządzić według przysięgi. Do czasu sejmu urzędnicy przez księcia mianowani, mają pozostać przy władzy. Dla winnych z obu stron amnestya. Z pod niéj atoli wyjęci pięciu członkowie rady, którzy broniąc praw Zygmunta, z Karolem poważnieni do króla uciekli. Wydani księciu, stawieni późniéj przed sąd, straceni zostali! Podpisał nadto król, że stany będą obowiązane oświadczyć się przeciw temu, kto pierwszy złamie układ Linköpiński.

Traktat ten był abdykacyą królewską. Czuł to Zygmunt, gdy zamiast do Sztokholmu jak się był zobowiązał, z Kalmaru odpłynął bezzwłocznie do Gdańska, tłumacząc się przed księciem że nagłe niebezpieczeństwa grożące Polsce, zmusiły go odłożyć podróż swą do stolicy. Ale ta ucieczka króla do rozpaczy przy-

---

[46]) **Ranke III 385.**

wiodła stronników jego pozostałych w Szwecyi. Pisał mu Erik Brahe „że w całéj historyi nieznajdzie podobnego przykładu, aby monarcha o swoich wiernych tak mało był dbały, że przyjaciół Zygmunta w Szwecyi odtąd czeka konfiskata, bannicya, śmierć na szubienicy lub na kole.“ Zygmunt z zatrważającą spokojnością umysłu odpisał mu (5 St. 1599) że spodziewa się mieć w Szwecyi innych jeszcze stronników, oprócz tych co szubienicą lub kołem będą zgładzeni, że wreszcie jazda szwedzka, która tak haniebnie znalazła się pod Stegerborgiem, innego losu niewarta [47]). Nikt pewnie Erykowi Brahe nie weźmie za złe, że odebrawszy ten list, pogodził się z Karolem. Poszło za nim wielu; inni, wierniejsi, doznali losu na który ich Zygmunt z taką obojętnością skazywał.

Tymczasem zebrały się w Jönköpingu Stany w styczniu 1599 i wypowiedziały Zygmuntowi posłuszeństwo ale jeszcze warunkowo. Powtórnie zebrane tegoż roku w Sztokholmie wypowiedziały je bezwarunkowo (24 lipca), z tym dodatkiem, że jeśli król w ciągu sześciu miesięcy, nie przyszle do Szwecyi syna swego Władysława, i on i potomstwo jego na wieczne czasy od tronu szwedzkiego odsądzeni będą. X. Karol regentem państwa uznany. — I na tem kończy się panowanie Zygmunta w Szwecyi, a zaczyna się epoka jego planów, które mogłyby zdumiewać rozległością swoją, gdyby brak wszelkiego wykonania nie dowodził ich czczości i któremi Szwedzi niepokojeni na ziemi polskiéj przyszli szukać w starszéj linii Wazów zrzeczenia się tronu.

W sto lat późniéj (1682) Puffendorf w sekretnym memoryale *o wyborze aliansów dla Szwecyi*, pisze, iż Polska odstąpiwszy Inflant, nie ma powodu być nieprzyjazną Szwecyi. Owszem oba te państwa mogłyby być

---

[47]) Geijer II, 309.

złączone ścisłym sojuszem, którego celem: wzajemne ubezpieczenie się od Moskwy, a następnie odebranie elektorowi Brandeburskiemu Prus książęcych, i górnego Pomorza, pierwszych na rzecz Polski, drugiego na rzecz Szwecyi. Ale po tak wielu krzywdach doznanych, i takim krwi przelewie, potrzeba długiego czasu, aby ogień wojny niepotrzebnie wszczętéj zagasić w pamięci ludzkiéj [48]).

Przyczyną téj wojny i głównym sprawcą nieszczęść, które z nią na rzeczpospolitę spadły, był Zygmunt. Z całéj rodziny Wazów był to książę najmniéj do rządów sposobny. Wychowany teorycznie, w umyśle jego jedna tylko była idea; ludzi zaś i stosunków świata niepoznał. Uparty jak każdy ascetyk, tak mocne miał poczucie prawa swego, że długo niemógł zdecydować się uważać Karola za swego spółzawodnika. Tymczasem w stosunkach ludzkich, na nieszczęście, prawa abstrakcyjnie wzięte mało ważą, i każdemu o tyle służy prawo, o ile ma siłę bronić go i utrzymać. Zygmunt nie przypuszczał téj teoryi, i owszem mniemał, że ponieważ prawo jego do korony szwedzkiéj jest niewątpliwém, samo powinno wystarczyć. Mogąc więc utrzymać się przy tronie szwedzkim, nieprzedsięwziął ani razu środków, skutecznych do utrwalenia swéj władzy. Wymagał wierności i poświęcenia od swych poddanych, a niedbał o nich i poświęcających się nie żałował, bo byli heretycy. Kiedy późniéj wybuchły spory między radą a Karolem, nie lękał się wojny domowéj, owszem przedłużał niezgody, podniecał je, i pragnął przywieść Szwedów do takiego znękania, aby jemu, jako prawemu panu, na ziemię szwedzką wstępującemu i zwiastującemu pokój, poddali się bezwarunkowo. Takiego tylko pra-

---

[48]) Avis d'Esaie Pufffendorf. *Memoryał w Ms. bibl. ces. w Paryżu. Melanges Supp. fran. 567—572.*

gnął dla siebie tryumfu, bo nie spodziéwał się inaczéj wyplenić w Szwecyi herezyą.

Po wyjeździe Zygmunta ze Szwecyi (1598) Estonia i część Finlandyi jeszcze trzymały jego stronę. W Kalmarze zostawił także załogę polską, zaklinając komendanta téj fortecy, Jana Sparre, „na zbawienie“ aby nie przyjmował układów i utrzymał się, bądź co bądź do wiosny. Teraz bowiem, kiedy już było po czasie, obmyślał Zygmunt na przyszły rok wyprawę. Hrabia de Ligny ofiarował mu w imieniu króla Hiszpańskiego, flotę złożoną z 18 do 20 okrętów, za co jak mówią, zastrzegł sobie port szwedzki Elfsborg [49]). Z Gdańska rozesłano druki gwałtowne, podżegające przeciw Karolowi. W zachodniéj Gotlandyi przygotowywano na wiosnę powstanie. — Ale gdy te projekta jak wiele innych przeszły na niczem, Karol nie tracąc czasu, mieczem tępił stronników Zygmunta. Zdobył Kalmar, Finlandyą uspokoił, opanował Estonią; kraj cały wprawdzie niemiłosiernie spustoszył, ale pokój u siebie przywrócił. Ubezpieczony wewnątrz począł starać się jak odwrócić zamachy grożące mu z zewnątrz. Rozesłał więc ambassadorów do książąt protestanckich.

Wszędzie Zygmunt przedziwnie utorował mu drogę niedawno co odprawioną ambassadą Działyńskiego i znaną w Europie, przyjaźnią swą bezwarunkową dla dworu hiszpańskiego. — Wysłany do Francyi przez Karola poseł van Dyck ofiarował odnowienie dawnego między dwoma koronami przymierza. „Tak zręcznie umiał przedstawić korzyści tego aliansu, iż król Henryk rad słuchał jego propozycyj. Stawało tylko na przeszkodzie to, że Karol przywłaszczył tron, a postępek jego był tém niegodziwszym, że zakryty był pozorem religii. Obawiano się niechęci Danii. Cóżkolwiek bądź, wzglę-

---

[49]) **Propositions de Buranval Ms. I 915.**

dy te, pisze Villeroy, nie wstrzymają króla od traktowania z Karolem, jeśli znajdzie w niém korzyść dla swéj korony; Zygmunt bowiem nie ma innych widoków, jak te, które mu dwór cesarski podsuwa [50])."

Elżbieta, ktoréj przyjaźni szukał Karol od r. 1599, w roku 1601 oświadczyła, że sprawę jego uznaje słuszną, i ofiarowała pośrednictwo swoje w sporach z Danią [51]). Wprawdzie następca jéj Jakób, dla pokrewieństwa swego z Chrystyanem Duńskim, oziębłejszym okazywał się dla młodszéj linii Wazów, niemniéj jednak, ilekroć był zmuszony do wyboru — Szwecyi albo Polsce pomagać, oświadczał się za Szwecyą. — W r. 1617 (14 paźd.) pisze Jakób do posła swego w Hadze, Dudleja Carleton [52]). „Był u nas ambassador króla szwedzkiego z propozycyami, które miał zlecone. Odpowiedzieliśmy tak, że i on, i pan jego, powinni być zadowolnieni. Między innemi, ponieważ w kraju gdzie przebywasz, ma do skończenia ważną missyą, żądał więc abyśmy zalecili go ww. Stanom, coby przyspieszyło niechybnie tę jego negocyacyą. Gotowi jesteśmy dopomódz mu, i pragniemy aby go zaspokojono w tém, czego żądać będzie, a jak się domyślamy, idzie mu o posiłki w ludziach i pieniądzach na wojnę z Polską. — Ale sposób, jak w tém postąpić należy, zasługuje na uwagę dla wielkiego handlu prowadzonego przez naszych poddanych, Anglików i Szkotów, w posiadłościach króla polskiego. — Z tego powodu nie zaleciliśmy go stanom listem osobnym, bo nie wiadomo, czyby rzecz ta nie

---

[50]) De Wicquefort *L'Ambassadeur et ses fonctions* I 54. Dla zachowania pozorów nie chciano jednak negocyować w Paryżu; Villeroy odesłał Van Dycka do Jeannina, wówczas posła francuskiego w Hadze, (8 kw. 1608).

[51]) Gejer II 319.

[52]) Lettres; memoires et negociations de Chev. Carleton Amb. de Jacques I. La Haye 1759. T. II 150.

wyszła na jaw, woleliśmy uwiadomić was poufnie jak dalece jesteśmy mu życzliwi. — Użyjesz wszelkiéj ostrożności i zręczności, , aby przez wzgląd na nasze wstawienie się, żądania jego były spełnione, i niepowinieneś w tym celu żałować pracy i starania, byleby tylko nie stawiać imienia naszego przeciw królowi polskiemu. Bo choć z jednéj strony wielką czynimy różnicę między tymi dwoma królami dla ich religii; to z drugiéj, troskliwość nasza o dobro poddanych, nakazuje nam temu ambassadorowi tak dopomagać, aby nie ściągać na nich gniewu króla polskiego."

Równie ostrożnemi choć najbardziéj Zygmuntowi, a tém samém Polsce nieprzyjaznemi okazały się Stany holenderskie. — W r. 1599 Karol wysłał do Hagi Jakóba Hilde i Jana Milsen, ambassadorów, z propozycyą zerwania traktatu zaczepnego i odpornego. Już w ówczas powiada Bor [53]), rozeszła się wiadomość o porozumieniu zaszłem między Zygmuntem a Filipem, w skutek którego Hiszpania Polsce do opanowania Szwecyi, Polska Hiszpanii do odzyskania Holandyi zobowiązały się pomagać. Ambassadorowie szwedzcy przedstawiali grożące stanom niebezpieczeństwo i potrzebę wspólnéj obrony. Stany zwlekały czas jakiś odpowiedź, wreszcie odmówiły [54]).

W r. 1610, opowiada Van Meteren [55]), trzech ambassadorów szwedzkich przybyło do Hagi. Dnia 3 września mieli audyencyą; wyłożywszy powody, dla których zrucili z tronu Zygmunta, a obrali Karola, oznajmili, że mają upoważnienie do zawarcia najściślejszego aliansu z Holandyą, Francyą, Anglią lub z każdém z tych państw z osobna. — Nim stany odpowiedziały, nadeszła wiadomość o zdobyciu Smoleńska przez Zygmunta i

---

[53]) Pieter Bor Nederlandsche Vorlogen IV. 39. 67.
[54]) Van Metteren ed. fr. z r. 1618. s. 468.
[55]) Tamże s. 712.

bardzo interesa Szwecyi popsuła, tak że o jéj ambassadorach zapomniano. Jeden z nich w Styczniu 1611 odjechał do Sztokholmu, dwaj pozostali odnowili negocyacyą. — Holandya oświadczała się z gotowością do zawarcia przymierza, i przyobiecywała pomoc dla podniesienia interesów Moskwy, ale kładła za warunek aby inni królowie pierwéj do tegoż przymierza weszli. Właściwie czekano tylko na rezułtat wojny Moskiewskiéj, a gdy ta dość szczęśliwie Polakom wiodła się, z niczem odprawiono ambassadorów. — Zdaje się jednak, że oprócz téj ostrożności, wzgląd także na Danią, wówczas w wojnie ze Szwedami, wstrzymywał Holandyą od przymierza szwedzkiego. Skoro bowiem Gustaw Adolf zawarł pokój z Duńczykami, znajdujemy pod rokiem 1613 dowody, iż Stany holenderskie dawały posiłki carowi Mikołajowi Fedorowiczowi na wojnę z Polską. [56]).

W r. 1617 Gustaw Adolf niepokojony przygotowaniami Zygmunta, wcześnie zaczął uzbrajać się. — Posłowi swemu w Hadze przysłał pieniądze dla werbowania ludzi, na pograniczu Holandyi, z których połowę chciał wziąść do służby morskiéj. — Stany pozwoliły mu zwerbować jeden pułk piechoty (1200 ludzi) i 300 majtków [57]). Żądał oprócz tego Ambassador pomocy w okrętach i pieniądzach. Na pierwsze dość prędko zgodzono się; jakoby dla zasłonienia handlu baltyckiego, posłano Gustawowi w pomoc admirała barona von Obdam z sześcioma

---

[56]) Pod r. 1613. (30 sierp.) pisze Car Michał do Stanów: Mittite itaque, Deo fortunante, sub initium anni sequentis naves vestras ad civitatem nostram Archangelum, easque tormentis bellicis, pulvere empyrio, et globulis plumbeis probe affatimq. instruite.“ Dziękując za przysłanie tych posiłków pisze (1 Cz. 1614) do Xa. „Tu autem suppetias adversus hostes, arma etiam et Merces, caeteraque ad bellum et vitam sustentandam necessaria liberaliter nobis et benevole obtulisti.“ *Respublica Moscoviae* ed. Elzev. 1630 s. 527 i 537.

[57]) Dudlej Carleton I 211, 255, 272.

okrętami liniowemi [58]). O pieniądze szło trudniéj, i dopiéro kiedy w skutek rozkazu Jakóba I, poseł jego poparł żądania szwedzkie [59]), Holandya zobowiązała się w sekrecie płacić Gustawowi, przez ciąg wojny z Polską, 40,000 flor. miesięcznie [60]). W tym samym czasie odebrały Stany od swego posła w Stambule, Korneliusza van Haga, wiadomość że zanosi się w Turcyi na wojnę z Polską, on jednak począł czynić starania aby temu niebezpieczeństwu, ktore krajowi chrześciańskiemu zagraża, zapobiedz. — Dano natychmiast rozkaz temu posłowi, aby się do tych interesów niemieszał [61]).

---

[58]) Tenże I 281.

[59]) Tenże II 180, 345.

[60]) W *Rezolucyach holenderskich* Vol. 1613 — 1620 s. 296 czytamy: Dnia 23 Marca 1617 Ambassador Gustawa Adolfa w propozycyi, którą od swego króla podaje, szuka przyjaźni Prowincyj zjednoczonych i ścisłego związku między dwoma państwami połączonemi wspólnością interessów i relligii. Upomina protestantów, aby spólnie działając, mieli się na baczności przeciw nieprzyjaciołom ich religii, a mianowicie przeciw królowi polskiemu i jego adherentom. Bowiem gdy król polski w ścisłéj jest przyjaźni z królem hiszpańskim, potrzeba aby i z drugiéj strony wysokie Stany zawarły z królem szwedzkim zaczepny i odporny traktat. — Są już wieści że król hiszpański niebawem flotę swą na morze Baltyckie wyséła. Wysokie stany zrozumią to, że król polski, z pomocą sprzymierzeńców, zawojowawszy Szwecyą, dopomógłby wzajemnie Hiszpanii do podbicia Holandyi.“ W rezolucyach drukowanych nie ma odpowiedzi Stanów, znajdują jednak w Wagenaara historyi Amsterdamu (Amsterdam's Geschiedenissen t. X ad an 1617) wiadomość o wspomnianym powyżéj pieniężnym sukursie.

[61]) Korneliusz Haga był ambassadorem w Stambule od r. 1611 do 1637. Imię jego Holendrzy wspominają z wdzięcznością, raporta jego znajdują się w archiwum państwa w Hadze. W r. 1590, jak wiadomo, starania posła angielskiego Edwarda Barton uwolniły Polskę od ciężkiéj wojny tureckiéj (cf. Heidenstein *Rerum polonicarum* etc, s. 290). Wymówiła to królowa Elżbieta Pawłowi Działyńskiemu w Londynie 1597. — Skoro Zygmunt w Europie lepiéj dał się poznać, już posłowie państw z Ligą wojujących, niebronili Polski w Stambule.

Kiedy tak z trzech stron Zygmunt potężnych nieprzyjaciół na Polskę podburzył, sprzymierzeńcy jego ani razu nie dali mu czynnéj pomocy i owszem, jak to niżéj obaczymy, łudząc go obietnicami, wstrzymali go powielekroć, ze szkodą Rzeczypospolitéj, od zawarcia pokoju korzystnego, przez Szwedów samychże ofiarowanego. Nie ten jednak zawód Ligi katolickiéj był ciosem najdotkliwszym dla Rzeczypospolitéj; boleśniejszém i w skutkach opłakańszém pokazało się to, że naród przyuczał się z pewną obojętnością patrzeć na wojnę przez Szwedów, jakoby nie jemu, ale królom jego, wydaną. Prawdą jest podobno, że u nas zawsze znajdzie się, i w umysłach zaważy powód, w obec którego niepotrzebne się zdają wysilenia wszystkie i ofiary, który nam dozwoli nic nie robić i rozgrzeszy z naszéj obojętności. Wiadomo jak trudno było naszym królom otrzymać od sejmu podatki na wojnę z najgroźniejszemi często nieprzyjacioły. A kiedy z tą zwykłą u nas obojętnością złączył się argument dość sprawiedliwy, że Rzeczpospolita nie powinna marnować sił swoich na wojnę z państwem, które nie ma nic do niéj, tylko z jéj królem się spiéra, nastały czasy prawdziwego dla Polski poniżenia, że kraj tak wielki, ludny, bogaty, podatkami najmniéj w Europie obciążony i do wojny ochotny, nieumiał, bo nie chciał, oprzeć się tak małemu jak Szwecya państwu. Naród przyuczał się zwolna znosić obojętnie utraty prowincyj, jednéj po drugiéj, a to lekceważenie całości Rzeczypospolitéj, chociaż już widne w XVI wieku, upowszechniło się niejako i przyjęło głównie od wojen Szwedzkich.

Karol w r. 1600 wkroczył do Inflant z wojskiem dość liczném. Prowincya ta była nieobronna, i w sześć tygodni, z wyjątkiem Kohenhauzu, Dyamentu i Rygi, wszystkie jéj fortece dostały się w moc Szwedów. — Ale ten napad Karola i łatwe zdobycze, jeszcze tą razą wywołały oburzenie w Rzeczypospolitéj, i gdyby z niego Zy-

gmunt umiał korzystać, stryj jego przypłaciłby srogo tę swoję zuchwałość. Ostatni to był dla starszej linii Wazów uśmiech fortuny; nieschwycony w czas przeszedł bezpowrotnie.

Zamojski objął dowództwo nad wojskiem, przy którém król był obecny. Działania wojenne rozpoczęły się w jesieni 1601. Czas był przykry, po wielkich deszczach nastąpiły tęgie mrozy. Zygmunt znudzony obleganiem fortec i umęczony trudami wojennemi, których nielubił, prędko wrócił do Warszawy. — Odjeżdżającego błagał kanclerz aby wcześnie z panami i sejmem obmyślił sposoby prowadzenia dalszéj wojny, z któréj dobrze dla sprawy jego tuszył. W istocie Karol nie mógł oprzeć się dzielności i szczęściu wodza polskiego, wszystkie zdobycze utracił. Kilkakrotnie pobity, z wojskiem rozproszoném lub zdemoralizowaném, odstąpił kiedy jazda polska już pustoszyła Estonią. Wróciwszy do Sztokholmu, spostrzegł że powszechnie brano mu za złe ten napad Rzeczypospolitéj, i że nieszczęśliwie prowadzona wojna dużo mu popularności odjęła. — Podniosła głowę Zygmuntowska partya, byli téż w kraju jego ajenci, a wojskowi przybyli z Inflant szerzyli niezadowolnienie. Do tego przydać należy że rok 1602 był ciężki; niezwykła wilgoć i zimna zniszczyły zboże na pniu. Podczas sejmu, w lecie 1602, ludzie umierali z głodu na ulicach Sztokholmu. Zaraza z Finlandyi przeniosła się do Szwecyi. — Karol niemogąc przemódz opozycyi na sejmie, oświadczył (16 Czerwca 1602) że gotów jest złożyć rządy i niechaj Stany, jeśli chcą, powołują do tronu króla Zygmunta lub syna jego.

Ten stan rzeczy szwedzkich nie był tajny Zygmuntowi; Zamojski téż, który wszystkie swe wojny na ziemi nieprzyjacielskiéj zakończał, widział że i teraz można ją do Szwecyi przenieść szczęśliwie. Nalegał więc na króla, aby chwili drogiéj nieopuszczał, o wojnie myślał,

gotował nową wyprawę. Przedstawiał że chodzi tu i o pomszczenie honoru Rzpltéj i prawa królewskie do szwedzkiego tronu.— Próżne upominania! Nie mógł hetman uprosić nawet żołdu dla wojska, które, zapobiegając jego rozproszeniu, z własnéj kieszeni płacił. — Tymczasem doniesiono mu z Warszawy, że z umysłu stawiają mu przeszkody do prowadzenia dalszéj wojny. „Dworacy królewscy, pisze Piasecki, Potoccy mianowicie, choć protekcyą kanclerską wyniesieni, szerzyli na niego oskarżenia że wojsko podnieca do buntu przeciw królowi.“ Powiadano że dla swojéj chwały wyszukuje powodów do wojny już niepotrzebnéj, skoro nieprzyjaciel w znacznéj części ustąpił z ziemi polskiéj. — Tak więc opuszczony od króla, dręczony zawiścią dworaków, zrażony, złamany trudami i wiekiem, opatrzywszy jak mógł miasta i zamki odzyskane, zdał dowództwo Chodkiewiczowi i powrócił do Zamościa.

Chodkiewicz, niemając téj co Zamojski fortuny ani powagi, narażony był jeszcze na twardsze przykrości.— Powiedziano że wszystkie niemal polskie zwycięstwa były cudowne, gdy z drobną siłą łamano potężnego zazwyczaj nieprzyjaciela. Może ta uwaga być zaszczytną dla dzielności wojska Rzeczypospolitéj, ale nie przynosi chwały ani jéj rządności, ani gorliwości obywatelskiéj mieszkańców. Pod Kirchholmem walczyło polskiego wojska 6,000, pod Kluzynem 8,000, pod Chocimem, w chwili największego Rzeczpltéj niebezpieczeństwa, 30,000. — A saméj szlachty było w Polsce i Litwie do dwuchset tysięcy! Francya od Rzpltéj mniejsza i mniéj ludna, prowadząc wojnę zaczepną, utrzymywała naraz sześć armij po 20,000 tysięcy wojska liczących!

W r. 1604 wrócił Karol i z nowemi siłami do Inflant. Chodkiewicz, aby niepłatnemu wojsku nie dać rozejść się, sam stanął na czele wojskowéj konfederacyi. Bitwa pod Kirchholmem uwolniła Inflanty od nieprzyjaciela,— Karol bowiem z niedobitkami zaledwo zdążył wsiąść na

okręty, — ale wódz polski nie miał ani mocy, ani czasu korzystać ze zwycięztwa. Wojsko było nieopatrzone i tak uszczuplone, że z niem zdawało się niepodobna prowadzić kampanią zaczepną; wkrótce téż szczęśliwego wodza, Zygmunt zagrożony fatalnym rokoszem Zebrzydowskiego, musiał odwołać z Inflant.

Trwała wojna z rozmaitym szczęściem lat jeszcze kilka; ponosił ją zostawiony prawie własnym siłom Chodkiewicz, wysłany znowu do Inflant po bitwie Guzowskiéj. Zawarto nakoniec, na warunkach *uti possidetis*, rozejm do Czerwca 1612, przedłużony o rok, następnie o cztéry miesiące, nakoniec do 20 stycznia 1616. — Król, szwedzki Gustaw Adolf, zatrudniony wojną z Duńczykami i Moskwą, potrzebował z téj strony spoczynku, lecz nie był on dalekim od wieczystego pokoju, pod warunkiem aby go król Zygmunt zostawił w spokojném posiadaniu tronu. Zygmunt nie chciał ani przypuścić téj myśli; właśnie podówczas roił on najświetniejsze projekta. Dwór jego stał otworem dla cudzoziemców, wszelkiego rodzaju awanturników, którzy jakoby stósunkami swemi i wpływem za granicą, wyrobić mu przyobiecywali silną pomoc przeciw Szwecyi. — „Przybyły do Polski, mówi Piasecki, Michał hrabia Althein, szczególny wojny szweckiéj doradzca, brał na siebie zwerbować 20,000 Niemców i przewieść ich do Szwecyi, — ale nie miał żadnego doświadczenia w formowaniu wojska i w sprawowaniu floty. Zbiegły od Rudolfa cesarza, Franciszek Tenagel, przez Zygmunta kanclerzem Szwecyi mianowany i Szwed Gabryel Poze (właściwie Jerzy Posse) mieniąc się już dowódzcami wyprawy, rozgłosili wojnę po Szwecyi i drukowanemi króla manifestami, usiłowali podburzyć mieszkańców królestwa tego przeciw Gustawowi, jako przeciw nieprawemu panu. Jakoż ten lud dałby się był podburzyć, i sprawy Gustawa byłyby w niemałym kłopocie, gdyby tam siła jakaś wojskowa pręd-

ko stanęła, pod której zasłoną stronnictwo Zygmuntowe mogłoby wzrosnąć. Lecz gdy owe wojska i floty Altheimowe nigdzie niepokazywały się, Szwedzi ostrzeżeni przykładem tych, którzy za Karola radom podobnym Zygmunta posłuszni, późniéj opuszczeni, poginęli, nie dali się już uludzić tym płochym podnietom [62]." Były one jednak dostateczne aby Gustawa ostrzedz, który wnet zapewnił sobie pokój od Danii, posiłki od Holandyi, pieniądze od Szwedzkich stanów, i nieczekając Zygmuntowego wojska u siebie, w lipcu 1617 wkroczył z armią liczną do Inflant. — Bronił téj prowincyi Krzysztof Radziwiłł swojém, w znacznéj części wojskiem, uratował Rygę ale nie mógł ocalić Dyamentu i Parnawy. — W zimie 1618 Polacy spustoszyli Estonią. Rozpoczęły się układy; Gustaw ofiarował pokój, i przystawał aby granice obu państw były jak przed rokiem 1600 [63]) Zygmunt niedał sobie mowić o pokoju i niepotwierdził rozejmu na dwa lata zawartego.

[62]) Nieodwołuję się tutaj do wydanych przez p. Wójcickiego *Pamiętników do panowania Zygmunta, Władysława* etc. w dwóch tomach w Warszawie 1846. P. Wójcicki zapewnia że to dzieło przez niego odkryte „wiele faktów nieznanych podaje, wiele znanych lepiéj wyjaśnia i t. d. — Tymczasem jestto proste tłumaczenie Piaseckiego (z opuszczeniem rzeczy do Polski nienależących) po rok 1639; w drugim tomie skrócona kompilacya Kochowskiego. — Taka pomyłka może każdemu się zdarzyć, kto wydając nowe materyały, niestara się zaznajomić z dawnemi. Ależ wtedy nietrzeba zwodzić mniéj świadomą publiczność przemową tak szumną, jak ta, która właśnie znajduje się przy téj pana Wójcickiego niefortunnéj publikacyi.

[63]) Różnią się w tém miejscu historycy polscy od szwedzkich. — Ci tylko Inflanty mają na myśli, tamci Inflanty i Estonią. Przyczyną nieporozumienia była nierzetelność Eryka Sparres, posła Jana III, który (1587) dopóki był w Polsce odstępował Estonii imieniem pana swego, wróciwszy do Szwecyi głosił że nie odstąpił (Geijer II 243). W istocie rząd szwedzki nigdy niezobowięzywał się do odstąpienia Estonii. Wiadome są z tego powodu spory Zygmunta z Zamojskim przy koronacyi.

Niebezpieczeństwo wielkie od Turcyi groziło pod te czasy Polsce. Wszystkie siły Rzpltéj zwrócone w te strony, zaledwo mogły trzymać się odpornie pod biegłém dowództwem Chodkiewicza. Zygmunt z pospolitém ruszeniem, ostatnim ratunkiem Rzpltéj, szedł na pomoc hetmanowi. Korzystając z tego zatrudnienia Rzpltéj, Gustaw w lipcu 1621, po raz drugi wkroczył do Inflant i zdobył Rygę po sześciotygodniowém oblężeniu. Wyrzucano mu że napada na Polskę, kiedy ta broni Europę od nawału pogańskiego; odpowiadał, że wojny nieszuka, ale pragnie swego bezpieczeństwa, i byleby Zygmunt zrzekł się prawa do korony Szwedzkiéj (Gustaw zezwalał na tytuł króla Szwedzkiego), on niebędzie więcéj turbował Rzpltéj. W r. 1622 ofiarował po raz trzeci wieczysty pokój, żegnając się z Radziwiłłem, z którym umówił się o zawieszenie broni, te słowa do niego powiedział: „Staraj się aby, jak teraz ręce nasze, połączyły się i nasze serca, abym kiedyś i tę piechotę, i to wojsko, z którém walczycie, mógł wam ofiarować na wasze zbawienie przeciw Turcyi [64]).“ Ale Zygmunt odrzucił zawarty rozejm i obraził się na Radziwiłła że wojnę bez jego rozkazu zawiesił.

Miał Gustaw przyczyny pragnąć z Rzpltą pokoju. Wojna tocząca się w Niemczech od r. 1618, dała sposobność tamecznym katolikom uciśnienia protestantów. Umysł Gustawa rwał się na pomoc współwyznawcom; Francya i Holandya namawiały go do wojny przeciw Cesarzowi. Tém silniéj przeto dwory katolickie odmawiały Zygmunta od pokoju. Była nadzieja że Cesarz

[64]) „Da operam, ut sicut nunc manibus jungimur, ita et animis conjungamur, ut aliquando istum pedilatum et copias meas, quas cernitis, pro vestra salute contra Turcam offerre queam.“ *Colloquium inter Seren. Suec. Regem et Ducem Radzivilium Sept. 1622.*— Znajduje się ta rozmowa w dyaryuszu czynności Krz. Radziwiłła, *Teki Naruszewiczowskie voll.* 1622 i 1622-1630.

da posiłki, odnowiono też propozycye wysłania floty hiszpańskiéj na morze Baltyckie. Zygmunt skwapliwie chwycił się tych projektów i już odtąd pieszcząc ulubioną myśl wyprawy do Szwecyi, obojętnym był na wojnę przeniesioną do Prus królewskich, obojętnym na klęski, które ta prowincya ponosiła, głuchym na przedstawienia Senatu i posłów.

W roku 1627 Stany Holenderskie, których handel z polskiemi prowincyami przez wojnę pruską coraz bardziéj cierpiał, i Elektor Brandeburski, ofiarowali pośrednictwo swoje między Szwecyą i Polską. Ale właśnie w tym czasie Zygmunt niecierpliwie oczekiwał doniesień z Madrytu. D. 21 stycznia (1627) pisze on do Izabelli, siostry Filipa III, regentki Belgii. „Posełamy do króla katolickiego, sekretarza naszego Stanisława Mąkowskiego dla załatwienia pewnych naszych interesów, o których tenże ma rozkaz zawiadomić WXMość. Najusilniéj WXMość błagamy abyś i z swéj strony raczyła nam dopomódz i z floty Dunkierskiéj przynajmniéj dwanaście okrętów na morze Baltyckie wysłać kazała [65].“ Na co Izabella w ten sposób odpowiada (4 kwietnia). „Pisałam do króla katolickiego i najusilniéj poparłam żądania WKMości. Ale sądzę że ta mała ilość okrętów Dunkierskich, które się w téj chwili tutaj znajdują, spotkałaby wielkie trudności przy przeprawie Zundu. Dla tego inny środek obmyśliłam, o czem sekretarz WKMci opowie.“ Był zaś następny: wraz z Mąkowskim przyjechali do obozu królewskiego posłowie hiszpańscy baron d'Auchi i Gabriel Le Roy. Przyrzekł pierwszy od swego króla flotę 24 okrętów liniowych; nim zaś te zbiorą się i przybędą na morze Baltyckie, oraz dla zwiększenia

[65]) Z archiwum Belgijskiego, Vol.„ *Correspondances d' Isabelle avec les Rois du Nord.*“ Listy w tym woluminie znajdujące się są originalne, z podpisem i pieczęcią królewską.

ich siły, Gabryel Le Roy otrzymał rozkaz i fundusze zakupić w Lubece i w innych miastach hanzeatyckich potrzebną ilość okrętów na imię cesarza i Wallensztajna. Zygmunt ożywiony temi obietnicami, natychmiast zerwał rozpoczęte negocyacye, z wielkim żalem komisarzy polskich, i już się niedał do nich namówić, gdy następnego roku, Richelieu przysłał na miejsce wojny Charnacego ofiarując pośrednictwo króla chrześciańskiego [66]). Ale flota hiszpańska nieprzypływała; wysłany do Lubeki Gabryel Leroy nic niesprawił, bo miasta hanzeatyckie odmówiły okrętów. Chciał je Zygmunt w Gdańsku uzbrajać i Pawłowi Piaseckiemu rozkazał prosić barona d'Auchi aby na nie udzielił coś z tych 200,000 talarów przez Hiszpanią przyrzeczonych. Poseł hiszpański wymówił się brakiem instrukcyj, i zamiast pieniędzy dał Zygmuntowi radę wysłać polskie okręty z Gdańska do portu cesarskiego Rostoku, co przyśpieszyć miało zebranie się floty. Zezwolił na to łatwowierny Zygmunt, własnym kosztem okręty polskie do téj wyprawy przygotował, niemniéj przeto, z niecierpliwością, wyglądał pomocy hiszpańskiéj. Mamy w ręku list jego 4 kwiet. 1628 pisany do Izabelli. „Wspólność naszych interesów i zaufanie które pokładamy w życzliwość WXMości ku nam, wymagają tego abyśmy Ją uwiadomili o obecnym stanie naszych interesów, a mianowicie o postępie wojny szwedzkiéj. Rzeczy tak się mają, że chociaż znamy chytrość naszego nieprzyjaciela i umysł jego daleki od pokoju, nagleni prośbami stanów naszego królestwa polskiego daliśmy wiedzieć, że niewzdrygamy się od pokoju pod słusznemi warunkami i zezwoliliśmy na traktowanie. Stało się jednak co przewidzieliśmy; nieprzyjaciel holenderskiemi mianowicie przestrzeżony radami,

---

[66]) O tém pośrednictwie Francyi obacz *Pamiętniki Richelieugo* ed Petitota t. V s. 124-143.

dał się poznać że tylko zwłoka była mu potrzebna; wojny zaś pragnie, choćby wiecznéj, przez którą siły całéj Ligi katolickiéj rozrywa. Nic nam więc niepozostaje, jak prowadzić daléj wojnę, ale ponieważ tak ciężką jest, potrzebujemy pomocy od naszych przyjaciół. Żądaliśmy aby JCMość przysłał nam nieco piechoty niemieckiéj, którąbyśmy do Szwecyi przerzucili, lecz na pewno ztamtąd rachować niemożem, gdy Cesarz Imci wojną niemiecką jeszcze jest zatrudniony. Dla tego nadzieje nasze szczególniéj pokładamy we flocie przyobiecanéj nam przez króla Imci katolickiego i przez WXMość. Najusilniéj błagamy abyś WXMość kazała ją spiesznie wyprawić. Tu nic nam dotąd niedano, nic nawet nieprzygotowano. Gabryel Leroy i okazyą tak dobrą, i zimę całą stracił, nieprzysposobiwszy jednego statku. Nasza tymczasem flota pospiesznie w Gdańsku przyrządza się, i około maja stanie ukończona. Ale najwięcéj nam chodzi o to, abyś WXMość wysłała flotę Dunkierską do Zundu, i do portu Szwedzkiego Elfsborgu, aby tam, jeźli można, pewną ilość wojska wysadzić i utrzymać. Prędzéj bowiem dopniemy celu, jeźli na naszego nieprzyjaciela z różnych stron uderzymy.“— Izabella choć jasno widziała trudności tak wielkiego przedsięwzięcia, i niechciała niemal na pewną zgubę okrętów swych narażać, niekazała jednak Zygmuntowi odbierać nadziei, „przez uszanowanie, jak mówi, dla króla tego.“

Gdy znowu długie miesiące upłynęły, a flota niejawiła się, Zygmunt niezachwiany w zaufaniu do swych mniemanych sprzymierzeńców, nowym listem (28 sierp. 1628) swe prośby przypomina. „Zależało nam wielce, pisze do Izabelli, w ciągu téj naszéj wojny aby flota Dunkierska, jako spodziewaliśmy się, wyprawioną była do Zundu i do portu Elfsburskiego. Przekonani jesteśmy, że WXMości niezbywało w tém na dobréj chęci i bła-

gamy ją najmocniéj, aby usunąwszy trudności, które jeszcze są, wyprawiła tę flotę do cieśniny Zundu. Potrzeba także abyś WXMość wiedziała że Gabryel Leroy żadnéj floty na morzu Baltyckiém nieprzyrządził, chociaż ją powinien był mieć gotową od października z. r. W tak ciężkim niedostatku i pozbawieni okrętów nam przyobiecanych, niewiemy już czego spodziewać się mamy, chyba że całą naszę nadzieję położymy w znanéj nam WXMości życzliwości.“—Próżne błagania, Hiszpania nigdy podobno niemyślała przysłać Zygmuntowi okrętów, chodziło jéj tylko, aby łatwowiernego Zygmunta pokrzepiać obietnicami, i niedozwalać Gustawowi zwrócić swe siły na Cesarza. Ostatni list Zygmunta w tym przedmiocie pisany jest z 22 stycznia 1630. W nim nieżąda już przysłania hiszpańskich okrętów; prosi tylko o zwrót swoich, posłanych w r. 1628 do Rostoku i tamże zatrzymanych.

Pomimo dzielności Koniecpolskiego, który wojsku polskiemu przeciw Gustawowi dowodził i kilka razy odniósł nad nim dość znaczne korzyści, niewiodła się Polakom ta wojna; niemożna też czytać bez smutku jéj historyi. Szlachta uchwaliwszy na rok jeden znaczny podatek na wojnę, rozumiała że już zrobiła wszystko, czego po niéj wymaga powinność względem Rzpltéj. Bolała ją utrata prowincyi, sarkała na króla, ale sama niepoczuła się do obowiązku wsiąść na koń i Szwedów odpędzić. Mieliśmy zaś do czynienia z człowiekiem który równie wielkim był wodzem, jak bystrym politykiem, i doskonale umiał korzystać z błędów i gnuśności nieprzyjaciela. Jest bowiem godném uwagi że ilekroć Rzplta prowadziła wojnę, nieprzyjaciele jéj kierowali swoje plany bardziéj wedle naszych obrad i uchwał sejmowych, niż wedle siły, którą naprzeciw nim wystawiono. Jeźli sejm spokojnie się odbył i dał na wojnę pieniądze, zaraz nieprzyjaciel okazywał się gotowym do pokoju, lecz

wymagania swe wnet powiększał, skoro sejm, wpośród wojny zakłócony swarami z królem, na niczém się rozszedł. A tak niedołężność sejmów i nieustanne u obywateli poświęcenie rzeczy publicznéj dla prywaty, były nieprzyjacielowi zachętą do wytrwania. W r. 1628 mówił kanclerz szwedzki Oxenstirn. „Niejesteśmy my tacy, żebyśmy królestwa polskiego potencyi niemieli widzieć i onéj się obawiać, ale patrząc na konfuzyą i niezgodę, nieobiecujemy sobie aby nam kiedy Polacy ciężcy być mieli. Bo kiedybyśmy porządną uchwaloną obaczyli wojnę, niedalibyśmy się wybijać, sami byśmy ztąd ustąpili [67].“ Nieuchwaliła jéj Rzplta ani razu i musiano zawrzeć hańbiący rozejm w Altenmarku (15 września 1629).

Dla skrócenia tego przydłuższego wstępu, porównajmy kilka dat.

W r. 1594 Zygmunt III koronowany był jako król Szwedzki.

W r. 1599 utracił całą Szwecyą, prócz Finlandyi i Estonii.

W r. 1600 traci te prowincye i część polskich Inflant.

W r. 1618 stracił Parnawę, 1621 Rygę, do roku 1624 całe niemal Inflanty i Kurlandyą.

W r. 1623 wojna przeniosła się do Prus i znaczna część téj prowincyi w r. 1627 była w ręku Szwedów. Król Szwedzki stał w Prusiech na czele 30,000 wojska; proponował jednak rozejm na lat 30 i oddawał Polsce Prusy, Kurlandyą, Inflanty, Estonią tylko zatrzymywał do negocyacyj o pokój wieczysty.

W r. 1629 Zygmunt zawarł nakoniec sześcioletni rozejm, w skutku którego Szwedzi zatrzymali Inflanty, część Prus, i Kurlandyi. Rzplta utraciła porty swe na morzu Baltyckiém: Piławę, Elbląg, Kłajpedę; cło gdań-

[67]) Przyłęcki *Pamiętniki o Koniecpolskich* Lwów 1842 s. 81.

skie w trzech częściach do króla Szwedzkiego, w dwóch miało należeć do miasta. Tak Zygmunt jak Rzplta przyznali Gustawowi tytuł królewski. Zawarowana wolność wyznania Ewangielickiego w Prusiech.

Rozejm ten a następnie śmierć Zygmunta uchroniły Rzpltę, na czas pewien, od dalszych strat. Jestto ostatnie dzieło w historyi dyplomatycznéj Zygmunta. Niemamy śladu aby odtąd, przez resztę lat życia swego, mieszał się do spraw Ligi katolickiéj lub od niéj rady przyjmował.

(d. c. n.)

B. Kamieński.

KOMEDYI DANTA

PIEŚŃ XXV.

PIEKŁO.

Poeta opowiada bluźnierstwo potępieńca Fucci, jego ucieczkę, dalej Cacusa Centaura, wreszcie opisuje przemiany piekielne Florenckich zbrodniarzy.

Kończąc swe słowa ohydne złoczyńca,
Podniósł ramiona z palcy zkręcił figi
I krzyczał: spiesz się boże, to dla ciebie.
Więcże drużkami stały mu się żmije,
Jedna z nich kręto szyję mu ściągnęła
Jak gdyby sycząc: nie bluźniejże więcéj,
A druga żmija ręce mu oplotła,
I zakrzywiły łby jak gwoździe w deskach,
Że w owych kręgach skinąć nie mógł głową.

O ty Pistojo! czem nie weźmiesz przed się: *)
Zczeznąć w popiele i zakończyć trwanie,

***) Pistoja założona przez buntowników Catiliny którzy skazani zostali na osiedlenie w miejscu przegranej bitwy z Cezarem.**

Gdy w złych uczynkach przodków swych wyprzedzasz?
Przez wszystkie ciemne piekielne podziały,
Ducham nie widział tej na boga pychy,
Niczem burzliwiec pod mur Tebów spadły.
I pomknął stopy nie rzekłszy ni słowa,
A jam wściekłego ujrzał Centaura
Jak lecąc wrzeszczał: gdzie on? gdzie zacięty?...

Maremma wątpię aby miała tyle
Gadzin pełzliwych ile ów na grzbiecie,
I aż do miejsca gdzie kształt człeka bierze;
Na grubych barkach po za karkiem z tyłu,
Z roztoczonymi smok go przysiadł skrzydły,
I zieje ogniem na każdego w drodze.
A mój przewodnik rzecze owo: Caco,
Który pod skałą góry Aventinu
Częstokroć z ciepłéj czynił krwi jezioro.

Nie jedna jemu z liczną bracią droga,
Bowiem złodziejstwo spełnił on podstępnie,
Trzódy sąsiedniej pobytu zbrodniarza,
I to się stało końcem jego sprawek,
Pod Herkulesa pałką, który może,
Sypnął mu setkę — dość było dziesięciu *).

---

*) Przeto w niespodzianém świetle odkrytego,
A niezwyczajnie becząc—skałą zawartego
Herkules pociskami i co mu przypada
Do rąk, zwierzchu kamieniem gałęziem okłada;
A on bo zawarty miał trakt ku uciekaniu,
Z paszczeki dym ogromny strach ku wspominaniu
Wypuszczał, a dym w ciemnéj zapełniał kurzawie,
Chcąc się tym przed oczyma jego zchronić prawie,
Więc dymo-pełny obłok z wielkiem zaciemnieniem
Po jaskini rozpuszcza na poły z płomieniem;
Nie mógł wytrwać Alcydes cny onego, ale
Precz ogień całym pędem poskoczy ku skale,

Kiedy mistrz mówił Caco przebiegł wtedy,
I troje duchów stanęło przed nami,
Tych ni ja ni on nie ujrzelim zrazu,
Aż zawołali: o wy! kto jesteście?...

Więc pogadanka przerwała się nasza,
I na nich całą przenieślim uwagę.
Ja ich nieznałem, lecz się tak zdarzyło
Jak to czasami trafem się wydarza,
Że jeden imie wymienił innego
Drugiemu rzekłszy: Ciaufa kędyż dział się *)

Więc ja zwracając baczność przewodnika
Palec od brody pomknęłem do nosa —
O! czytelniku jeślić trudno wierzyć,
W to co usłyszysz nie zdziwi mnie wcale,
Gdy ja com widział ledwie sobie wierzę.

W czas kiedym na nich oczy moje trzymał
Wąż sześcionożny na jednego piersi,

Tam gdzie dymu największa hojność się kurzyła,
A w ciemnej mgle jaskinia sroga się burzyła,
Tam Kakusa gdy płomień darmo z gęby toczy;
W ciemności porwanego więc ku sobie tłoczy,
Zwinąwszy gardło ze krwi ostradane dławi,
I z oczmi wylazłemi zdechłego zostawi,
Zatem drzwi odwalone, jaskinia szkaradna
Otworzoną zarazem kędzij kradzież zdradna
Wszystkim zajęte woły ony się pokażą;
W tym za nogi sprośnego trupa wywlec każą.
Nasycić serca swego patrzając niemogą,
Poznawając straszliwe oczy i twarz srogą,
I po piersiach szczeciną obrosłego dziwa,
Jak mu wpaszczy zagasły ogień dodymiwa, —
Virg. Enejdy ks. 8.
Tłom. JĘDRZEJA KOCHANOWSKIEGO.

*) Cianfa był krewnym Dantego przez żonę Gemmę Donati.

Rzuca się szybko i całego czepia.
Średnimi łapy brzuch ścisnął do brzucha,
Wyższymi ręce wolne mu zbezwładnił,
I szarpnął kłami obiedwie jagody.
Tylne mu łapy zakręcił za uda,
A giętki ogon środkiem nóg przemknąwszy,
W podłuż pacierza aż pod kark wyprężył.

Nigdy bluszcz równie nie piął się tak szczelnie
Do kory drzewa jak ow hydny potwór
Z cudzymi członki splótł swe straszne cielsko,
Potem się zleli jak wosk ciepły oba,
I pomieszali kształty swe i barwy,
Mieniąc się z osób w nieforemną massę,
Jak się to dzieje gdy zwolna od ognia
Szerzy się barwa po papierze ciemna,
czarną nie jest i białéj już niema.

Dwaj drudzy patrząc zdaleka i każdy
Wołał: o jakże zmieniasz się Anielo!
Wszakci nie jesteś ni jednym ni dwoma,
Oba już w jeden wielki łeb przepadły,
W którym obojga zmieszały się rysy,
Na dwojej twarzy przetopionéj w jedno.
Ręce i łapy w pasma wyszły cztery,
Uda z nogami, brzuch i części dolne
Niewidzianego wzięły postać ciała,
Pierwotne kształty znikły w tem zgrupieniu,
Dwoisto-żadnym, podły zdał się obraz,
I takim ku mnie posuwał się krocząc.

Jako jaszczurka pod słonecznym spiekiem
W dniach kanikuły mknąc z gęstwin w gęstwiny,
Błyskiem się zdaje w swéj drogi przelocie
Takim się zdała w przerzucie do pasa,

Obu walczących żmija ognio-skrzysta
Sinawo-czarna jak pieprzowe ziarno,
I miejsce w którém naprzód się układa
Pokarm człowieka żądłem mu przebodłszy
Pod stopy jego zsztywniała odpadła.
Przeszyty spojrzał i nie rzekł ni słowa
Jeno się bardziej zasadził ziewając
Jak snem lub zimną febrą ogarnięty.
Wąż na człowieka, człek na węża zerkał.
Jeden przez paszczę a drugi przez ranę,
Dym wyrzucali i dym się wraz zbierał.

Niech zmilknie Lukan kędy wzmiankę czyni,
O nieszczęśliwym Sabellu, Nascydzie, *)
I niech uwagę w jaw obecny zwróci.
Owid o Kadmie i Arecie zcichnie,
Pierwszego w węża drugą w wytrysk wody
W pieśni swéj mieniąc, ni zacz mi to zda się.
Nigdy on tworów dwóch tak kropla w kroplę,
Nie przeobraził, iżby skład obojga
Drżał za odmianą razem swéj istoty.

Przemiana szybka była w tym sposobie
Że wąż na widła ogon swój rozszczypał,
Raniony zasie zwarł ściągliwe stopy
Nogi i uda wyciągnięte razem,
Tak się zjednały że w tejż chwili stawy,
Nie zostawiły po sobie odznaki.

Przybierał ogon rozszczypany postać,
Zanikającą kiedy owej skura

---

*) Sabellus i Nascydus żołnierze Katona zmarli od ukąszenia wężów w pustyni.

Miękła na człeku w jedno-czas twardniejąc.
Ramionam widział jak w pachach klęsnęły,
Kiedy potworu grube łapy krótkie
W miarę wciągania pierwszych przedłużniały;
Więc tylne łapy by warkocz splecione
W część się tajemną zmieniły człowieka,
Która owemu w widły się rozwiodła;
Kłąb dymu obie zawełnił postaci
Nową dał barwę i włos zakędzierzył
Po jednej stronie, wyłysił po drugiej.
Tak jeden stawał a drugi się zmykał,
Nie znosząc z siebie bezbożnego wźroku,
Pod którym wściekłe przemieniali mordy.

Stojący paszczę pociągnął ku skroniom
I z zbytku cielska które zebrał w garści,
Wylazły uszy chłapiastéj paszczęki,
To co zostało z ostrych uszu zlepu,
Nos utworzyło na ohydnem pysku,
Zgrubiwszy wargi w miarę ile trzeba.

Ow co się pełzał mordę naprzód pędzi,
I z wolna marszcząc uszy wciąga w głowę,
Jak ślimak wsuwa pod skorupę rogi.
Język wprzód w mowie niewściągliwie wartki
Wraz się rozszczepia gdy drugiego żądła
Mienią się w język i dym się rozrzedza.

Potwór co z człeka w węża się przerzucił,
Pierzcha rozgłośnie oziewając padoł,
Scigany wrzaskiem i plwociny drugiej —
Więc się odwrócił zmienionymi plecy
I rzekł do świadka: niechże biega boso
Jak ja czyniłem pełzając tą drogą. —

Tak ja widziałem piekła koło siódme
Wzmianach przemianach i tu mi wybaczcie
Żelazo stylu co pogardza kwiaty.
I chociaż oczy me były znużone
W cieniach i dusza zebrać się niemogła,
Niepodążyli przepaść tak gwałtownie,
Iżbym niepoznał Puccia Sciancato,
Jednego ze trzech piekielnych przybylców,
Który się w własnéj utrzymał postaci
Drugi był źródłem twoich łez Gavillo.

Ciesz się Florencyo! ciesz się w swéj wielkości,
Że skrzydły ziemię okryłaś i morza
I w paszczę piekła imie twe się wlewa,
Między złodziejmi pięcium widział takich
Od których wstyd mi wciąż obywateli.

Teofil Lenartowicz.

PIESN II.

CZYŚCA.

Wschodzące słońce Danta i Wirgiliusza jeszcze na brzegu morskim zastaje. Wieszcz spostrzega łódkę anioła przewożącego dusze do Czyśca. Skazane przez czas długi na pośmiertne nad brzegami śródziemnego morza pokutowanie, zostały one nareszcie wybawionemi ztamtąd przez jubileusz ustanowiony w grudniu 1300 r. od papieża Bonifacego VIII, i przewożą się do Czyśca dla dokończenia pokuty. Dante poznaje w ich gronie przyjaciela swego sławnego muzyka Casetta, który mu śpiewa własną pieśń jego ułożoną przed laty na cześć Beatriczy. Katon, strażnik Czyśca, gromi dusze, które urok pieśni téj wprawił w zapomnienie dalszéj drogi.

Już było słońce za widnokrąg zaszło,
Którego obłąk południowy kryje
Jerozolimę pod zenitem swoim: *)

A noc odwrotnym kołując obiegiem,
Z nurtów Gangesu wynosiła Wagi,
Które wzrastając z rąk upuszczać zwykła **).

---

*) Poeta powiadając iż słońce zaszło za widnokrąg Jerozolimy chce przez to oznaczyć, że wchodziło nad Czyścem, leżącym wedle niego na drugiem półsferzu ziemi.

**) Ponieważ słońce było pod znakiem Barana, noc zatem wychodziła ze znaku Wagi, który pierwszemu jest przeciwległym. Wagi te, symbol równości światła i cienia, wypadają z rąk Nocy, gdy górę nad dniem bierze.

I śnieżne lica zapłonionéj Zorzy,
Z miejsca gdziem stanął, od dziennego blasku
By zestarzałe zdawały się żółknąć.

Staliśmy obaj po nad morzem jeszcze,
Jak pątnik w przyszłą wmyślon cały drogę,
Co sercem idąc, zostaje więc ciałem.

Alić jak nieraz o jutrzennym świcie
Gwiazda się Marsa z po za mgły czerwieni,
I zachodząca kłoni się ku morzu;

Takie ujrzałem—i jeszcze w nie patrzę,
Światełko morzem bieżące tak chyżo,
Iż biegu jego lotby nie doścignął;

A gdym na chwilę odwrócił źrenice
By przewodnika o zjawisko badać,
Jużem je spostrzegł jaśniejszém i większém.

A w koło światła po obojéj stronie
Coś zabielało, niewiem, i z pod niego
Także coś białe zwolna róść zaczęło.

Mój zaś przewodnik stał wciąż nieruchomy,
Gdy się wychylać śnieżne jęły skrzydła,
Lecz gdy sternika rozpoznał już dobrze

Zawołał: Śpiesz się, śpiesz się klęknąć przed nim:
To anioł Boski; złóż ze skruchą dłonie:
Niemałoć ujrzysz podobnych zesłańców.

Widzisz jak gardzi morską ludzi sztuką,
Nie chce ni wioseł, ni innego żaglu
Nad skrzydła swoje, ku dalekim brzegom.

Patrz jako w niebo roztoczył ich dwoje,
Wiosłując w wietrze wieczystemi pióry,
Co się nie mienią jak włos ludzkiej głowy.

I w miarę potem jak się zbliżał ku nam
Ptak boski, coraz jaśniejszem się stawał,
Iż słabe odeń ćmiło się me oko.

Więcem je spuścił, on zaś przylądował
Czółenkiem swojém tak drobném i lekkiém,
Że się nic w morskiej nie nurzało fali.

Na rufie *) rajski stał żeglarz tak piękny,
Iżby z opisu mógł ubłogosławić,
A w łodzi ludzkich sto duchów się wiozło.

In exitu Israel de Aegypto
Śpiewały jednym głosów swoich chórem,
Psalm nucąc z jego następnemi wierszy.

Potém je świętym żegnał wszystkie krzyżem,
A gdy się tłumnie rzuciły do brzegu,
On równie szybko jak przybył, odpłynął.

Wysiadłe grono w zdumieniu podziwiać
Kraj ten się zdało, spozierając w koło,
Jako człek w nowe wpatrzony przedmioty.

Zewsząd już blaski rozstrzelało dzienne
Słońce, co godząc prześwietnemi groty
Z pośrodka niebios Koziorożca zgnało,

---

*) **Rufa**, tylna część okrętu lub łodzi (*puppis*). tak jak sztaba (*prora*) jest przednią. Tych wyrazów używa Jędrzéj Kochanowski w przekładzie Eneidy.

Gdy nowi goście podnosząc swe czoło
Ku nam spytali: Jeśli o niej wiecie,
Wskażcie nam drogę wiodącą ku górze.

Wirgil im odrzekł: Wy mniemacie może
Widzieć w nas obu duchy tej krainy;
Lecz z nas pielgrzymi, jako wy jesteście.

Na chwil niewiele przyszliśmy przed wami,
Acz inną drogą, tak stromą i leśną,
Iż lekkim nadal wstęp nam będzie wszelki.

Lecz dusze one poznawszy na razie
Z oddechu mego, iżem żyw zostawał,
Zdumieniem zjęte otrętwiały prawie.

I jak posłańca z oliwnika rószczką
Okrąża licznie tłuszcza nowin chciwa,
A każdy k'niemu przedziera się wzawód:

Tak w twarz mą oczy zesłupiły owe
Błogosławione dusze wszystkie razem,
By tam niepomne gdzie pięknieją śpieszyć.

Jam widział jednę gdy wybiegła z grona
By mię uściskać tak serdecznym ściskiem,
Żem się podobnym wywzajemnił onéj.

O cienie marne złudnie rzeczywiste!
Trzykrociem w moje wiązał ją objęcia,
I trzykroć próżnią tuliłem do piersi.

Podziw mój, sądzę, odbił się na licu,
Bo cień z uśmiechem odstąpił odemnie,
A jam się za nim naprzód pomknął krokiem.

On zaś przesłodko: Stój! nagle mi rzecze:
Wtedy poznając kto zacz, jąłem błagać
By dla rozmowy zatrzymał się nieco.

Odpowie: Jakom kochał cię przed laty
W śmiertelném ciele, tak kocham bez ciała;
I przetom stanął; lecz ty, poco kroczysz?

Mój ty Casello, by tu wrócić kiedyś
W te same strony, podjąłem tę drogę,
Rzekłem; lecz ciebie, przecz tak zatrzymano?

On mnie zaś na to: Żadna mi ztąd krzywda,
Iż duch wożący kiedy chce i kogo,
Tego częstokroć wzbraniał mi przewozu;

Bo z słusznej woli wola jego płynie.
Trzeci już miesiąc jak wybiera z ziemi
Wybrańce swoje, i w pokój je wwodzi.

Jam także który nad morzem się błąkał,
Tam gdzie prąd Tybru w słone wpada tonie,
Łaskawiem odeń ogarnion i zabran

Z brzegów do których zawija w téj chwili;
Bowiem tam zawsze gromadzą się dusze
Na Acherontu nie wskazane głębią.

A ja doń: Jeśliś mimo śmierci prawa
Pomny i świadom miłosnego śpiewu,
Co zwykł był we mnie wszystkie żądze koić,

To miej za wdzięczne pocieszyć nim trochę
Duszę mą, która z cielesném brzemieniém
Wędrując tutaj, ustała tak wielce.

Miłość co w duchu wciąż przemawia moim *)
Zanucił wtedy cień on tak przesłodko,
Iż mi ta słodkość jeszcze nuci wewnątrz.

Przewodnik ze mną, i dusze z pieśniarzem
Idące, śpiewem tak się chłodzić zdały
Jak bezpamiętne zgoła i nieczułe.

Staliśmy wszyscy niemi, wesłuchani
W pieśń jego, alić starzec on sędziwy
Spieszy wołając: Co wam, duchy żmudne?

Co za ospałość i co za przestanek?
Bieżcie na górę pozbyć się ciężaru,
Który wam Boże zasłania widzenie!

Jako dzióbiące na wymłocie ziarno
Białe gołąbki zleciałe do żeru,
W cichym spokoju i bez żadnéj dumy,

Jeśli je spłoszy rzecz się jawiąc nowa,
Wnet odlatują zwykłego pokarmu,
Boć w nich przemogła o bespieczność troska;

Tak w oczach moich nowotna drużyna
Odbiegła śpiewu, mknąc ku wyższym brzegom,
Jak człek co idąc dokąd zajdzie niewie;

Ni mniej pośpiesznym był nasz także odchód.

---

*) Początek sławnéj pieśni Danta: *Amor che nella mente mi ragiona.*

PIEŚŃ XXIII.

RAJU.

Wieszcz zachwycony na dziewiątą sferę nieba, widzi Zbawiciela w postaci słońca opromieniającego świętych, i Bogarodzicę jako żywą gwiazdę; archanioł krąży w koło Maryi przecudnie śpiéwając; potém widzenie całe wzbija się w górę, a chór błogosławionych nuci hymn kościelny: *Regina coeli, laetare.*

Jako ptaszyna w ulubionéj gęstwie
Siedząc nad gniazdkiem miłych swoich piskląt,
Kiedy noc wszystko w ciemnościach utai,

By ich tęsknionym cieszyć się widokiem,
I karm uzbierać, którym żywi owe
Ptaszęcym piskiem mnogie trudy słodząc,

Wyprzedza ranek na gałązce wiéwnéj,
I z pragnień żarem wschodu słońca czeka,
Wciąż wypatrując, aza wstają zorze;

Tak Pani moja w górę wzięta stała
Tak zapatrzona i zwrócona w stronę,
Kędy wolnieje obieg słońca chyży.

Ja zaś ujrzawszy czekającą, żądną,
Jak ów się stałem, który pragnąc gardzi,
Teraźniejszością, bo nadzieją łudzon.

Lecz krótka przerwa oddzieliła żądzę
Od jéj ziszczenia, mogę rzec, bom widział
Na niebie rozświt szerzący się coraz.

A Beatricze rzekła: Oto hufce
Tryumfu Chrysta, oto plenny owoc
Zebrany z twojéj po sferach wędrówki.

Twarz jéj widziałem by w płomieniach całą,
A oczy miała wesela tak pełne,
Że je przemilczeć bez opisu muszę.

Jak w noc pogodną, w jasnéj swojéj pełni
Triwia *) się śmieje wśród wiecznych swych drużek
Zdobiących niebo skrolitemi wzory;

Podobném widział nad świateł tysiącem
Słońce, co wszystkie rozświeca je razem,
Jak to więc nasze zapala planety;

A w jego żywéj przezroczała jaśni
Przejasna istność, tak uwidomiona
Oku mojemu, iż olśnęło od niéj.

O Beatricze, miła, luba Pani! . . . .
Ona mi rzekła; To co cię ociemnia
Jest moc przed którą słaniasz się napróżno.

Tu jest mądrości i wszechmocny jednia,
Którą stanęła z ziemi w niebo droga,
Któréj wiekami wyglądały ludy.

---

*) Jedno z imion Dianny, czyli księżyca u Rzymian.

Jako z obłoku wydziera się ogień
I rozprzestrzenia nie objęty chmurą,
Wbrew swéj przyrodzie w dół błyskiem strzelając,

Zarówno duch mój całém niebem sycon,
Przerosłszy siebie, z siebie wypadł naraz,
I jakim stał się, spamiętać nie zdoła.

Podnieś źrenicę i spójrz, rzekła, na mnie;
Widzeń bezlikiem nadanać już władza
Znosić promienność mojego uśmiechu.

Byłem podobny myślą goniącemu
Senne widzenie, gdy wisileń mocą
Próżno w pamięci wskrzesza ono swojéj,

Kiedym usłyszał zachętę mojemu
Sercu tak lubą, iż zmazać się nie da
Na wieki z księgi gdzie spisana przeszłość.

Gdyby zanucił chór tych głosów cały,
Które Polimnia z ośmiorgiem swych siostrzyc
Karmiła mlékiem dźwięków na wieszczenie,

I niósł mi pomoc, atomu bym prawdy
Wygłosić nie mógł, święty sławiąc uśmiech,
Który jéj lica przezroczył i święcił.

Również Raj cały w pienie swoje garnąc
Pieśń namaszczona przerzucić się winna,
Jak ten co pędząc spotkał przekop w drodze.

Lecz kto rozmyśli ciężar mojéj treści,
I bark śmiertelność co dźwignęły one,
Ganić nie zechce drżenia pod ciężarem.

Nie sąto głębie dla wywrotnych łodzi,
Po których orze śmiała moja nawa,
Ni dla sternika co na wiatr się zdaje.

Przecz tak me lica rozkochały ciebie,
Że się nie zwracasz wzrokiem do kwietnika,
Co pod promieńmi Chrystusa się kwieci?

W nim mieszka Róża, w któréj Słowo Boże
Ciałem się stało, i w nim są lilije,
Których woń ludzkość drogą niebios ciągnie.

Tyle Beatrix Ja zaś jéj zachętom
Wszystek powolny, powiodłem raz jeszcze
Na bój ze światłem źrenice me wątłe.

Jak nieraz promień słońca płynął czysty
Z obłocznéj przerwy, na kwitnącą łąkę,
A jam chmur cieniem owiany weń patrzał;

Podobniem widział liczne świateł tłumy
Z góry wybłysłe z palących promieni,
Alem ich błysku nie dosięgał źródła.

Litośna mocy co je blaskiem dziejesz,
Tyś się przyćmiła, by ćmić się przestały,
Oczy w dół spadłe od blasków ciężaru!

Cudnego kwiatu imie co wspominam
Rano i w wieczór, chwyciło całego
Ducha, i niosło ku większemu światłu.

I gdy mi w obie świtała źrenice
Cudność i wielkość żywéj gwiazdy onéj,
Przed którą wszystko gaśnie, jak tu gasło,

Alić wskróś nieba zstępująca jasność
I obłączysto spierścieniona w wieniec
Objęła gwiazdę, jak na osi krążąc.

Dźwięki na ziemi przenajsłodziéj dźwięczne,
Duszę wczarować najmożniejsze w siebie,
Byłyby hukiem dartéj gromem chmury

Przy napowietrzném graniu takiéj lutni
Uwieńczającéj przepiękny on szafir,
Co najjaśniejsze rozbłękitnia niebo.

Jam jest anielska miłość, okręcana
Wiewem radości, który wieje z łona
Przybytku niegdyś Pożądańca ludów;

I krążyć będę, Pani niebios, póki
Idąc za Synem bóstwić będziesz sobą
Tę górną sferę, kędyś jest przytomna.

W te się wyrazy wirowa melodya
Zlewała, zasię inne świetelniki
Najświętsze imie rozdźwiękły Maryi.

Niebo królewskim zarzucone płaszczem
Na krąg wszech świata **), wrzące i żywione
Najbliżéj tchnieniem Bożém i miłością.

Górne swe krańce takiemi bezmiary
Dzieliło od nas, że przestrzeń przestrzenią
Zakryta, jeszcze nie doszła do jawu;

**) Najwyższe niebo czyli empireum, uważane przez Danta za przybytek Boga samego.

Więc wzrok mój w bezmiar pędzony nie zdołał
Goniąc dogonić uwieńczonéj gwiazdy,
Która za Synem wzbijała się swoim.

I jak niemowlę, co ku matki piersiom
Wyciąga rączki, iż mu karm odjęto,
A duszna żądza na licu mu gore,

Tak każde światło wyciągało blaski
W górę się dłużąc, i pałania wzrostem
Swą ku Maryi jawną czyniąc miłość.

I w niebo wzbite zawisły przedemną,
Regina coeli tak miłośnie nucąc,
Iż czar ich pienia śpiewa jeszcze we mnie.

O! jakaż plenność promieni zebrana
W tych arkach światła, co na ziemi były
Siewcami jasnéj cnót wszelakich siejby!

Tam życia nadmiar, tam wesela skarby —
Łez żniwo święte ronionych w tułaczce
Po Babilonii, w zamian za jéj złoto;

Tam tryumf wiedzie na wyżynach z Bożym
Synem Maryi, po ziemskiém zwycięstwie,
Wśród grona świętych obojga przymierzy,

Ten który dzierży takiéj chwały klucze.

WŁADYSŁAW KULCZYCKI.

ZAMIENNIK.

Powieść.

I.

Co się to wylęgło Szymonowéj Kowalisze? Jak sobie w tym razie poradził Szymon, a jak pani Maciejowa? Nieco o kumie Gryzeldzie i o jéj złośliwościach.

Kiedy Szymonowa Kowaliha wróciła nareszcie do przytomności, zapragnęła zaraz widzieć swoje dziecko tylko co urodzone. Tak więc baba pilnująca położnicy, musiała wstać, choć się już była zasiadła na długo, ażeby spełnić to jéj żądanie. Już się też było zciemniło w izbie, i dla tego nie mogła kobieta widzieć swojego dziecięcia, mogła je tylko chciwie namacać w ciemności, i serdecznie do ust przycisnąć. Ale w chwili kiedy to robiła, uczuła się ukąszoną w sposób wielce niemiłosierny — bo w usta same. Dzieciak przytem wyginał się, prężył i kwiczał, wydając głosy doprawdy nieludzkie. Kiedy wniesiono światło, biedna matka ze wstrętem (zdaje mi się żem powiedział „ze wstrętem“? ależ nie inaczéj nawet było), ze wstrętem ujrzała w dziecku

swojem istotę, bardzo mało — owszem, jak najmniéj nawet, do stworzenia Boskiego podobną. Pomijając, że miało zęby, co się także nie codzień zdarza, i to zęby duże, ostre, wilcze, co się raczéj nie zdarza nigdy, — miała w sobie ta istota coś z nietoperza, coś z pękatego imbryczka od kawy poobiedniéj, coś z ropuchy, i coś jeszcze z niewiedzieć czego. Brzuch wydęty, piersi wklęsłe, nogi i ręce cieniuchne a koszlawe, o palcach długich uzbrojonych w pazury do szpon podobne, głos chrapliwy, ale zarazem piejący, skrzeczący, kraczący. Twarz, któż widział kiedy twarz podobną? Trędowata, usta o wargach zajęczych, uszy długie, nos prawie żaden, a oczy! ogromne, wysadzone na wierzch, szklanne, przewracające się straszliwie, w ciągłym ruchu. Było jeszcze prócz tego stworzenie to kosmatem w sposób osobliwszy — bo wszędzie prócz na głowie. Nieszczęśliwa matka załamała ręce; i łzy puściły się z jéj oczu. Niestety! na jakże ciężką próbę uczuła się wystawioną jéj miłość macierzyńska! Jéj pierwsze, jéj wyczekiwane oddawna dziecię, uszczęśliwienie każdéj młodéj matki!...

Kiedy przyszedł Szymon, znalazł żonę swoją strapioną aż do rozpaczy, dzieciaka rozdrapującego pieluchy, i babę, która kiwała głową, w sposób niewiedzieć co znaczący. Obaczywszy świeżego przybysza przeraził się niemniéj od żony. Nareszcie wpadł w gniew srogi, i czepił się baby, jako był człowiek wielce prędki. Tedy stało się, że się kłócili, że sobie wymyślali, że się o mało nie bili. On gadał to albo owo — baba zaś ni to ni owo, — jednak, któż kiedy przegadał babę? Gadała choć Szymon nacisnął czapkę na uszy, gadała choć był już we drzwiach, choć już za drzwiami, choć i nie było go wcale. Ale nie wyszło pięciu pacierzy, wrócił stroskany ojciec w towarzystwie osoby, na widok któréj, ucięła znagła gęba babska, choć była w połowie wyrazu. Co większa, wygadana babina uczuła się znagła

jakby zawstydzoną, zaczęła się męszać, poglądać w dół tu i owdzie, skradać się koło ściany, aż upatrzywszy porę, dyrnęła przez drzwi uchylone w sposób bardzo pośpieszny, a jak się Szymon zaprzysięgał potem nieraz— wyraźnie jakby na czterech nogach. Bądź co bądź, nie widziano wcale, żeby wyszła gdzie na zewnątrz, ale widziano za to, że wpadła w szparę, utworzoną z odstającego wapna, pomiędzy cegłami ściany od kuźni. A jednak osobą, która weszła z Szymonem, osobą wzbudzającą tak dziwny przestrach w pilnującéj kobiecie, nie był kto inny, jak tylko czcigodna pani Maciejowa wdowa po kołodzieju, mieszkająca na samym wsi końcu pod lasem. Miała ona wprawdzie nos zakrzywiony nakształt haczyka od pogrzebacza, także i oczy niezwyczajnie okrągłe, a nastroszony jéj czepek, i ogromna płowa chustka którą się odziewała, dziwnie robiły ją szeroką w górze, co wszystko nadawało jéj nawet niejakie podobieństwo do sowy; nikt jednak nie mógł z pewnością powiedzieć, żeby ją widział choć raz w życiu siedzącą na starym dachu i hukającą o północy w sposób nieco za złowieszczy, tak dalece miała ta kobieta wielkie zachowanie we wsi całéj. Pani Maciejowa, wszedłszy do izby, czemprędzéj włożyła na nos ciemne jakieś okulary — widocznie światło raziło jéj wzrok osłabiony. Nie powiem także, żeby się nie była roześmiała z wrażenia, jakie zrobiło jéj wejście — tego wcale nie powiem,— owszem uśmiech téj zacnéj kobiety, był nawet jednym z tych uśmieszków, które się zaczynają chrząkaniem, a kończą na kaszlu.

— Umhu! Umhu! Nie wiem czego się ona mnie tak boi — rzekła poglądając za uciekającą, — nie chcę jéj zrobić nic złego — choć miałabym prawo, doprawdy.—

Któż tam wie, o jakich prawach gadała staruszka! Potem postawiła swój kij w kącie. Niby postawiła, a jednak wyglądało raczéj, jakbyto on sam stanął tam

sobie, rozparłszy się wygodnie. Następnie zabrała się do obejrzenia dziecka. Rozpatrzyła na podeszwie lewéj jego nogi pięć znaków przypuszczenia, potem na serdecznym palcu lewéj ręki trzy zgięcia prawdopodobieństwa, oraz na brwi lewéj zielony włos nieomylności. Nie brakowało niczego. A dzieciak, przez cały czas jéj bytności, ani pisnął, ani się ruszył — byłoto do zadziwienia. Niespokojnie tylko spoglądał na kij stojący w kącie, co było także dziwnem niepomału. Czyżby się go bał? czy co takiego? Ależ przecię pierwéj boi się człowiek rózgi, jak kija. Tylko że to może nie był człowiek?

— Umhu! umhu! — zakaszlała babina skończywszy swój przegląd, — przyjdźcie do mnie za dni dziewięć pani Szymonowa — za dni dziewięć — poradzimy my na to. —

Co powiedziawszy, sięgnęła ręką po kij stojący w kącie, ale niepotrzebnie wcale, gdyż on sam zbliżył się ku niéj, i wyszła jakby podskakując, a nie zdjęła też okularów, aż w sieni, gdzie już było całkiem ciemno. —

Nie prędzéj, aż dopiero nazajutrz, powróciła pilnująca kobieta (nazywała się Gryzelda — dziwne imię!). Zaledwie weszła, ażci zaraz z góry dziwnie rozradowała się do dzieciaka, ani wspominając o wczorajszem spotkaniu jakby nic nigdy nie zaszło. Potem zrobiła uwagę słuszną poniekąd, że dziecko nic nie ssało od wczora, trzeba więc je było nakarmić. Ale zaledwo nieszczęśliwa matka przysadziła je sobie do piersi, aż znagła uczuła się ukąszoną tak samo jak wprzódy, co ją zmusiło krzyknąć z bólu, i ze zgrozą odepchnąć od siebie dziwne niemowlę. Rozpacz jéj nie miała granic. A tymczasem kuma Gryzelda nie uważała w tem nic a nic dziwnego.

— Nic nie szkodzi — mówiła owszem — to się zgoi, to się zgoi.

Była to całkiem zabawna kobiecina.

Zrobiła potem w kącie osobliwszą jakąś papkę dla dzieciaka, którą obwinęła w szmatę.

— Niech ją sobie kąsa do upodobania mój robaczek — rzekła dobrodusznie.

Rzecz zaprawdę warta zastanowienia, co mogła mieć w tem dziwna kumoszka, że prawie nie znajdowała słów dostatecznych, na wypowiedzenie wszystkich doskonałości nieznośnego dzieciaka. Bez końca nazywała go grzecznym, cichym, zachwycającym, dziwnie łagodnym, wpierała w żywe oczy, sprzeczała się do upadłego. A potem, czyliż nie robiła tego coraz uparciéj z dniem każdym? Owszem, starała się nawet podkopać zaufanie, pokładane nie bez przyczyny w pani Maciejowéj, zacnéj ze wszech miar osobie. Usiłowała zaś dopiąć swego nieinaczéj, jak robiąc nader niestósowne a jadowite przytyki, to do jéj zakrzywionego nosa, to do jéj nóg zbyt rozklapanych, to do osłabionego jéj wzroku. Posunęła się nawet do tego, że ją pomówiła o pokrewieństwo z uszatym puszczykiem, wypchanym słomą na postrach dla wróbli, którego wystawiono dni temu kilka w ogrodzie sąsiada Grzegorza. I im więcéj zbliżał się dzień oznaczony na schadzkę, tem ona stawała się wymowniejszą. Ale Szymonowa nie sprzeczała się z nią wcale, tylko umyśliła postawić na swojem.

II.

Wątpliwości Szymonowéj oraz jéj zdumienie. Rozmowa na wzór gęsi z prosięciem. Zwierzenia i rady pani Maciejowéj. Kto jest właściwie kuma Gryzelda, i czy istotnie puszczyk wypchany był krewnym pani Maciejowéj?

Nie wiadomo dokładnie, co to takiego skwierczało w skorupce na kominie, w chwili gdy Szymonowa Ko-

walicha weszła do pani Maciejowéj. Rzecz jednak więcéj jak pewna, że działo się to dnia dziewiątego jak było umówione, że staruszka siedziała na staréj skrzyni mając daszek zielony na oczach, a w ręku łopatkę, którą bez przerwy mięszała skwierczenie owe w skorupce, i że przybyłéj nie dała wymówić ani słowa jednego, wskazawszy jéj tylko w milczeniu miejsce na klocku przy drzwiach samych. A jednak, ciężka to była próba dla biednéj kobiety! Gdyż, prawdę powiedziawszy, dziwnie świerzbiał ją język rozpowiadać szeroce: ile to ona miała przykrości ze strony kumy Gryzeldy; jak jéj ona niepozwalała wziąść dzieciaka, utrzymując, że się zaziębi; jak nie mogąc postawić na swojem, wyszła wreszcie trzasnąwszy drzwiami w sposób taki, że ledwie je wyważył najtęższym młotem własny mąż jéj kowal nader silny. A potem, jak ją dzieciak podrapał; pokąsał, jak się czepiał różnych rzeczy po drodze, tak że musiała iść samym środkiem, i jak się wtedy zrobił nieznośnie ciężki, że ledwie go zadźwigała na miejsce. Jakże korciło ją zapytać się o wiele rzeczy. Między innemi, co to być mogło — co ją przez drogę całą co krok zatrzymywało za suknię, jakby nie dając iść naprzód? Dla czego światło miesięczne, strzelając po przez drzewa lasu, szumiało w sposób niezwykły, na podobieństwo strumieni? wreszcie, co to takiego skwierczy w skorupce na kominie?— Ale w chwili kiedy ona myślała sobie o tem ostatniem, w skorupce zaczęło raczéj syczeć jak skwierczyć, co w pewnym względzie zmieniło zasadę jéj pytania; potem raczéj burczeć jak syczeć, co ją znów pociągnęło do zmiany; w czem nie mogę nawet wiedzieć jak daleko by zaszła, gdyby się nie był zaczął rozchodzić po izbie dymek niebieskawy, a niekoniecznie pachnący. Wtedy staruszka ukazała się stojąca na skrzyni (czy to tylko istotnie była ona sama?) i nastroszywszy się (podobieństwo było łudzące), patrzała prosto we drzwi,

ale nie miała już daszka na czole, a oczy jéj, ogromne okrągłe oczy, zaczęły świecić blaskiem dziwnym, przypominającym poniekąd próchno dębowe w ciemności. Ale znagła stało się, że wszystko wróciło do porządku jakby nic nigdy, co spowodowało, że sobie Szymonowa nie mogła dość naprzecierać oczu.

— Rzecz dziwna — mówiła w duchu, — musiałam się poprostu zdrzymnąć oto na chwilę, i zaraz przyśniło mi się, żem zobaczyła sowę.

Ale w tejże chwili zakołatano niby do okna, potem zaczęło się coś szurać po za ścianą, a wreszcie macać po drzwiach tu i owdzie, jakby w ciemności nie mogąc trafić do klamki. I kiedy w końcu otworzyły się drzwi obmacywane pracowicie, w progu ukazała się pani jakaś wcale wystrojona. Tylko że niepodobna było widzieć jéj twarzy, z powodu gęstéj zasłony spuszczonéj od kapelusza, z czego domyślać się należy, że była raczéj brzydką jak ładną, ponieważ w naturze jest kobiety, że wtedy tylko nie lubi być widzianą, kiedy się ma z czem ukrywać. Wystrojona pani ukłoniła się bardzo grzecznie, (niespodziewała się nawet Szymonowa, żeby jéj się kiedy kto tak ukłonił), potem oświadczyła: że jest z przeproszeniem właścicielką wsi będącéj za lasem, że z przeproszeniem złamało jéj się koło w drodze, i że z przeproszeniem udaje się w tym ciężkim razie do kołodzieja. Ale pani Maciejowa nie znając się na grzeczności, z góry nazwała ją wasanią, karcąc zarazem w sposób prostacki, że nie wie dotąd o śmierci nieboszczyka jéj męża statecznego człowieka. Na to grzeczna pani obejrzała się tylko po izbie, i jakby spostrzegając poraz pierwszy dopiero, poskoczyła do dzieciaka, i poczęła go okrywać tysiącem pieszczót. A nazywała go dzieciecźkiem dzieckuniem — co też ona nie wygadywała ta wystrojona pani!

— Aj, aj, aj! A wyście zkąd wzięli takie śliczne bo-

bo, moja dobra, moja nieporównana kobieto? — zawołała wreszcie w uniesieniu — a wiecie wy, że to skarb prawdziwy! Cobym też dała za to, żebym sama mogła mieć choć z jedno podobne. —

— To zabierz je sobie napowrót, a oddaj to któreś ukradła, — odezwała się pani Maciejowa wcale nieprzyzwoicie, (słysząc to Szymonowa zgrozą była przejęta). Ale, rzecz dziwna, grzeczna pani nie tyle zdawała się tem obrażać, ileby to wypadało.

— Moja pani — rzekła tylko z dumą niejaką — trzeba ci wiedzieć, że jestem córka obywatelska, — miałabym też robotę zabierać ci twoje dziecko! —

— Ukradłaś go, wiem o tem dobrze. —

— Moja dobra pani — nie ukradłam go, jak cię z duszy kocham, — cobym miała kraść! —

Zgorszenie Szymonowéj nie miało granic. — Naraz przyszło jéj na myśl położyć kres téj przykréj scenie.

— To kiedy się ono Wielmożnej Pani tak bardzo podoba, — rzekła w sposób bardzo uniżony, (pani Maciejowa dawała jéj jakieś znaki ale ona na to nie zważała), — to niechby go sobie Wielmożna Pani wzięła na wychowanie. —

— Co Pani chce łaskawa, Pani Dobrodziejko, — odezwała się na to nieznajoma prosząc się nader piskliwie, — ja jestem żoną ubogiego urzędnika — nawet wyrobnika — co ja mówię — stóża, mój Boże! — ośmioro drobiazgu w domu, a czasy ciężkie, oj ciężkie! Ja sama krwawo pracuję na życie, sama nie mam co włożyć w usta. Nie mogę, nie mogę, zmiłuj się Pani nademną. —

— To się Pani sama zmiłuj nademną — mówiła kobieta z płaczem, — jam taka nieszczęśliwa, ja czekałam tak długo! Ja myślałam sobie nieraz: nie będę gorsza od drugich, a wiele to będzie takich co mi pozazdroszczą! Zawczasu już układałam sobie: jak mu będę śpiewać nad kołyską, jak go karmić sama, jak powi-

jać, jak się w tém nie dam wyręczyć nikomu. Oh! moja Pani! jeśli to prawda, żeś porwała moje dziecko, to masz bardzo złé serce. Och! moja Pani! jeśli to prawda żeś mi na miejsce mojego podsunęła inne, to się nie godzi wcale. Weź je sobie nazad, a oddaj mi moje. —

— To dziecko jest twoje, jak cię poważam moja kobieto, — twoje własne moja Pani, — wiém o tém z pewnością. —

— To dziecko nie jest moje, co mi Pani będziesz wpierać. Nie kocham go ani odrobiny, a gdyby było moje, tobym je przecię kochała nad wszystko.

— To jak sobie chcesz, to jak sobie chcesz, — mówiła wystrojona pani śpiewając wesoło.

Kobieta uczuła się dziwnie rozdrażnioną.

— Oddaj mi Pani moje dziecko, czy rozumiesz? — zawołała porzucając znagła łzy rzewne, a imając się gniewu.

— Ha! ha! nie mogę, nie mogę, — śmiała się pani, tańcując w kółko tu i owdzie, i wywijając parasolką w sposób zabawny.

— Oddaj! czy słyszysz? — krzyczała kobieta sama nie wiedząc już co mówi, — oddaj natychmiast, bo pójdziesz do kryminału, do prochowni, w kajdany.

— Ha! ha! Nie oddam. Nie oddam. —

Mówiąc to wesoła pani śmiała się do rozpuku, tańcząc i śpiewając naprzemian. A śpiewała jakby jęcząc, a chichotała się jakby była łaskotana. Tańczyła zaś w kółko i w ósemkę, i tam i nazad, a coraz szybciéj, coraz zawrotniéj, aż się mąciło we wzroku. I jak bąk kiedy został puszczony ze sznurka, już nie rozpoznasz w nim kształtu, — tak w tém szybkiém kołowaniu rozpływać się zaczął strój dziwnéj tancerki, ginąc nieledwie jéj postać. Niby cień tylko jakiś wirujący szalenie, cień, i to cień coraz słabszy. I ilekroć zawracała ode drzwi na światło, tém ruchy jéj były szybsze, tém nikła coraz przezroczéj. Szymonowéj zamroczyło się w oczach, mi-

mowolnie podniosła do nich rękę, ale kiedy ją odjęła, nie było już ani śladu wirowego widziadła, pierzchło jak sen niepowrotny, — czy znikło, czy się wymknęło? Jednak — rzecz dziwna — drzwi były zamknięte jak wprzódy, i w izbie wszystko jak wprzódy. Tylko że staruszka siedziała na skrzyni, mając brodę na kolanach, i kiwając głową, pewnie z niezadowolenia.

— Samiście popsuli wszystko kumo Szymonowa — rzekła nareszcie (Szymonowa uczuła słuszność téj uwagi), — wyrwaliście się jak nieboszczyk Filip z Konopi; — trzeba było mnie zostawić wszystko, a saméj schować język za zęby. Ta szalona pałka co tu była, jestto Dziwożona....

— Czy podobna? Ta wystrojona pani? —

— Tak jest moja córko....

— Nie jestem przecię waszą córką pani Maciejowa. —

— To nic, ale tak się mówi. Otóż ta niecnota, którą ja kiedyindziéj nauczę rozumu, porwała wasze dziecko, a podstawiła swoje. Nie będzie wam z niego pociechy. To żyje tylko papką z ziela słodyczki, a potem trawą albo sianem — niczém więcéj. Gdybyście nie byli dziś przyszli do mnie, nazajutrz, zaczęłoby już chodzić, a mówić nie nauczy się, choćby sto lat żyło. Ale jest jeszcze jeden sposób na to. W trzecią noc po młodym księżycu pójdziecie z nim na rozstaje dróg, i będziecie je smagać rózgą z pięciu gałązek brzozy, z któréj nigdy jeszcze nie toczono soku....

— A jak mi ona nawzajem będzie biła moje — zmiłujcie wy się kumo —

— Nie może. Onaby nawet nieuniosła rózgi, — co wam się zdaje — ona i słomki nie dźwignie. Otóż trzeba je ćwiczyć rózgą co siły, i nadstawiać mu białka ze skorupki od jaja, — i ćwiczyć i karmić — i wołać tylko bez ustanku: odbierz swoje, oddaj moje, — a coraz, to uskakiwać na bok, uważając czy nie ma skutku. —

— Ale kiedy bo to o północy, i na rozdroże, i to saméj jednéj — rozważała sobie kobieta kręcąc głową, — a nie możnaby, żebyście wy to zrobili kumo? —

— Nie można.

— To choć żebyście byli przy tém.

— Nie mogę. Choćbyście mi dali dwieście złotych, nie mogę, — jestem teraz wielce zmartwiona, a i nie godzi mi się nawet, bom w żałobie (istotnie miała na sobie suknię niezbyt białą) po jednym z bliskich moich krewnych (Szymonowa przypomniała sobie puszczyka kumy Gryzeldy). —

Mówiąc to staruszka rozrzewniła się niewymownie, i poczęła wyrzekać na niemiłosierdzie ludzkie, nie wiadomo czemu. A tymczasem Szymonowa myślała tylko o rzeczonym puszczyku, a nie była to osoba bardzo powstrzymała w mowie, zwłaszcza ile razy chodziło o powtórzenie tego, co kto gdzie gadał na kogo.

— Strzeżcie się kumy Gryzeldy pani Maciejowa — rzekła jéj tajemniczo, — ona gada na was niestworzone rzeczy, ona jest waszą nieprzyjaciołką. —

Ale pani Maciejowa zamiast się przestraszyć albo choć zdziwić przynajmniéj, zaczęła się tylko bić pięścią w kolano, i kiwać głową jak tylko być może najbardziéj.

— Ha! ha! ha! Nie dbam o takie nieprzyjaciołki. To wy sami jéj się strzeżcie kumo Szymonowa, — ona sprzedała wasze dziecko za psi pieniądz, wyniosła je sama, albo udawała że nie widzi kiedy je porywano. Trzeba było mnie wezwać, ja takich rzeczy nie robię...

— Ale ona gada....

— Ona jest starą myszą, wylęgłą niegdyś w Bibliotece pewnego Czarnoksiężnika, która nadgryzła kilka kart początkowych książki opisującéj zaklęcia, i zdaje jéj się że już pojadła wszystkie rozumy całego świata. —

— Wiecie co ona o was gada kumo? Ona gada...

— Ale ja mam resztę niedojedzonéj książki, i nie dam

sobie zrobić krzywdy. Ona wie jedno — ja, drugie, — ot co prawda. A mój przyjaciel Matus, którego ci oto przedstawiam moja kumo (był to wielki kot czarny przeciągający się na murku), on jéj się jeszcze da we znaki, doczekam ja tego. —

— Ja bo jéj nie wierzę, ale...

— Ja sobie kpię i z niéj i z Dziwożon, a nawet potrosze i z Czarnoksiężnika, na którego mam także sposoby. Tylko że dziś jestem smutna, bardzo, — szkoda mi oto mojego krewniaka — uhu! uhu! — wielka szkoda. Dobranoc wam kumo Szymonowa — uhu! — idźcie wy już sobie, idźcie, a mnie zostawcie mojéj boleści. Uhu! Uhu! —...

Kobiecina rozszlochała się sobie na dobre. Wprawdzie odłos tego szlochania wyglądał nieco na hukanie, jednak istotnie krajało się serce patrzeć na smutek staruszki, — któż nie miał kiedy jakich krewnych na świecie? Żal brał także patrzeć na kumę Szymonową, oddalającą się z nosem więcéj spuszczonym jak potrzeba, ponieważ nie tylko że się jéj wygadać nie dano, ale nawet przyjść do słowa, i wreszcie pożegnano ostatecznie, w sposób nie dopuszczający nawet zwłoki. Szła tedy rozmyślając nad tém, czy głos który ją ciągle dochodził z chatki rozlegając się po lesie, był istotnie szlochaniem strapionéj staruszki? czy téż tylko hukaniem sowy piérwszéj lepszéj? — tak dalece łatwo było wziąść jedno za drugie. Rozmyślała także nad dziwném objaśnieniem tyczącém się kumy Gryzeldy, rozważała czy to być mogło, i przypomniała sobie, jaki to ta kobiéta dziwny ma wstręt do kotów, — może się ich boi? któż tam wie. A byłaby téż rozmyślała i o wielu jeszcze innych rzeczach podobnych do poprzednich, lub nie podobnych wcale, gdyby nie to, że się znalazła wreszcie w swojéj własnéj izbie, i że czas już było powiedzieć sobie dobranoc. —

III.

Wycieczka Szymonowéj do krzyża na rozdroże. Co ona tam widziała, co robiła, i na czém się to skończyło, a na czém się nie skończyło. —

Pewny jestem, że się nikt nie zdziwi, jeśli powiem, że wcale nie wielką miała ochotę Szymonowa iść sama jedna o spóźnionéj godzinie na miejsce samotne. Jednakże, jeśli wyszedłszy z chaty, z drogi jeszcze wracała się niewiedzieć ile razy, nie idzie zatém koniecznie, żeby raz przecię nie była zaszła gdzie potrzeba. A istotnie było się wracać czego. Noc była ciemna ale gwiaździsta, miesiąc skrył się już po za wzgórza. Wywijały się z moczarów mgły w gęstych kłębach, i jakby oddmuchiwane niekiedy, leciały na podobieństwo białawych obłoków, prosto w las szumiący w oddali, wśród którego migały świetliki latając tu i owdzie. Leciały tam także i pajęczyny rozmaitych kształtów, z których na każdéj siedziało coś dziwnego, i roje nietoperzy z przenikliwym piskiem, także tumany jakieś tańczące wirem przez pola. Ale co było najdziwniejszego, to gwiazdy zlatujące niby z nieba. Bo każda tylko co spadła, natychmiast wstawała na nogi, i biegła tam kędy drudzy z pośpiechem bardzo osobliwym. Zaprawdę, było wracać się czego — ale czegóż nie przemoże przywiązanie matki? Nareszcie, jak powiedzieliśmy, Szymonowa stanęła na miejscu. Było to rozdroże pośród wąwozu, — u krzyża na wszelki przypadek. Ale i tam przechadzał się Niemiec we fraczku i w stósowanym kapeluszu podobnym do grzebienia, trzymając ręce w kieszeniach od spodni — zapewne obchodził on swoje posiadłości. A miał spodeńki nadzwyczaj obcisłe, i nogi z ostrogami na piętach, ale rozczepione jakoś okrągło — wyraźnie jakby kogu-

cie, a nos podobny do dzióba. Nieco dalej, zabawiała się gromadka jakaś, przy muzyce dość zabawnéj. Siedział trójnogi saganek sąsiadki Marty, mając na głowie nakrywkę z uszkiem, i niemiłosiernie skrzypił kołem, wykręcając je na nienasmarowanéj osi. A towarzystwo całe trzymając się za ręce, najpoważniéj w świecie tańczyło wielkim kręgiem, w pośrodku którego pląsała w stronę odwrotną chorągiewka ze starego niegdyś gołębnika skwircząc przeraźliwie. Szymonowa z wielkiem swojém zadziwieniem spostrzegła tam niektóre swoje znajomości: mianowicie obcęgi, i jeden z młotów z kuźni swojego męża, oraz głowę nieboszczyka Indyka z podwórka, przyczepioną do dwóch starych skrzydeł gęsich od zmiatania kurzu. A tymczasem Niemiec przyglądał się jéj uważnie, i obchodził ją na wszystkie strony. Kiedy się kobieta zabrała do swéj roboty, na pierwszy krzyk dzieciaka szczęknęły obcęgi jakby zębami, zgrzytnęła chorągiewka, i cała gromada porwawszy nogi za pas, jęła się co tchu pierzchać do lasu. I został tylko Niemiec, który niespokojnie chodzić zaczął tam i owdzie, pokornie niekiedy zdejmując kapelusz zgiąwszy się w pałąk.

— Aha! tuś mi, — pomyślała sobie Szymonowa, — pewnieś ojciec dzieciaka. Dobrze ci tak szwabie, dobrze ci tak holenderski śledziu, — odbierz swoje, oddaj moje. —

I biła bez litości ile sił miała, i nadstawiała skorupki, a dzieciak wił się jak w wielkiéj chorobie, ryczał i wył. Znagła pomiędzy drzewy zaszeleściało coś białego, coś niby z promieni mdłych miesiąca, niby z mgły sennéj, niby z obłoka. Poczęło biegać niespokojnie jakby nie mogąc znajść sobie miejsca, słaniać się pomiędzy drzewy, przystawać to tu to owdzie. Naraz zatrzymało się opodal, poczęło wzdychać miłosiernie, poczęło jęczeć na pół z łkaniem. Serce matki odgadło matkę. Zwolniała ręka kobiecie, litość rzuciła jéj łzy do oczu. Bo i dziecię jakby prze-

czuwszy matkę, porzuciło swoje głosy zwiérzęce, a jęło się żalić smutnie w sposób rozdzierający serce. I cień téż słaniający się między drzewy, począł biegać w sposób jeszcze rozpaczliwszy, rozbijać się, jęczeć jeszcze przenikliwiéj. Rzewnemi łzami zapłakała Szymonowa pomyślawszy sobie, coby się to działo z nią samą gdyby jéj dziecko bito podobnie. Ale wspomniała zarazem przestrogę pani Maciejowéj, żeby się nie dać skusić niczemu, i biła bez przerwy, choć jéj ręka słabła, biła choć się jéj serce krajało.

— Zabierz swoje, oddaj moje, — wołała ze łzami. Znagła zerwał się wicher zakręcając tuman kurzu czy mgły zamglającéj oczy, tak że pociemniał świat Boży jakby znikł wcale. Tędy zerwała się kobiéta, i wiedziona więcéj przeczuciem jak wzroku pomocą, przypadła do krzyża chwyciwszy się go oburącz ile sił miała. Zmrużyła oczy tchnąć nie śmiejąc, usta jéj mimo wiedzy szeptały słowa pacierza. Ale po chwili skoczyło w niéj serce z radości, bo o parę kroków przed sobą, posłyszała żałosne kwilenie niemowlęcia, na którém nie pomylić się matce. Na miejscu gdzie niedawno smagała poczwarnego podrzutka, leżało teraz nagie dzieciątko, uwinięte w liście paproci. Porwać je, przycisnąć do piersi, otulić, i uciekać z niem co tchu, było dla niéj dziełem jednego mgnienia oka. I mogły się sobie wtedy spiknąć wszystkie siły piekła na wydarcie z jéj objęć upragnionego skarbu, a nie byłyby poradziły ani za wspólném działaniem, ani po jednemu.

Kiedy biegła koło chaty pani Maciejowéj, niepocieszona babina hukała jak i wprzódy, tylko że teraz w hukaniu tém przebijało coś jakby tryumfująco-szyderskiego, a tak zarazem donośnego, że się rozlegało po całym lesie, obudzając echa nader silne, które w każdym innym razie byłyby sobie spały jak najspokojniéj.

Nareszcie uszczęśliwiona matka przybyła do swojéj chaty. I któż opisze jéj radość, skoro przy blasku kaganka przypatrzyła się odzyskanéj stracie! Dziecię było rumiane, bieluchne, śliczne jak aniołek. Tylko że na lewym policzku miało znak jakby od pocałunku, a pocałunek musiał być namiętny, jak namiętniejszém nie mogłoby być pocałowanie matki rodzonéj, gdyż ślad jego nie schodził ani dnia tego ani następnych, a nawet pozostał już na zawsze. —

IV.

Zaczyna się od Chrztu a kończy się na pogrzebie. Janek cudak dziwny i Janek doskonałość chodząca, — w czém jednak nie ma pewności. —

Dziecięciu na pamiątkę krzyża, u którego odzyskaném zostało, włożono na szyję krzyżyk poświęcany, i ochrzczono je imieniem Janek. A chrzciny wyprawiono tak ochocze i sute, że upiła się na nich Szymonowa po raz piérwszy w życiu, Szymon zaś po raz tysiączny któryś, ale tą razą tak zasadniczo, że po ostatnim półkwaterku wpadł w nader złośliwą kilkodniową gorączkę, w któréj téż plótł, zupełnie tak jak to stoi w przysłowiu. Co on tam wygadywał, tego wam nie powiem, bobyście się może śmiali, coby nie koniecznie było właściwém, zważywszy, że się nasz kowal nie bawiąc długo, prosto z téj gorączki przeniósł w wieczność mroczną.

Czy żałowała Kowalicha męża swojego Kowala?—Żałowała.

Czy długo było tego?— Dość długo, ale nie bardzo.

Czy przestała go nareszcie żałować? — Przestała.

Tymczasem chłopiątko rosło sobie w cichości na podobieństwo ptaszyny leśnej o którą troska się matka;

i też na wzór trawki polnej o któréj pamięta sam Pan Bóg, grzejąc ją ciepłem słońcem południa, podlewając tęczową rosą, i pachnącym deszczem wiosny. Bywało, dziecię siedzi sobie samo w progu chaty, albo igra z drugiemi przewalając się po macierzankach pagórków i białym piasku ulicy — istny aniołek. Tylko że nie rade i rzadko bawiało się z dziećmi innemi — któż zgadnie dla czego? Mówiono we wsi o Janku Kowalichy, że się to dziecko nie uchowa, takie bo dziwne. Łubiło rozglądać się sobie po niebie pogodnem i przeciągających obłokach, jakby tam było co osobliwego do widzenia; po ptaszkach drzew i pola, a ani im gniazd wykręcało, ani tłukło jaj, ni piskląt dusiło; po lada kwiątkach łąki, których ani nawet zrywało, ani obskubywało z listków rozrzucając po drodze. Kiedy sobie raz wypatrzyło strumyk płynący przez łąkę po za wioską — oho! już ani upilnować w chacie. Przesiadywało tam dziecię godziny całe, patrząc w szklanne tonie uciekające z pośpiechem. Czy i tam ciekawiły rybki pierzchające kręgami w których słońce rozpryska się w iskry? czy kamuszki, któremi usłała dłoń Boża łoże strumienia? — toż dość raz spojrzeć, na cóż więcéj. I kiedy odciągała go ztamtąd matka, albo sam wracał do chaty, rozglądał się sobie przez drogę, i różnie myślał w duszy:

— Gdzie spojrzysz w koło, wszędzie niebo błękitne schodzi się z ziemią gdzieś w oddali. Jak też to tam musi być ładnie. Albo tęcza znowu? Może to most do gwiazd, mrugających na człowieka jakby mówiły chodź do nas.

I wybierał się iść tam koniecznie kiedy — jak urośnie. Ale najwięcéj, najczęściej, pociągał go las siniejący na krańcu wioski. Strach go było tej gąszczy szumiącéj, i chętka zarazem. Chętka dziwna, osobliwa, jakby kuszenie do czegoś, co się nie godzi. I ile razy

wpatrzył się był w ten pas ciemny, co mu z téj strony przecinał połączenie nieba z ziemią, brała go myśl, że właśnie po za tą przeszkodą znajduje się rozwiązanie wszystkich jego najsłodszych marzeń o niebie i tęczy. Więc rwał się iść, i coś trzymało go w miejscu; i straszno było i zadaleko, a ciągnęło go koniecznie. Przeto robiło mu się tęskno nad wszelki wyraz, i na płacz mu się zbierało, i wtedy uciekał i tulił się do matki. A Szymonowa okrywała go pocałunkami, padała na kolana, modliła się z płaczem, i jakoś odchodziło go to zwolna.

Miał chłopczyk oczy niebieskie i włosy złotawe, biały był jak mleko, a rumiany jak jabłuszko. I nie było piękniejszego dziecka w wiosce całéj. Bo nie mówimy tego na wiarę przekonania matczynego, które w tym razie bywa jak najpodejrzańsze, ale według jednozgodnego zdania sąsiadek Szymonowej bliższych i dalszych; z których żadna nie przeszła koło chaty, żeby się rozmaicie nie wydziwiać nad dzieckiem.

— Ej, ładny bo też to dzieciak, ładny! — mówiła każda jakby się zmówiwszy z drugiemi.

— Et, na psa urok — gadała Kowalicha — porzucilibyście Kumo; jeszcze mi go urzekniecie — ot i tyle.

— Taż on uczony i bez tego, nic jemu nie będzie, nie bójcie się wy już więcéj.

Bo też istotnie na twarzyczce chłopczyny znajdowało się ciągle owo uparte, niepozbyte znamię pocałunku, z jakiem znalazła go matka onego czasu u krzyża. I próżno przechodził przez nią ognipiór, i odra, i nie wiem co tam jeszcze przechodzi po twarzach dzieciom, — znamię pozostawało zawsze nietknięte, świeże, jakby wycałowane tylko co. Ztąd nazywano Janka we wsi nie inaczéj, jak tylko Pocałowanym, albo Zamiennikiem.

A Szymonowa? Ona odkradała pracy drogie chwile dnia jasnego, snowi drogie chwile spoczynku, nie mo-

gąc się nigdy dość nasycić swoją pieszczotą. Nieraz wstawała wśród nocy, i przy brzasku łuczywa, po godzinach całych wpatrywała się w ukochanego jedynaka, nie mogąc mu się napatrzyć; zjadała pocałunkami, płakała z radości.

— Niech sobie gadają co chcą — mówiła — a taki Dziwożony kąpały mojego robaka w mleku, kołysały go na obłoczku różanym.

I nazywała go sobie po swojemu: Boską Rosą.

I było wielu Janków przed nim, bardzo wielu, i nie tylko Janków, — a żaden, zdaniem dobréj kobiety, pod względem, rozumu, ani się umywał do jej syna. Trudno jednak ręczyć z tej strony za pewność jakąkolwiek, tyle jest na świecie Bożym rzeczy niepewnych, które się ma za pewne — któż tam trafi do ładu.

V.

Pewności pewniejsze nieco. Dziwy wśród gaju. Jedna matka w lesie, a druga po za lasem.

Jeżeli zaś iść ma o pewność koniecznie, powiedzieć możemy w dalszym ciągu co następuje:

Zdarzyło się o pewnéj godzinie dnia pewnego w pewnym miesiącu, że potrzebowała Szymonowa Kowalicha pójść do bliskiego miasteczka, sama już niepamięta dziś po co. Tedy poleciwszy swojego jedynaka najbliższéj sąsiadce, poszła kobiecina, robiąc nieledwie jeden krok naprzód a dwa w tył, tak ją coś wszystko odciągało nazad. Bawiły się więc dzieci biegając po wsi i ścigając się wzajemnie, a z niemi i Janek, iż go miano nie spuszczać z oka. Ale jakoś z tego ścigania patrzy chłopię, aźci i wsi koniec, i las tuż a blisko. Więc go ciągnie a ciągnie, aż ani się opatrzył, jak

wszedł w gąszcz zieloną migającą tajemniczo w światła i cienie. Zrazu słońce mięsza się w granie owo od dołu samego, dalej sięga tylko wierzchniej drzew połowy, aż wreszcie już tylko szczyty same, objaśnione niby wież wierzchołki, chwieją się po czarodziejsku pół zielone pół złote. A dołem tymczasem, coś wieje jakby płynęło, szeleści, drzy tajemniczo. I razem wszystko to szumi i szumi, aż dziczeje dusza w człowieku. Z lubością nasłuchiwał Janek, i nie szedł już ale siadł a słuchał, — cóż kiedy nasłuchać się ani podobna. I oto zwolna, światła owe przeszywające gąszcz tu i owdzie, ze złotych stają się rumiane, aż i krwawić się poczną na pożegnanie dniowi jasnemu. A szumi, szumi, coraz głuszej, coraz świeżéj, — tylko że i ciemnieje jakoś coraz mniej przezroczo. Kiedy się opamiętał chłopczyna, jasność poczęła przezierać znowu jak i wprzódy, tylko że ze złotej stała się srebrną, od miesiąca wzeszłego gdzieś na krańcu. Porwał się tedy iść nazad, w tem też zdiął go strach dziwny, i tęsknota do matki. Więc biegł z płaczem sam nie wiedząc dokąd, bo nie było nigdzie ni ścieżyny ni szlaku, tylko gąszcz coraz mroczniejsza, coraz więcej zatracone bezdróże. Powielekroć padał plątając się w leżących gałęziach i leśnem zielu, potykając się na rozdołach i wzgórkach, uderzając o drzewa. Poukruszane odrośle raniły mu twarz, szarpały na nim odzienie, a on biegł ciągle, nie czując ni bólu ni znużenia, bez wypoczynku, bez tchu prawie. Naraz przerzedza się w oddali — może to lasu kraniec? Ale nie, nie lasu to kraniec, tylko jedwabna łąka zewsząd zamknięta drzewy; zdrój tryskający opodal rozlewa się po niej strumieniem, i ginie potem gdzieś w gąszczach. Spragniony chłopiec przypadł do źródła, ale zaledwo usty dotknął szemrzącego napoju, padł u podnoża skały, sam nie wiedząc co się z nim stało. Kiedy się ocknął (nie wiedzieć nawet czy się ocknął,

czy nie spał wcale, czy też to co ujrzał było tylko marzeniem sennem), znalazł się na tem samem miejscu, ale jakby na innem wcale. Światło jakieś dziwne, jakby krążące bez ustanku, niespokojne i pierzchliwe, wypełniało całą tę przestrzeń, którą on wprzódy widział łąką, a która była teraz niby na podobieństwo ogromnego dziedzińca, otoczonego zewsząd pałacowemi krużganki. Bo to, co on niedawno mniemał być zielenią puszczy i gęstwiną leśną, stało teraz niby murem nieruchomym, misternie rzeźbionym w liście i gałęzie, dzierganym w szlaki, tkanym w powiewne koronki. A drzewa wyższe nad inne nie były to już drzewa, ale raczej olbrzymy jakieś wysmukłe trzymając się za ręce uniesione do góry, a zarazem niby słupy łuków pośród których gubiło się oko. I jedne tylko paprocie stały tam w kształtach swoich właściwych, niby na podobieństwo porozstawianych tu i owdzie świeczników, których kraniec każdy strzelał żywym niebieskawym płomykiem, — czyby to były ogniki? I poziom cały wyrównany jakąś powodzią światła na źwierciadło jak najgładsze, srebrzył się niby perłami, iskrzył się i mrugał, jak mrugują gwiazdy. I gdzie się to podziała trawa łąki? Ani jéj śladu, — tylko na powierzchni tego świetlnego poziomu, po perłach i srebrze, coś się mieni i przewiewa nieustannie, niby aksamitna pleśń, niby puch brzoskwiniowy, niby tylko barwa jaka bywa na świeżym owocu, tylko że jasno-zielona, majowa,—i czy to ztamtąd takie wonie cudowne, i taki szmer harmoniczny? — czyżby zieleni tej być początkiem wszelkiéj innéj, kluczem do rozwiązania tajemnic roślinności nieprzystępnych zmysłom człowieka?.... I gdzie się to podział strumień? Jestci i on. Tylko że nic w tem wszystkiem nie ma oddzielnego, tam całość skończona jakoś przedziwnie, podane ręce do wspólnéj zgody. I rzecz osobliwsza, patrząc tam, wiesz o wszystkiem

choćbyś i nie widział, zgadujesz wszystko choćbyś nie chciał. A jednak gdzie siedział Janek — dziwno — ale trawa i źródło zostało tam jak było, i dąb staruszek przewiesza się ponad jego ujściem, i światło miesięczne pryska w niem jak wprzódy, i słychać szmer cichy rozmowy jego z kamykami krawędzi. Tylko że w koło niego, niby czarodziejskim kręgiem, rozbiegły się dzwonki leśne o wysmukłych prątkach, i stoją przychylone i milczące, jakby czekając zbudzenia. I znowu — znagła — niby to wszystko dzieje się na szczycie góry, po za którego kresem nie widzisz nic więcéj, bo dalej zniża się już ku dołowi. Czy to mgły czy światła jakie przesłoniły odległość, czy też pierzchło widziadło lasu i cudownych sklepień? Oto nie patrz na nic innego — co ci potem? bo widowisko, które masz przed sobą spłaci wiele. Po świetlnéj owej powodzi, prawie nietykając jéj stopami, tańczy ochocze koło leśnych dziewcząt trzymając się za ręce. W białych szatach, i same białe jak światło miesiąca, — świecą się im oczy niby gwiazdy spadłe, rozwiany włos rozpieszcza się im na ramionach, i spada aż pod stopy. I jedna tylko z nich wszystkich nie podziela zabawy. Siadła opodal, tuż, blisko chłopca, i patrzy w niego jak w tęczę, smutna i ucieszona zarazem.

— Dziecię moje — mówi ona — (głos jej brzmiał jak westchnienie i jak pieśń jakaś znana) — wydarto mi ciebie, wydarto, — jam twoja matka.

Jankowi zrobiło się dziwno nie do opisania.

— Matka, matka, — jąkał sam nie wiedząc co mówi.

— Chodź do mnie, chodź dziecię tu gdzie ja jestem, będzie ci dobrze, nie pożałujesz. O! gdybym mogła dostąpić do ciebie, gdyby ci choć włosy przygładzić, pocałować w czoło, otrzeć z niego znój zimny. Zmęczyłeś się biegnąc, nieprzyjazne mi strzeżycielki czaharów podrapały paznokciami twarzyczkę mojego dziecka,

krew broczy twoje suknie, — chodź do mnie. Ja wykąpię cię w rosie przeczystej, ukołyszę na mgłach powiewnych jak było wprzódy, — chodź do mnie.

— Nie chcę, nie chcę, — mówił chłopiec, a wstawał i rwał się iść.

— To odrzuć od siebie ten krzyżyk co masz na piersi, co ci po nim. Ja dam tobie miliony cacek piękniejszych. —

Chłopiec jął szarpać na sobie sznurek poświęcany, ale krzyżyk trzymał się piersi, jakby był przyrósł do serca.

— Nie mogę, nie mogę, nie mogę, — mówił odchodząc od siebie.

— Nie przyjdzieszże do mnie mój mały? A! niewdzięczny jesteś, niewdzięczny. I gdybyś mógł wiedzieć com ja się natęskniła za tobą; — od czasu kiedym cię straciła, nie znam rozrywki ni spokoju — biada mnie, nie utulona niczem. I nosisz jeszcze ślad pocałunku, którym cię pożegnałam, sądząc, że na zawsze. O! nie zetrzesz go niczem, nie pozbędziesz go życie całe, — to pocałunek matki na rozstaniu — pocałunek, w którym ty mnie masz całą, jak ja chciałam cię w nim wziąść sobie całego...

A czarodziejskie koło powietrznych tancerek, śmigając aż się w oczach mroczyło, towarzyszyło skardze téj, śpiewem tęsknym i szyderskim zarazem, rozdzierającym serce: — pocałowano cię, — brzmiał ten śpiew,— naznaczono — tyś nasz, tyś nasz, — nie opuścisz nas już, nie opuścisz.

— O! chodź do mnie, chodź chłopczyno — mówiła znowu siedząca, — przyjdź do mnie koniecznie. Ty ani wiedzieć możesz biedne dziecko, ile cudów czeka na ciebie jeśli przyjdziesz. O! tam — po za tym lasem— po za mrokiem oddali — tam — tam — gdzie sinieją gór krańce — tam niebo opiera się na ziemi — tam

stawa tęczy koniec, — czy chciałbyś ty być tam? To choć odgarniej z przed siebie dzwonki w których się uwikłałeś; — tylko ostrożnie, jak najostrożniej, bo jak zadzwoni który, nie ujrzysz mię więcéj.

Chłopiec wstał, i w téj chwili spostrzegł dopiero, że roślinki te leśne były to roje chochlików o skrzydełkach jaskółczych. A kieliszeczki na nich nie były to kwiatki więcéj, ale dzwonki srebrne o złotych serduszkach, które każdy z chochlików trzymał w ręku klęcząc i pochylony. Ale kiedy on jął się odgarniać je ostrożnie, znagła stał się szum jakiś dziwny, i wiatr, niby od skrzydeł przelatującego ptaka, i wszystkie dzwonki uderzyły jakby jeden. A natychmiast znikło wszystko jakby nigdy nic, dzwonki nawet stały się kwiatkami jak były wprzódy, i tylko w las szumiący jakoś dziwnie, ulatywała ogromna sowa o sterczących uszach, chichocząc się aż się zanosiła.

Nie wiadomo, czy to pani Maciejowa wypłatała tego figla Dziwożonom, czy też kto drugi równie jak ona figlarny; wiadomo tylko wiosce całéj, że nazajutrz szukała Szymonowa Kowalicha jedynaka swojego po całym lesie gdzie tylko był kąt do szukania. A szukając go, co się też nie nawyrzekała biedna kobiecina, — a nawyrzekawszy, co się też nie napłakała, — a napłakawszy, co się też nie nawymyślała sąsiadce któréj powierzyła była swoje dziecko! I miała słuszność doprawdy. Bo jakkolwiek, odszukany wreszcie chłopiec, spał sobie tylko jak najspokojniej na krawędzi źródła; to jednakże spokojności tej było za nadto nieco, gdyż nie podobna było dobudzić się go przez całe trzy dni z rzędu. Kiedy się zaś obudził Janek, nie spał już, za to zaręczyć możemy, a jednak, jakby coś dziwnego zrobiło się z chłopcem. Czy to że nic nie pamiętał, czy że nic powiedzieć nie chciał, dość, że ani go się było

dopytać, co widział nocy tej w lesie. Tylko odtąd zmienił się do niepoznania, o czem będzie niżéj nieco.

VI.

Co się stało znowu u krzyża na rozdrożu. Czy przypadkiem Janek nie zaprzysiągł się tam na swoją Matkę, i dla jakiej przyczyny?

Stało się następnej niedzieli, że poszła Szymonowa do kościoła wziąwszy Janka z sobą. Tedy dała na wotywę pobożna kobiecina, i długo modliła się z płaczem krzyżem leżąc, i ofiarowała syna swego Świętemu Antoniemu i Matce Najświętszej. A potem zaprowadziła go na rozdroże, kędy stał krzyż pod lasem, i rzekła do dziecka:

— Czy wiesz ty dziecko moje co to przysięga? Przysięga, to obietnica zrobiona Bogu najwyższemu, — kto ją łamie, karze go Bog i w życiu i w wieczności. Wszak mnie ty kochasz. To przysięgnij przez Matkę twoją, nad którą nie ma tobie nic droższego na świecie prócz Boga, że nie pójdziesz więcéj do lasu owego przeklętego, choćby cię jak ciągnęło.

Chłopiec przysiągł ująwszy się krzyża.

Kobieta słuchała z uwagą, a kiedy skończył, rzuciła mu się na szyję, płacząc aż się zanosiła.

— Pamiętajże synu. Jeślibyś złamał kiedy tę przysięgę, to nie mieć ci już więcéj matki dziecko moje — być ci sierotą, a nie mówię już i przeklętym. Ale nie daj tego Boże, nie stanie się to pewnie. Takem prosiła Matki Najświętszéj, tylem napłakała... Tylko że ja grzeszna nędznica, Pan Bóg zrobi jak zechce, a może i ukarze — stań się Jego wola święta...

To powiedziawszy, zamyśliła się biedna kobieta, a Janek rzucił się jej do nóg, ponawiając przyrzeczenie.

VII.

Co robi woda bieżąca, i do czego to prowadzi? Janek większy jeszcze cudak od małego niegdyś cudaka.

Wiadomo jest, że woda bieżąca płynie. To jest, że nie zawsze w miejscu w którem się jéj przyglądamy, znajduje się ta sama. Czyli raczéj, że w wodzie bieżącej odrożnić właśnie należy dwie bardzo ważne wody: to jest jedną którąśmy już widzieli, drugą którą dopiero zobaczymy; ta zaś na którą patrzymy, jest jakby takiej nie było wcale, czyli raczéj jakbyśmy na nią nie patrzyli, czyli raczéj... eh — koniec końcem, strumień płynący na łące po za wsią, zrobił był już od onego czasu drogi nie mało. Nie jeden liść jesienny przejechał się na min do morza, nie jedne śniegi, i deszcz niejeden na poły ze śniegiem, to znowu jak łza czysty, lub w połączeniu z błotem. I nie wiedział nawet strumień ów pracowity, że jest w tym razie przedziwnie podobny — do czego to? — oto do teraźniejszości, któréj tak samo nie ma jak i wody stojącej w strumieniu, a która także porywać lubi bez wyboru, równie lód, jak łzy, jak i zgręzy.

Tymczasem jakoś i z ładnego dziecka wyrósł chłopiec ładny, i że był jeden u matki, robił co mu się żywnie podobało. Któż nie wie co robią jedynaki? Najczęściej nic nie robią, co jest najwygodniej. Otóż i ten lubił sobie tylko ze strzelbą zapuszczać się w góry, i zdarzało się, że często przynosił ztamtąd ptastwo nie znane nikomu w okolicy. I nie było też równego jemu pod względem trafności strzału i osobliwszego szczę-

ścia w polowaniu, — dziwiono się temu powszechnie. I nie bał się on ani grzmotów, ani niebezpieczeństwa żadnego, i przeskakiwał przepaście jakby koza dzika, przepływał potoki najrwistsze jakby szedł po moście. I nigdy nie lubił zbytecznie ochoty karczemnej, zkąd chłopacy nazywali go nawet dumnym; — cóż kiedy stopniowo znowu zaczął dziczeć coraz więcéj, i co wprzódy choć przestawał z drugiemi acz zdaleka, teraz niespokojny i zamyślony, smakować zaczął w odosobnieniu i w wycieczkach jakichś obłędnych, na których schodziły mu nieraz dnie całe. Gdzie on tak przebłądził, i co tam robił? — któż zgadnie. Bo i uśmiechać się przestał, a za to coraz częściej widywać go zaczęto smutnym, tęskniącym niewiedzieć dokąd. I nikomu też nie odkrywał się ze swemi myślami, jedno zawsze zamknięty bywał w sobie. A był piękny, piękny co się nazywa. A! ileżto serduszek dziewczęcych biło ku niemu! Ileżto oczek zwracało się na niego kiedy był w kościele, lub szedł przez wieś zadumany i smutny! Ale on ani się nawet zdawał widzieć co wkoło siebie. Mówiły o nim dziewczęta: że mu Dziwożony wyjęły serce z piersi i włożyły natomiast kamień zimny, — ale trudno ręczyć za pewność tego twierdzenia. Badź co badź, chłopiec coraz więcej zaczął być smutny, coraz troskliwiej uciekać od ludzi, coraz dłużéj nie bywać w chacie. I na czem on to tak przebywał ten czas swój? bo zdarzało się i po nocach nie tylko po dniu białym, a przychodził zwykle zmęczony, padał na łóżko, a sen jednak nierad siedział mu na oczach. Gadano we wsi: że Janek Szymonowéj Kowalichy wdowy po Szymonie Kowalu: — że jest oczarowany.

— Nie ma rady — mówiono o nim — pocałowała go Dziwożona, naznaczyła go sobie na swego; nie pocałować go już żadnej dziewczynie w życiu, ani jemu

pokochać żadnéj. Zmarnuje on wszystko co się do niego przyczepi, aż i jemu samemu zmarnieć także bez rady. Strzedz się go wam dziewczęta, uciekać od Janka Pocałowanego, od Oczarowanego, od Zamiennika, jak on ucieka od was.

Ale co i poradzić. Miłość jest jak pies pilnujący wrót, które palcem wypchnąć możesz. Idziesz ku niemu, on się przyczaja po zapłotkach, włazi w chrusty,— nie dbasz o niego, on sądzi że się go boisz, i nie znajduje dość wyszczekania na okazanie swojéj odwagi.

VIII.

Rozmowa Józwowéj Sołtyski z Szymonową Kowalichą o marnościach miłosnych. Srogie strapienie dwóch tych dobrych kobiet, a zwłaszcza Szymonowéj.

Raz przyszła do Szymonowéj jedna z jej sąsiadek— Sołtyska — jeśli mię pamięć nie myli. Ale tak, juści Sołtyska chyba. Byłato ze wszech miar godna kobiecina, i gospodyni wielce zamożna, posiadająca krowy, owce, cielęta, a także i kury, i kaczki, i gęsi. Stało się tedy, że usiadła na ławie pod kominem, a była zafrasowana nie mało, też i zapłakana po trosze.

— Pan Bóg z wami Józwowa, — cóż to tam macie za takie zmartwienie okrutne?

— Moja kumo serdeczna, na śmierć mi się kocha dziewczyna moja Marynka w chłopaku waszym, — nasłanie Boskie! Taż już od roku i więcej wybija się to jéj z głowy, a taki swoje ona, a i coraz gorzéj. Zmizerniała, zgłupiała, ani to do roboty jakiej, ani do spokojności świętej, — wszystko tylko płacze po kątach rady jéj dać nie można.

Szymonowa smutno pokiwała głową.

— Mamci i ja utrapienia moje co i nie wypowiedzieć. Myślę ja sobie sama po nocach nieraz całych, co to takiego zrobić się mogło mojemu chłopakowi, co on tak chodzi jak struty — czyby zakochany, czy co?

— Myślicie kumo? Gdzie tam — on i nie patrzy na żadną, to dziwny chłopak! Drudzy, to jakoś i na ochocie, i w karczmie, i po dziewczętach, — a tego to i nie zaciągnij.

— Oj biedaż mnie! bieda! taż on może urzeczony! Kiedy to mówiła Kowalicha, Sołtysowa spojrzała na nią ukradkiem, i dziwiła się w sobie, że ona wątpić jeszcze o tem może.

— Ale bo i dziewczyna moja — rzekła potem ciągnąc dalej swoje, — powiedzcie no mnie — lata za nim gdzie się on tylko ruszy, nie może ona żyć bez niego, to rzecz straszna, zmiłujcie wy się nademną kumo, radźcie mi co.

— Cóż ja wam na to dam za radę? Boże drogi! ot powiedzcież mnie aby, gdzie to on tak chodzi ciągle? Toż wasza dziewczyna wie więcéj odemnie, kiedy lata za nim. Stara ja już — gdzie mnie nastarczyć nóg na to? a jednak mnie tego strach nie mały, bo to i nocami chodzi on nie wiada dokąd. Nieraz bywa: przewraca się na pościeli, a ani rusz zasnąć. Więc wstaje ostrożniuteńko, i wymyka się, myśląc że mię śpiącą zostawia. Ale nie matce to spać, kiedy się zle dzieje z dzieckiem jéj własnem, a dopieroż jedynem. O moja kumo! jamci godniejsza pożałowania od was. Ja — matka — muszę się o nim dowiadywać od cudzych...

— Gdzie on chodzi? at, lata jak oszalały; a nie, to siądzie jakby w ziemię wrósł, i wszystko taki patrzy tylko w las, a czasem płacze rzewnemi łzami, aż się zanosi. Toż i on zgłupiał czy oczarowany jak tam gadają, ale cóż i zrobić, kiedy mi żal mojego dziecka, że się tak niweczy oto bez rady. Pożenićby ich... —

Szymonowa zamyśliła się ciężko.

—A kocha on ją?—spytała z westchnieniem.

—A jaż wiem?

—Juści pewnie nie. Bo czy to ona jedna tylko taka co się za nim przepada! Pamiętacie Jewkę Pawlukównę, co to poszła gdzieś z frasunku, i zginęła jak kamień w wodę. Albo i ta Tereska od sąsiada Michała. Chowało się to nieboże z nim od małego, tak i przylgło, ani odczepić. A i dziesięć drugich, ba może i wszystkie, kto je tam wie!—chłopiec ma szczęście, a nic o to nie dba, i jakby nawet nie wiedział ni o czém.

— Niechby się pobrali—mówiła Józwowa myśląc tylko o swojem.

— A zechceż on ją?

Sołtysowa zaperzyła się ogromnie.

— Co nie ma zechcieć. A cóż to on książę? Prosić się go może jak o łaskę!

A w tém opamiętała się i rzekła:

— Bo czego tu chcieć? Dziewczyna ładna, jak nie ma takiéj drugiej we wsi całéj.

— At, co to ładna! On tam na nią pewnie i nie patrzy.

— Ale gospodarna i dobrze się mająca. Taż ona jedynaczka. Jestci i gospodarstwo, i porządki, i dobytek, ta i grosiwa by się nie poskąpiło.

— Et, wszystko to za nic u niego. Posłuchajcie mię kumo. Widzi mnie się—nie poradzić mnie wam na to. Chłopak taki dziwny jest cały. Chodzi jak nie swój, Bóg go tam wie co się z nim dzieje, a jużci pewnie nie co dobrego. Ja go już i sama wyrozumieć nie mogę. Pogadam ja z nim, pogadam, ale to chyba nic z tego— tak mi wierzcie.—

Kiedy przyszedł Janek dnia tego, siadł na ławie, i zadumał się nic nie mówiąc jak zwykle.

— Mój synu, moje dziecko jedyne, o czém ty tak myślisz ciągle?—

— O czem? o czem? Co tu i gadać. Nie ma języka na wypowiedzenie tego, sposobu na zgarnienie wszystkiego w jedno, sił na zniesienie bólu jaki to sprawia. Mnie to głowę rozsadza, mnie nudno, mnie tęskno, mnie serce pęka...—

— Pokochać tobie, ta i ożenić się...—

— I wrosnąć w miejsce, jak drzewo piérwsze lepsze; niech jeszcze jak drzewo, bo ma roślina wiosnę swoją co rok, tchnie i żyje, i dobrze jéj, — ale jak kamień, co wsiądzie w ziemię, i może po nim deptać kto zechce. Posłuchajcie wy mię matko, — ja wiem, ja czuję — nie mieć nikomu szczęścia ze mną, ani mnie z nikim.—

— Et, porzuciłbyś...

— O moja matko! wy mię nie rozumiecie ani odrobiny; nikt mię nie rozumie, ja sam nie rozumiem siebie. Mnieby w świat gdzieś, mnie uciec ztąd, mnie tu nie bawić i chwili!—

Wstał, i chodzić zaczął niespokojnie, ściskając sobie głowę oburącz.

— Co ja zrobię, co ja zrobię,—mówił prawie z obłąkaniem—och! myśl moja wydziera się ztąd daleko gdzieś, och! pozwólcie mi matko iść w świat, niech przepadnę a niech idę. Mnie pędzi uciec ztąd — to jest nad moje siły.—

— Od zagrody ojcowskiéj?—rzekła kobiéta ze łzami —od rodzinnego zagonu? od miejsc, gdzie spoczywają prochy twoich i moich?..—

— Matko! matko! co ja zrobię? mnie pędzi w świat iść koniecznie.—

— Od matki?..

Ale on zdawał się nie słyszeć tego słowa, brzmiącego wszystkiemi wyrzutami od razu.

— Pójdę w świat—muszę,—mówił swoje, prawie odchodząc od siebie,—puść mię matko, ja tu nie wytrzymam. Wy nie jesteście moi—jam nie wasz!..—

Kobieta zaniechała łez, i spojrzała na syna swojego ze zdumieniem. Pierwszy to raz uczuła ona ból z tego jego gadania, po raz pierwszy usłyszała go tak zasmucająco szczérym.

IX.

Marynka o któréj dotąd nie było mowy, i o któréj już nie będzie. Czy to prawda że Janek zrobił jéj co złego. O czém Magdusia rozmawiała z Jankiem, a o czém Janek z Magdusią.

Chociaż wiadomo było wszystkim, że Marynka córka sołtysa utopiła się z własnéj swojéj ochoty w strumieniu płynącym przez łąkę, a to z rozpaczy, że jéj kochać nie chciał Janek pocałowany zamiennik, i że przeto odmówiono jéj będzie posług religijnych, — choć jéj nie prowadzono na mogiłki wioskowe, tylko na rozstaje dróg, a nie było przy tém ani księdza, ani organisty, ani chłopca ze święconą wodą,—wyległa jednak prawie wieś cała odprowadzić ją po raz ostatni, jużto przez współczucie dla dziewczyny, już przez życzliwość dla matki, która straciła jedyne dziecko. A właśnie jéj tylko brakowało między odprowadzającemi, gdyż biedna kobieta wyrabiała rzeczy niesłychane Chciała biedz do chaty Szymonowéj, wygrażała się, że z nią zrobi coś dziwnego, że nie mogąc zaszkodzić chłopakowi ponieważ go djabeł strzeże, chce mu przynajmniéj zabić matkę, żeby wiedział jak to smakuje boleść bez miary. A potem chciała jeszcze podpalić chatę kowalową, żeby nawet wiatr rozniósł w cztery świata strony śmiecie, na

których wylągł się ulubieniec czarta. Musiano ją związać, i zostawić w chacie zaparłszy ją drągiem.

Szedł tedy wóz zaprzężony dwoma wołmi, na nim sześć desek zbitych jako tako w trumnę, a na téj rydel przewiązany postronkiem. Ot i wszystko,—bo nie było nawet nigdzie i krzyża. Tylko że rozstaje owo, ku któremu zdążał orszak żałobny, było właśnie pod ochroną krzyża, a krzyż ten—rzecz dziwna—byłto ten sam a nie inny, pod którym odszukała niegdyś Kowalicha, wydartego sobie jedynaka. Szedł i Janek z daleka, poglądając suchem okiem, obojętny i zimny,—któż wie czy tak mu było i wewnątrz? Kiedy trumnę spuszczono już do dołu, kiedy z garści ziemi i grudek rzucanych życzliwemi dłońmi urosła nareszcie nad zwłokami dziewczyny mogiłka wypukła, niby świéży wrzód na ciele ziemi,— on przedarł się przez tłum zgromadzonych, rzucił na nią złamaną gałąź według zwyczaju, a potém ukląkł, i począł szeptać wyrazy modlitwy za zmarłą.

—On bluźni!—zawołano,—zabił ją, a teraz modli się za jéj duszę.—

I rwali się do niego chłopacy i starsi, godząc nań kijmi, wygrażając pięścią. Aż ich ledwie powstrzymała Magdusia, świeża dziewczyna o niebieskich oczach, o kruczéj kosie.

—Dajcie pokój ludzie,—przecięż się on modli. Toż nie godzi się robić mu teraz co złego— zaczekajcież aby.

Kiedy skończył Janek, podniósł się, i tak jak stał był na mogile, sokolem okiem powiódł ztamtąd po wszystkich. I każdy uczuł się jakby przykutym w miejscu.

—Śmieszni ludzie!—odezwał się chłopak obojętnie— czyliż ją uwodziłem, lub zdradzałem?...

—Ona cię kochała, ona się przepadała za tobą—a tyś jéj nie chciał.—

— To i cóżem winien temu? czyliż można nakazać sercu?—

Nikt nie wiedział co na to odpowiedzieć, milczeli wszyscy.

— To idźcie sobie w swoją drogę, i dajcie mi święty pokój!—

To powiedziawszy, młodzieniec zimno podziękował dziewczynie która go broniła, i siadł na mogile, odwróciwszy się tyłem do wszystkich.

— To wyrodek bez serca—mówili ludzie.

— To potwór—mówiły dziewczęta.

A te ostatnie nie mówiły tego co myślały, bo każda z nich mniéj więcéj, nosiła w duszy obraz pięknego chłopaka,—ale nie zawsze się mówi to, co się myśli.

A na mogile biednéj Marynki został tylko Janek sam jeden. Rękami ścisnął sobie głowę, łokcie wsparł na kolanach, płakałby może gdyby mógł, a tak dumał tylko niespokojnie. A mniemał on że był sam w téj chwili, nie było jednak tak jak mniemał, bo siedziała przy nim Magdusia jego obronicielka, bez przerwy patrząc w chłopca jak w tęczę, choć łzy jak groch duże często zaćmiewały jéj spojrzenie, zanim spłynąć mogły na rumiane policzki dziewczyny. Kiedy wszyscy udali się drogą ku wsi, poszła i ona z wszystkiemi dla niepoznaki, a potém, z chaty już, chyłkiem i pod płotami, pobiegła znów co tchu na około, i wróciła, nie chcąc jedna opuścić Zamiennika, bo się jéj serce krajało za niego. A znalazła go tak jak i zostawiła,- ani się ruszył z miejsca, ani zmienił postawy. I było tego dość długo. Już i słońce wzniosło się było wysoko, kiedy wstał nareszcie Janek, i obłędnie spojrzał w około. Spostrzegłszy siedzącą, zmarszczył brwi, i odezwał się ponuro:

— Co ty tu robisz dziewczyno — idź sobie — daj mi pokój, nie nudź mię. Pewnieś także przyszła z wyrzutami—zostaw to mnie samemu, nie trudź się próżno...—

— Czyż ci kiedy co wyrzucałam?—rzekła dziewczyna obcierając łzy, i powstrzymując się w płaczu—. Ty wiesz, albo raczéj nie wiesz wcale, że cię ja kocham nad wszystko w życiu, a czyż kiedy prześladowałam cię sobą?..—

Chłopiec rozśmiał się z przymusem.

— I ty jeszcze? i ty? jakżeś głupia! Żal mi cię. Idż sobie za drugiemi — przeklinaj mnie jak i oni — co ci ze mną! —

— Niewdzięczny! jam jedna stała przy tobie, kiedy wszyscy byli przeciw. Broniłam cię...—

— Podziękowałem ci—cóż chcesz więcéj? Nie mamy nic już z sobą.

To powiedziawszy zabierał się odchodzić, ale dziewczyna uczepiła się go za odzienie.

— Poczekaj jeszcze chwilkę—pół chwilki. Co ja tobie winna, że mię odpychasz? Czy ja nie ładna, czy nie dobra, czy nie rządna? Tamta... utopiła się ona dla ciebie. Biedna! Ja tylko jedna i Bóg drugi wiemy, co ona wycierpiała. Czy ty nie masz serca? — jakże cię żałuję. Nie chcesz mnie kochać — nie kochaj — ale mię nie odpychaj, — mogę ci być przydatną. Przecięż nie podobna, żebyś kiedy nie potrzebował kogo, — ja gotowa będę na każde twoje skinienie...—

— Obędę się, nie potrzebuję ja nikogo—mówił Janek smutno, choć o wiele łagodniéj już, jak wprzódy.

— O! nie mów ty tego. Nie można wiedzieć, na co się kto komu przydać może. Gdybyś był spokojny, szczęśliwy, jabym ci się pewnie nie narzucała, ale ty masz ból jakiś skryty, — toż jest pewna ulga w wypowiedzeniu tego, co uwięzło cierniem w duszy. Zdarzają się dłonie wybrane, którym Bóg dobry daje możność wyciągania go ostrożnie, a potem rana się zabliźnia, i jest znowu zdrowo jak wprzódy. Możem też ja jedna z takich...—

Słowa te zdawały się dobroczynny wpływ wywierać na chłopcu. Dotknął się ręki dziewczyny (zadrżała ona jak leszczyny gałązka którą wzruszy wiatr przelotny), i rzekł do niéj łagodnie.

— Posłuchaj mię Magdusiu. Pamiętasz, bawialiśmy się niegdyś razem dzieci małe, i jam cię zawsze lubił nad drugie. I długo jeszcze potem, byliśmy sobie niby brat i siostra;—ale widzisz—dziś, nie może to już być więcéj,—jam zbyt niepodobny do tego którym był wczora. Jednak, powiem tobie co mi jest, choć wątpię czy wypowiedzieć zdołam.—

Usiadł na złomku skały, i posadził ją przy sobie.

— Co mnie jest?—rzekł przesuwając ręką po czole —a! ja sam nie wiem co mi jest. Ja nie jestem jak drudzy—ja tęsknię—myśl moja odbiega gdzieś daleko —w piersiach mię uciska—ty mnie nie zrozumiesz..—

— Och! mów, mów, choćby jak najdłużéj,—ja ciebie nie zrozumiem?—to niepodobna.—

Janek orlem spojrzeniem przeleciał po niebie.

— Kiedy wzrokiem powiodę z gór szczytu—zawołał z uniesieniem—o! tam—nie w dolinie, ale u widnokręgu —poza widnokręgiem—w stronie, w którą bezustannie wędrują obłoki przelotne—dokąd wzlata orzeł z wzrokiem utkwionym w słońce—tam, w tę dal siniejącą mglisto, tam mnie ciągnie najokrutniej, tam się ja wyrywam ile sił tylko—tam dusza ze mnie wycieka—rady sobie dać nie mogę...—

Dziewczyna słuchała z uwielbieniem, — ona i nie rozumiała dobrze, tylko czuła, że od tego co mówi chłopiec, oszaleć można w sposób cudowny godzien zazdrości, w jaki on sam oszalał już bezpowrotnie.

— Och! nie wytrzymam—prawił daléj zapaleniec— drżały mu usta, iskrzały oczy jakby w gorączce, rumieniec wybił mu na lica, oddychał coraz spieszniéj, coraz pełniéj,—nie wytrzymam dłużéj—wyrwę się! W piersi

mi za ciasno, tchu braknie, tęskno mi czegoś aż serce pęka. Jestem jak wygnaniec tęskniący bez miary,— tam — tam — gdzieś — gdzie mnie nie ma, tam raj być musi — tam pójść ja muszę, lub umrę! I próżno zagłuszam się biegając jak szalony tu i owdzie, — wycieńczony nieraz padam bez sił, bez woli, czoło ranię sobie o ciernia, tarzam się w prochu, płaczę jak dziecko..—

Dziwne rzeczy działy się z dziewczyną. Gorące słowa zapaleńca porywały ją wbrew jéj wiedzy, — ona duszą biegła gdzie on, tęskniła tak jak on, rozbijała się, płakała z nim razem. A patrzała w chłopca jak w obrazek, i nigdy nie wydał się jéj piękniejszym jak wtedy.

— I słuchaj mnie jeszcze — rzekł on ciszéj biorąc ją za rękę—ten las—tam oto—czy znasz go? byłaś w nim kiedy?—jest coś dziwnego w tem, coś nieodgadnionego dla mnie, — mnie się zdaje, że jedyna mnie droga tamtędy. Dzieckiem jeszcze byłem, wie o tem wieś cała, znaleziono mię raz uśpionego w tym lesie, odtąd niepohamowany mam pociąg do tych miejsc tajemniczych, a wymogła na mnie matka przysięgę, że tam nie pójdę póki życia. Och! co ja wycierpiałem, tego nie wypowiedzieć słowy. Chciałem już uciec z miejsc tych — niepodobna. Dni temu parę nie płakałem już ale wyłem jak pies uwięziony, głową o mur tłukłem, u nóg tarzałem się matce.

— Matko matko—wołałem—zwolnij mię z przysięgi, bo umrę.—

Milczała czas jakiś, a potem rzekła smutno:—To umrzyj, nie będziesz przynajmniéj zatracony. — Kiedy noc nadeszła, w bezsenności i osamotnieniu dojrzała we mnie myśl pielęgnowana już oddawna; — pójdę ztąd — powiedziałem sobie — uciec mnie z miejsc tych, bo jeśli tu zostanę dłużéj, nie oprę się pokusie. I jeśli złamię przysięgę — zabiję matkę, a tak, zdradzę ją tylko, nic więcéj. — Zabrałem się, i szedłem już żeby nie wrócić

nigdy, ale kiedym raz jeszcze obejrzał się poza siebie, zdjął mnie żal i opadły wyrzuty: — Matka moja — ona spała tak spokojnie kiedym odchodził, — zdradzęż ją w czasie snu, w którym marzy może o mnie? porzucęż chatę, w któréj na świat przyszedłem?.. — Więc wróciłem znowu.

I co za głupstwo! Chata rodzinna—kupa barłogu, na którym wylągł się człowiek, żeby cierpieć. Matka — którą być mogła równie ta, jak druga... —

Dziewczynie ból się zrobił słów tych.

— Ty bluźnisz, och! ja cię tém bardziéj opuścić nie mogę. Uspokój się, jesteś pod wpływem przywidzeń— w lesie tym, wierz mi, nie ma nic nadzwyczajnego— byłabym przecię słyszała cośkolwiek. Chodźmy ztąd. Mnie saméj, kiedy cię słucham, duszno się robi i tęskno, —oddajmy to Bogu. Chodź, chodź.

Chłopiec chwycił ją za rękę, i wskazał w dal, gdzie ciemniał las wyroczny.

— Tam chodźmy, tam! Bóg cię zesłał, tyś moim aniołem, ty mnie nie dasz pokusie, tylko choć pójdźmy przypatrzeć mu się z bliska, ja chcę ci wierzyć, ja chcę żebyś mię przekonała.—

Dziewczyna popatrzała w niego badawczo:

— Zbyt się tam wyrywasz. Jednak, chodźmy kiedy chcesz koniecznie i kiedy mi ufasz. Może da Pan Bóg najłaskawszy, uleczysz się ty przezemnie.—

Wzięli się pod ręce i poszli. Dziewczyna modląc się w duszy jak najgoręcéj, całą siłą trzymała Janka, obawiając się, żeby się jéj nie wyrwał, gotowa raczéj zginąć z nim razem. Ale las istotnie nie miał w sobie nic szczególnego. Milczenie południa spoczywało na tych gąszczach tajemniczych, — ozłacało go słońce, ale ani mniéj ani więcéj jak wszystkie inne przedmioty. Janek z tęskniącego wprzódy bez miary stał się dziwnie jakoś

niezadowolony sam z siebie i nie opierając się dał się dziewczynie powodować jak sama chciała.

X.

Janek po rozmowie owéj z Magdusią. Wiele jeszcze innych rozmów i skutki ich przerwania.

Odtąd stał się Janek zwyczajnym człowiekiem. Jął się pracy, zaniechał błędnych swoich wycieczek, a Magdusia stała mu się potrzebną, i jakby niezbędną. Mówili nawet ludzie: że się oni w sobie kochali— ale któż tam wiedzieć to może. Ręczyć tylko śmiemy, że dziewczyna kochała się w chłopcu jak wprzódy, a chłopiec może w niéj, a może i sam w sobie, co bywa najczęściéj. Bądź co bądź, rosło serce Szymonowéj, od samego patrzenia na nich dwoje, i co wprzódy prawie oczy wypłakiwała, modląc się o pocieszenie, dziś dziękowała tylko bez ustanku. A Magdusia, jakby otaczała sobą kochanka, strzegła go jak oka w głowie, pilnowała choć ani się tego domyślał. Uspokoił się też Janek, tylko że jakby wstyd go było wszystkich szaleństw poprzednich, nie lubił jakoś mówić o przeszłości. Ale któż wyliczy wszystko, czego on nie lubił! Lubił zaś tak mało! a i to mało jeszcze stawało się coraz mniejszem. Koniec końcem Janek nudzić się zaczął dziwnie, i przykrzyć sobie życie. I tęsknić zaczął chłopiec do tego co stracił.

— Jestem uleczony— mówił sobie nieraz ze złością— ale lepiéjże mnie teraz, jak było? Uleczono mię nową chorobą, bo jakże próżnem jest dziś życie moje. Wprzódy wypełniała mi je przynajmniéj nienasycona niczem tęsknota, lub widma tęczowe, ku którym wydzierało się serce. O widma moje! o tęsknoty moje! jakże teraz

tęsknię do was. Dziś, zaczarowane miejsce wspomnień budzącéj się we mnie niegdyś duszy, jest tylko zwyczajnym jak tyle innych lasem z drzew i zieleni; dziś, kiedy stanę na wzniesieniu i okiem ztamtąd powiodę po błękicie, tyle mi ztamtąd, co i pomiędzy czterma ścianami okopconéj chaty. I miałożby wszystko, do czego człowiek tęskni w życiu, złudzeniem być tylko, marną grą wyobraźni? To w takim razie lepiéj być chorym jak uzdrowionym, lepiéj chorym wiecznie jak raz uzdrowionym, lepiéj umrzeć z choroby jak żyć z wyzdrowienia...—

Raz wypadło Magdusi pójść do pobliskiéj wioski, do choréj jakiéjś krewnéj. Stał się Janek dnia tego smutny i milczący. Poszedł błądzić jak dawniéj bywało, i rady sobie dać nie mógł.

— Źle mnie bez niéj— mówił sobie— czyżbym ją kochał? Obejść się bez niéj nie mogę. Ależ dawniéj wystarczyłem sam sobie, i niepotrzebowałem nikogo. Stałżem się dziś dzieckiem, które stąpić nie umie samo jeźli go nie prowadzą za rękę? Zaprawdę zyskałem same straty. Odkąd ta dziewczyna zjawiła się na mé drodze, zdaje mi się, że wola moja i siła przeniosły się do niéj, i w dodatku jeszcze życie mam obdarte z uroku. Jestem jak w powijakach,— ani ich sam rozwiązać nie mogę, ani nawet chcieć nie umiem, żeby mię z nich zwolniono. I podobnaż, żeby to, czegom ja się żadną siłą pozbyć nie mógł, wionęło od pierwszéj lepszéj dziewczyny! Miałożby to, com ja uczuwał, com spostrzegał wprzódy, nie istnieć nigdy? miałżebym się mylić wtedy, lub czy się mylę teraz dopiero?...—

Nie myśląc nawet dokąd idzie; ujrzał się znagła przed lasem. Spojrzał. Coś jakby mu się rozjaśniać poczęło we wzroku, rozprzeźroczać od wnętrza; niby przypomnienie czegoś, co już widział raz, choć to dawno jakoś, bo już i zastanowienia potrzeba, żeby się połapać

z myślami. Swiatło które opromieniało milczącą gęstwinę, — on jakby je rozumiał. Ono mrugało wabiąco jakby oczy zalotnicy, szeleściło jakby wzdychając. Jakiś dreszcz rozkoszy przebiegł mu po członkach i przejął go do głębi. W téj chwili też; uczuł on i pociąg ów dziwny, zapomniany już oddawna, i powitał go, jak to się wita starego znajomego, z którym się przepędzało niegdyś chwile radości w życiu. Pociągnęło go wejść, jednak przemógł się, i odbiegł daleko. Ale pokusa stawała się coraz silniejszą. Żeby był odszedł niewiedzieć w jak przeciwną stronę, i nie wiedzieć jak daleko, zawsze wrócić tam musiał, choć i nie wiedział o tem i nie chciał. Zimny pot oblał mu czoło, serce dziwnie śpieszyć się poczęło.

— Podejdę tylko — powiedział sobie, czując słabszą wolę.

Podszedł i słuchać począł. Szumiało głucho,— on łowił i połykał, nie uchem już, ale jakby całym sobą. Podobnie jak więzień, kiedy spiąwszy się do kraty ciasnego swego okienka, chciwą piersią wsiąka przez wyłom w szybie powietrze odświeżone po burzy letniéj, chwyta i chwyta, i napić się go, nasycić się niem nie może; aż wreszcie odwykłemu oddychać pełno, zawracać się pocznie w głowie, i pada wtedy pijany na barłóg swój cuchnący, lub w szał wpadłszy, biega po ciasnéj izdebce, niby lew w klatce, rozbijając się o wilgotne mury;— tak i w nim, od szumu tego dziecięć poczęła dusza, rozparło mu się w piersi, rozpaliło w głowie, rozewrzało we krwi. Nie wiedząc sam już co robi, porwał się i wbiegł. Ale naraz przepadło znowu wszystko, jakby nie było. Napróżno biegał tu i owdzie, wszystko było zwyczajne, aż rozpacz brała. Znalazł i łąkę, na któréj niegdyś dzieckiem będąc, miał pierwsze widzenie urocze. Łąka była jak wszystkie, ani mniéj ni więcéj; był i zdrój i dąb pochylony nad nim; wszystko

było, tylko nie takie jakiem je widział niegdyś. Poglądał osłupiałym wzrokiem, i przecierał oczy.

— Och! więc to wszystko pierzchło bezpowrotnie, czy też nie było nigdy?...—

Naraz czepiła go się rozpacz szalona. Padł na piasek nadbrzeża wyrywając sobie włosy, wijąc się jak w bólu.

— O widma moje!— niech zginę, a wróćcie do mnie znowu. Niech będę ten com był— szalony, opętany, pogardzony, przeklęty,— a niech będę aby sobą...—

Wołał, a głos jego wracał do niego nazad, właśnie jakby echa bały się, czy nie chciały powtarzać tego, co wychodziło z ust szaleńca. On sią rozbijał z wściekłości, pienił się, zgrzytał i wył.

— I ty coś się nazywała kiedyś moją matką— zawołał znowu— ktokolwiek jesteś, dla czegoś mię opuściła teraz? Czyś się wyparła już twego syna?— jam twój przecię, nie zostawiaj mię sierotą!..—

Zaledwie wyrzekł te słowa, owionęło go, jakby westchnienie ciche.

— Przyjdź o północy— zaszeptało mu w uchu.

Porwał się, potarł czoło, zdjął go strach, i począł uciekać co siły. Biegł jak zbrodzień pierzchający przed pogonią, sam nie wiedząc jak? którędy i dokąd?— Naraz uderzył się o jakiś przedmiot stojący na drodze,— padł i stracił przytomność. Kiedy przyszedł do zmysłów, znalazł się u stóp krzyża, pod którym kiedyś odzyskała go matka, pod którym przysiągł także że go ona już więcéj nie staci. Zebrał wspomnienia i zadrżał.—

— Krzywoprzysiężca! krzywoprzysiężca!— zawołał załamując ręce— matka moja! matka! zabiłem ją...—

XI.

Skutki przerwania rozmów z Magdusią łączą się ze skutkami złamania przysięgi. O czem się śniło Jankowi, a o czem ani mu się śniło.

Długo jeszcze błądził Janek, biegając po bezdrożach jak pies oszalały. Póżno już było kiedy wrócił do wsi. W okienku chaty migało jednak światło — dreszcz go przebiegł. Z bijącem sercem, wszedł, i zastał Szymonowę leżącą na pościeli; słabo drgający kaganek stał w jéj głowach. Janek zdrętwiał, okropna pewność z nóg go zcięła. Usiadł i twarz zasłonił rękami.

— Zaniemogłam — rzekła Szymonowa — sama nie wiem co mi się zrobiło. Wyszłam oto tylko pod chatę, ale pewnie wiatr jaki zły, czy co takiego, zrobiło mi się jakby nie dobrze czegoś, — ale może to przejdzie...

Przejdzie! przejdzie! On wiedział, że to nieprzejdzie, a jednak czepił się tego jak deski ocalenia. Jakże często radby człowiek oszukać siebie samego, i robi to, choć wie że robi!

— Gdzieżeś był Janie moje dziecko?.. —

Gdzieś był? Miałże wyznać? — Moje dziecko! — on co przed chwilą wyparł się był własnéj matki! Zimny znój ściekał mu po twarzy, on go obcierał i milczał.

— Biegałeś znów po dawnemu, zmęczony jesteś, idź, spocznij Janie, połóż się... —

Każde słowo matki brzmiało mu wyrzutem, rad byłby ogłuchnąć.

— Nie, moja matko — wyjąkał głucho — będę czuwał przy tobie.

— Niema Magdusi, onaby to zrobiła za ciebie. —

Chłopcu rozszumiało się w uszach.

— Nie ma dziewczyny — szeptało mu wgłębi — gdyby ona była przy tobie, nie byłoby przyszło do tego wszystkiego. I słusznie posiadała ona twoją wolę, kiedy bez niéj umiałeś jéj tylko użyć na złe...—

Rozszalało się piekło w jego piersi, i siedział tak długo trawiąc się sam w sobie, bezwładny, jak ogłupiały. Naraz ścisnął sobie skronie, które krew rozsadzała nieledwie.

— Dość już udawania— rzekł w sobie— nie wytrzymam dłużéj — nie odstanie się co się już stało — powiem jéj wszystko, niech mię przeklnie, lub przebaczy...—

Ale spojrzawszy na matkę, spostrzegł że spała spokojnie— łekkie westchnienia unosiły jéj piersi, dwie łzy zastygły na licach. Widok ten był nowym wyrzutem dla nędznika.

Ona spoczywa tak błogo, ona tak mu zaufała, i usnęła pewnie modląc się jeszcze za niego— znać to po łzach i po rąk złożeniu.—

— Powiem jéj jak się obudzi— rzekł patrząc w wybladłą twarz kobiety.

— Ha! a jak się nie zbudzi więcéj ?— zagrzmiało mu w głębi.

Osunął się i padł twarzą na ziemię...

Niewiedzieć jak długo tak leżał, i kiedy zdjął go sen w tym stanie, dość że dziwnie marzyć począł.

Noc to była. On ocknął się u źródła w zaczarowanym czaharze. Ta któréj wezwał był w szaleństwie swojem wczorajszem, klęczała nad nim pochylona, rąbkiem obcierała mu znój z czoła, rozgarniała powichszone włosy, i całowała w niezatarte owo znamię pocałunku, które miał na twarzy od dziecka.

— Czekałam na ciebie — mówiła patrząc mu w oczy i w lica (głos jej brzmiał jak szum i jak drżenie

ciche, wzrok przenikał rozkosznym dreszczem), —byłam pewna że przyjdziesz.

Zaplotła mu białe ramiona wkoło szyi, i szeptała dalej:

— Dobrze, jam matka twoja jedyna. Tamta— ustąpi mi, ustąpi, stanęło na mojem, — teraz tyś już mój tylko. —

Chłopiec obejrzał się mimowolnie, i ujrzał stojącą opodal matkę swoją Szymonową Kowalichę. Magdusia klęczała obok niej płacząc.

— Synu! tyś mój — nie jéj, — mówiła kobieta — jam cię nosiła pod sercem, jam cię wykarmiła własną piersią. Nie giń marnie...

— Co ci z nią? — mówiła tamta — ona nie twoja, tyś nie jéj. Cóż, że cię zrodziła i pielęgnowała, — czyliż może ci dać to co ja? Ja dam ci wieczną młodość — bądź moim.

— Nie mogę, nie mogę, — jąkał Janek tak samo jak niegdyś, a jednak nie wyrywał się z objęć czarodziejki.

— Synu mój, posłuchaj mię, — błagała kobieta — ſam bolała twojemi boleściami, szalała twemi szaleństwy, tęskniła tobą — boś mój. Nie odbiegajże mię choć teraz, gdy mię tracisz.

Głos jéj słabnął coraz więcéj, właśnie jakby rozpływał się stopniowo.

— Ja dam ci wiedzę rzeczy pozaświatowych do któréj ci tęskno, — kusiła czarodziejka. Głos jéj wzmacniał się, w miarę jak tamtej słabnął, aż z cichego wprzódy szumu przechodzić zaczął w granie czarowne pełne uroków i zaklęć.

— Nie chcę, nie chcę, — szeptał chłopiec, ale nie było zgody między słowami jego a postanowieniem, bo zostawał w miejscu jakby przylgnięty.

— Zabiłeś mię — mówiła Szymonowa, zaledwie już dosłyszeć ją było można, — zabiłeś mię — chcesz jeszcze i opuścić!...

Wzięła rękę klęczącej dziewczyny i podniosła ją ku sobie. Świeże lica Magdusi zalane były łzami, pobieliła je boleść.

— Chciał Bóg — odchodzę cię, — mówiła kobieta jednak słuchaj mnie synu, i obyś nie pożałował kiedy:— ona — ona ci mnie zastąpi, jéj się ty oddaj. Ona, jak była twoim Aniołem, tak będzie i nadal — nie zginiesz więcéj.

— Cóż ci za szczęście ona dać może? — kusiła tamta — głupie przywiązanie psa niepozbytego, oschłe pocałunki z każdym dniem chłodniejsze, krzyczące dzieciaki, kłopoty pracy ciągłéj, i wieczne troskanie się o jutro. Ja ci dam co innego—spojrz — znasz ty ją?..

Kiedy to mówiła, w ręku jej błysnęło źwierciadło jakieś świetlne migające na podobieństwo rozkołysanej wody, chciwie utonął w niem wźrok chłopca.

— To ona! to ona! — krzyknął sam już nie wiedząc co mówi, — to ona! — jam twój na wieki!...

Ale zaledwo wymówił te wyrazy, mimowolnie spojrzał na Szymonową. Kobieta patrzała na niego z wyrzutem, mówiła coś, bo się jéj poruszały usta, ale on czy dosłyszeć czy zrozumieć już nie mógł słów matczynych; on rozumiał tylko co mówiła tamta. I co wprzódy widział ją jak najwyraźniej, teraz postać jéj rozpływać się zaczęła stopniowo, i słabnąć, słabnąć, aż wreszcie cień się z niej zrobił przezroczy, niby tylko patrzeć jak zniknie. Dziwna boleść przeszyła serce chłopca. Zebrał ile tylko miał sił w sobie, i przemocą wydarłszy się z objęć kusicielki, padł na kolana, z rękoma wyciągniętemi ku oddalającemu się widmu kobiety.

— Matko moja! — zawołał — nie opuszczaj mnie; nie daj mię!...

— Już za późno — zabrzmiał głos poważny.

Spostrzegł Janek że się zbudził, — słowa te ostatnie wyszły z ust Szymonowéj. Przetarł oczy, — wszystko było jak wprzódy, tylko że przy łożu chorej klęczała Magdusia połykając łzy i modląc się rozpacznie.

— Matko! Matko! zawołał Janek zgrzytając — prawdaż to że cię ja tracę?...

— Stało się mój synu, nie odrobi już tego nikt w świecie. Bo nie było przy tobie dziewczyny, która jedna zasłaniała cię sobą. Równie jak ja niegdyś — dziś ona odeszła cię na chwilę, — tak się widać podobało Bogu. Umieram przebaczając ci, oby ci tak i Bóg przebaczył...

— Matko moja — mówił Janek odchodząc od siebie — któż mię obroni gdy ciebie nie stanie? zginąłem bez rady nie daj mnie!

— Kobieta spojrzała na niego badawczo.

— Janie, Janie, chciałżebyś ty zrobić co jeszcze dla mnie — dla umierającéj?

Chłopiec padł na kolana przy jéj łożu. Ona zdięła z szyi dziewczyny poświęcany krzyżyk, pomodliła się nad nim i włożyła mu na szyję, potem z niej zdięła jego własny, i oddała dziewczynie.

— Prożb umierających — rzekła uroczyście — słucha Bóg przed innemi. Odtąd nie wejść tobie już więcéj w zaczarowane miejsca; — choćbyś i sam chciał one uciekać przed tobą będą. A oto wola moja — niechby choć prożba ostatnia. Bądź ty jéj, niech ona twoją będzie. I błogosławi też Pan Bóg to tylko, co pobłogosławi umierający. Tak stań się...

Mówiąc to, wzięła ich ręce i połączyła z sobą. Ale zaledwie uczuł Janek dotknięcie dłoni dziewczyny, zaszumiało mu w uszach, przeleciał go dreszcz dziwny, i

przed oczyma błysnął mu obraz widzianéj we śnie w zaczarowanem źwierciedle.

— Ha! raczéj tamta! tamta! — krzyknął wyrywając dłoń swą i cofając się z osłupiałym wzrokiem.

Zatoczył się, i padł bez zmysłów.

Kiedy się opamiętał, w izbie cicho było jakby makiem przesypał. Klęczała Magdusia w nogach łoża, ręce miała złożone, oczy wzniesione w niebo. A Szymonowa leżała bez ruchu, na wznak, może spała. Tylko że była blada — woskowo blada, usta jej były sine, a na licach zastygły dwie łzy, dwie tylko, ale zapewne ostatnie, które wylała na ziemi; bo kiedy Janek chwycił jéj rękę, była zimna — jak lód zimna. Więc wzdrygnął się chłopiec, ale jakby ze wstrętu tylko że dotknął trupa. Gdyż — dziwna rzecz — nie czuł on już z téj straty ani boleści, ani choćby żalu, — słowem, zdawało się, jakby wstał innym zupełnie, niż był padł na ziemię poprzednio.

XII.

Przestaje być mowa o Szymonowéj, a zaczyna o Teresce. Józwowa Sołtyska, mówiąca za siebie, i za córkę, która już mówić nie może.

Leżały zwłoki Szymonowéj zdjęte snem wiecznym. Życzliwe sąsiadki zbiegły się pomagać Magdusi w miłosiernem dziele. Ubrano zmarłą w najlepsze odzienie, dano jéj w ręce obrazek poświęcany, obstawiono ją jarzącemi świecami z żółtego wosku. Nie zabrakło też pociechy dla biednéj jéj duszy, bo nie było zdaje się nikogo we wsi, coby nie przyszedł pomodlić się za nią. Jeden tylko Janek, jak był wybiegł z chaty, tak od tego czasu nie postał w niej ni razu.

— Biedny chłopiec — mówiono — biega jak opętany, boleść jego jest nie mała. Bo jušci jedną się tylko miewa matkę, i raz się ją tylko traci w życiu ale już na zawsze, — toć i nie dziwota, — a on jeszcze tak bardzo miłował swoją!

A Janek? Czy doprawdy bolał on tak bardzo? On istotnie biegał jak opętany, ale to nie z boleści bynajmniej. Jemu niepozbytym sposobem stał ciągle na oczach obraz źwierciadlanego widziadła, nieodstępował go ani na chwilę, ścigał go wszędzie. On biegał zapomniawszy znużenia, kłócił echa wyzywając zjawienie się lubej postaci, zaglądał po źródłach sądząc że mu się ukaże w ich odbiciu.

I potem, w dni parę, głucho tęskniły dzwony, szła moc ludzi śpiewając, szedł i on z drugiemi za trumną swojéj matki, — tyle też tylko że szedł, bo nie płakał ani trochy.

— Patrzcie, jaki nieczuły — mówili ludzie — matki pozbył, a nie płacze.

A łaskawsze dziewczęta szeptały między sobą:

— Nie płacze, bo nie może pewnie, choćby jak chciał. Bywa to w zbytku boleści. Biedny chłopiec! a nuż mu serce pęknie...

A Janek szedł z głową spuszczoną, i dumał sam w sobie:

— Rzecz dziwna! Czym nigdy nie kochał nikogo, czy też dziś przestałem? Drugim żal jest, choć osoby obcej wcale płaczą — ja płakać jakoś nie mogę, chociem syn. A nie mogę, bo mi się nawet na to nie zbiera. I próżno powtarzam sobie po sto razy, że już nie mam matki, żem ją zabił sam, — nie czuję ztąd ani boleści, ani wyrzutu. I ani mi smutno, ani samotno więcéj, jak było. Nie jestem taki jak drudzy — ale jestżem przeto lepszy?...

I szła przy Janku Magdusia, i widziała że był obojętnym i zimnym. Rozpadało się serce w dziewczynie, bo ona jedna widziała wszystko jak było, i brał ją do niego wstręt nieledwie, a jednak ani go opuszczała, ani go kochała mniej jak wprzódy. Nawet — któż zgłębić zdoła przyczyny pociągów — ona kochać go poczęła więcéj jeszcze daleko, od czasu kiedy już nie miał nikogo na świecie, choć się to stało z jego własnéj woli, choć był w tym razie krzywoprzysiężcą i matkobójcą...

Kiedy przyszli na mogiłki, kiedy się zatrzymano nad dołem, chłopiec wtedy dopiero, jakby się ze snu ocknął podniósł głowę, i mimowolnie powiódł wzrok po zgromadzonych. Naraz zbladł, zadrżały mu usta, oczy strzeliły iskrami, chwycił rękę Magdusi.

— Kto jest ta dziewczyna? — szepnął z wźrokiem utkwionym w jedno miejsce.

— Klęknij Janie i pomódl się po raz ostani za duszę twéj matki —rzekła mu tamta ze łzami.

On ukląkł machinalnie, a wzroku nie spuszczał z nieznajoméj.

— Kto jest ta dziewczyna — czy słyszysz mię Magdusiu? — szepnął znowu.

Ksiądz kończył śpiew pożegnalny, przeżegnał, wodą święconą pokropił. Poczęto rzucać garstki ziemi, wziął i Janek jedną, ale jéj nie rzucił, tylko zgniótł w ręku konwulsyjnie, sam nie wiedząc co robi. Zaczęto się rozchodzić, — on porwał rękę klęczącéj na grobie —

— Magdusiu, przez litość, kto jest ta? — o tam — jasnowłosa — z błyszczącemi jak gwiazdy oczyma — nieprawdaż — wszakże to ona?....

— Jaka ona, biedny szaleńcze?

— Nie mylę się — mówił z wrastającém obłąkaniem, rozdęły mu się nozdrza, oczy rzucały płomienie, — to ta sama, którą znałem od dawna, choć jéj nie widzia-

łem nigdy; którą pokazano mi we śnie w zaczarowaném zwierciedle....

Magdusia patrzała na niego wzruszona do głębi.

— A jednak — rzekła po chwili zcicha i z westchnieniem — a jednak, nie ma w tém nic nadprzyrodzonego. Jestto Tereska, daleka krewna wasza z pobliskiéj wioski, która przyszła tu na pogrzeb twéj matki. Kochałżebyś ty ją już Janie? — jakże szczęśliwa! To chodźmy do niéj — wrócimy razem do wioski.

Kiedy szli przez wieś, stała sołtyska w progu swéj chaty — i ujrzawszy Janka, jęła się wywoływać nań, jako była nie zapomniała jeszcze swéj straty:

— Masz wreszcie za moje Zamienniku Pocałowany — widzisz — przepowiedziałam ci ja to. Wszak nie mała to rzecz stracić matkę — jedyną swoją — jedyną. —

Janek słuchał, czyli raczéj słyszał, a obchodziło go to mało, owszem jak najmniéj właśnie. Cóż mu że stracił matkę? toż zyskał za to swoją wymarzoną, toż ona mu teraz jedyna —

— Miałamci i ja — mówiła daléj kobieta, — miałamci i ja kiedyś dziecko jedyne — wszystko co moje na świecie, — i zgubiła się ona dla ciebie — umarła, boś jéj kochać nie chciał —

Tereska uwiesiła się u ramienia Janka:

— Prawdażto co ona mówi? — szepnęła dziewczyna — prawdażto że jéj córka zginęła dla ciebie? — och! mój Boże, toż i ja zrobiłabym to samo...

— I nie mieć tobie szczęścia z drugą — prawiła daléj nieszczęśliwa matka, — ażby ci przebaczyła dziewczyna moja, a ona już w mogile — w mogile —

— Och! to okropne co mówi ta kobieta — wyszeptała dziewczyna uprowadzając Janka, — chodźmy ztąd — chodźmy... —

XII.

Magdusia chcąca Teresce wydrapać oczy. Czy je wydrapie? czy téż zostawi? Co na to wszystko powiada Józwowa Sołtyska, a co jeszcze kto inny. —

Mówili ludzie we wsi w czas jakiś:

— Przyszła koléj i na Zamiennika — zakochałci się on, a i bardzo. A szkoda téż że go kocha dziewczyna, warto było trafić kosie na kamień, a i odpokutowaćby mu za Marynkę. Ale takie to już jego szczęście! —

A Magdusia patrzała się na uszczęśliwienie Jankowe, i padało się w niéj serce z żalu, a jednak nie mówiła tego nikomu, ani nawet sobie. I było tak, że sobie tylko powiedziała dziewczyna:

— Niech on będzie szczęśliwy, choćby z drugą, będzie z tego zawsze i dla mnie szczęścia dosyć, — a potém — pewnie to matka jego wymodliła mu tę pociechę. I jeśli go to uspokoi, a może i zbawi, — to z chęcią zrzeknę się ja praw moich, chociem odrzucona niesłusznie....

I przyglądała się sobie w zwierciadlanéj powierzchni strumienia, i mówiła ze smutkiem:

— Ona piękniejsza odemnie, nie ma gadania, — cóż tu dziwnego, że on ją woli odemnie? Tylko — czy go ona tak ukocha, jakbym go ja ukochała....

— Kochaszże ty go aby? spytała raz Tereski, gdy były same.

— Czy go kocham? dziwne pytanie!....

— Bo jeślibyś go kochać nie miała, — jabym tobie wydrapała te twoje oczy gwiaździste, zrobiłabym z tobą coś dziwnego — zawołała dziewczyna ze łzami.

Tamta popatrzała na nią także po przez łzy błyszczące. — Słuchaj Magdusiu — rzekła smutno, — nie zro-

bisz ty ze mną co zechcesz, bo i bez tego już, robi się ze mną, czegobym ja sama nie chciała. Nie kocha mię on już tak jak wprzódy. Wprzódy, bywało, nigdzie mu nie jest dobrze tylko przy mnie jednéj, dziś biega znów po dawnemu, a kiedy przyjdzie, to smutny jest, i słowa nie wyciągnąć z ust jego. Mówili mi rodzice, mówili bracia, któż bo nie mówił: — nie chodź za niego, on czarownik — niech będzie — odpowiadałam — kocham go. — On cię zgubi. — Jabym bez niego zginęła gorzéj jeszcze. — Ale on i sam zginie, i ciebie pociągnie za sobą. — To będę przynajmniéj z nim razem, bo bez niego nie ma mnie życia. — On nigdy nie będzie twoim, bo go sobie naznaczyły Dziwożony. — Ja wycałuję z jego twarzy znamię wyroczne, i będzie mój — obaczycie. — I przysięgłam mu, że nie będę niczyja, prócz jego. Ale odkąd przyrzeczeni jesteśmy sobie, on już jakby inny całkiem....

I w istocie, rzecz dziwna, co się to znów zrobiło z chłopcem. Przedtém, nie miał on spokoju, jak tylko przy dziewczynie swojéj, — teraz, zdawało się, jakby mu było wszystko jedno, tak dalece obecność jéj straciła swój wpływ dobroczynny. A jednak, po godzinach całych lubił przesiedzieć przy niéj, choć ani patrząc na nią, tylko trzymając jéj rękę w swoich, z wzrokiem wlepionym przed siebie, coraz smutniejszy, coraz więcéj ponury. On patrzał przed siebie tylko — ona w niego jak w tęczę; on dumał głucho — ona połykała łzy gorzkie....

Stało się raz — byłoto w przeddzień ślubu Janka z Tereską — siedzieli oni oboje na przyźbie przed chatą. Był wieczór letni, pogodny, cichy. Iskrzały gwiazdy mrugając jasno, coraz jaśniéj, bo nie było jeszcze miesiąca. Naraz cień jakiś przesłonił kochankom widok pogodnego nieba. Byłato postać staréj kobiety o kiju.

Zatrzymała się i wlepiła w nich spojrzenie, a oczy jéj błyszczały w ciemności, jak sowie lub kocie.

— Czego chcecie kobieto? — spytała zcicha Tereska; dreszcz przebiegł jéj członki, aż się to udzieliło i Jankowi.

Kobieta za całą odpowiédź pokiwała tylko głową. Janek poznał w niéj Sołtyskę.

— Czego chcesz stara? — krzyknął zrywając się ku niéj.

Ona wyprostowała się i nadstawiła pięścią.

— Przeklęty! przeklęty! — odezwała się głucho. — A córka moja? a Marynka moja? zapomniałeś już? — a jednak, zginęła ona dla ciebie. Bodajeś i ty zginął dla téj twojéj — a zginiesz, zginiesz — da to pan Bóg najłaskawszy....

— Ha! stara! to ty mi trujesz moje szczęście — to ty! — zawołał chłopiec z wściekłością, — ale poczekaj — robisz ty to po raz ostatni —

To powiedziawszy porwał się rozszalały, porwała się uciekać i kobieta, ale naraz, jakby się ziemia rozpadła pod nią — znikła bez śladu. Chciał Janek biedz, gonić, szukać jéj, ale uczepiła się jego rąk dziewczyna białe ramiona zarzuciła mu wkoło szyi, i zniewoliła usiąść przy sobie.

— Do mnie mój Janku — to ja, twoja, przy tobie. Cóż nam ta kobieta! — uspokój się, zapomnij. —

Ocierała z czoła jego znój kroplisty, całowała go w drżące usta, przytulała do piersi twarz jego zbladłą. Ale on zdawał się nie słyszeć czy nie rozumieć słów jéj, on się wpatrzył w nią tylko jak nie było już dawno, i patrzał tak długo, długo, a dziwne myśli szalały mu po głowie. Dawno już chodził chłopiec z myślami temi, opędzając się im jak natrętnym owadom, ale w chwili téj przyparły go one natarczywiéj niż kiedy.

— Czy to tylko ona? — mówił w sobie — może to

nie ona, — może to nie ta sama, którą widywałem w snach moich? Tamta była biała, jak lilia biała, i blada także, cudownie, przezroczo blada. Tylko że ma ona te same gwiaździste oczy co i tamta, — a jednak — czy to tylko ona? może to nie ona?...

Późno już w noc rozłączyli się kochankowie. Dziwny niepokój poprowadził Janka błądzić tam i owdzie, szalała burza w piersi jego, rozpierało mu skronie. Mimowoli wspomniał sobie Marynkę.

— Ha! Może to ona mści się z poza grobu? Gdyby mi przebaczyła....

Pobiegł ku mogile dziewczyny, ale zadrżał stanąwszy u krzyża na rozdrożu. Na mogile klęczała Sołtyska matka topielicy, modląc się, czy bluźniąc.

— Ha! ha! przyszedłeś pewnie prosić ją o przebaczenie? — zaśmiała się dziko — nic z tego, nic z tego. Nie przebaczy ci ona, pókim ja żywa. Precz ztąd przeklęty! precz! nie miéj nigdy spokoju, jak go i ja nie mam, — zgiń marnie jak zginęła ona!

Wyrazy staréj brzmiały w uszach Janka, zrazu donośnie jak trąba grzmiąca, potém słabiéj nieco, potém brzęcząc coraz niewyraźniéj, aż wreszcie tylko szum cichy.

Zbladł, zachwiał się chłopiec, i padł u stóp krzyża.

Przeleciał nad nim wiatr niejeden, niejeden dźwięk zegaru przepłynął w koło niego, wychylił się i miesiąc z poza wzgórza i przyjrzał się śpiącemu, spadła i rosa chłodna na pałające jego czoło. Bo w śnie tym marzył on niespokojnie....

Stała niby przed nim matka jego, ale ta druga, ta czarodziejka, któréj się on oddał był kiedyś.

— Do mnie mój synu — mówiła dźwięcznie — do mnie ty, ja cię nie dam dziewczynie, bo ona nie twoja. To tamta druga, co się koniecznie mieni być twoją matką, wymodliła ci to podobieństwo zwodnicze, chcąc mi

cię wydrzeć a zyskać sobie na powrót, — ale to nie ta nie ta — nie myl się dłużéj — to nie ta twoja.

Tedy nadstawiała mu źwierciadło, w które on patrzał choć nie chciał, choć zasłaniał oczy.

— I patrz — mówiła czarodziejka — sam zrób porównanie. Tu młodość wieczna, tam przemijające kwiatu kwitnienie, — tu zawsze, tam dziś bez jutra — wybieraj. —

Janek wpatrzył się w źwierciadło, i oczy jego spotkały się z gwiaździstym wźrokiem widziadła. A wźrok ten wypowiadał dziwne rzeczy. Błaganie, zaklęcie, pocałunki ogniste. A działał na niego jak wźrok węża czarującego ptaszęta, przykuwał do miejsca że się on ani oderwać nie mógł, zdawał się błagać a jakby rozkazywał, zaklinać a jakby zmuszał, obiecywać nieskończenie a jakby już dotrzymywał zawczasu.

— A może wolisz tamtę — mówiła znów czarodziejka z uśmiechem, głos jéj zdawał się zdradzać lekkie szyderstwo, — może wolisz różaną twarzyczkę, malinowe usta, perłowe ząbki, oczy błyszczące łez wilgocią? Tylko że tego dość na dziś zaledwie. A jutro? Mniejsza zresztą o jutro. Różana niegdyś i bieluchna twarzyczka, poczerniała na wzór staréj cholewy, pozaklęsana i pomarszczona jak przypieczone jabłko, — bursztynowe niegdyś, miękkie jak jedwab sploty dziewczęcia, teraz brudno-białe, szorstkie i rzadkie, — posiniałe usta, nos zaglądający ku brodzie, zaropiałe oczy, pogubione zęby, skurczona we dwoje kibić wiotka niegdyś i pełna wdzięku, kij w ręku, kaszel suchy w wyschłéj piersi, — oto twoje kochanie jutrzejsze.

Mówiąc to, zlekka odbierała mu źwierciadło, a Janek błagał ją wźrokiem i składając ręce.

— I jeszcze — mówiła znów czarodziejka najgrawając się coraz boleśniéj, — i jeszcze, nie koniecznie doczekać tobie, aż ci się zemści na niej czas zazdrośnik

powolny, co kocha tylko stopniowem niszczeniem; wydrzeć ci ją może śmierć przedwczesna, bo śmierć, to zazdrość siły tworzącéj, nienasycone szaleństwo odradzania, i zemsta nagła, tem sroższa, im dzieło było doskonalsze. I oto patrz biedne dziecko. Śpi twoja dziewczyna, woskowo, zielono blada, z jéj ustek różanych wybucha zgnilizna, z oczu wyglądają poczwarki plugawe. A glista wypełza jéj z ponad skroni, przewierca się po przez policzki, i wywija dalej nabrzękła i śliska, idąc odwiedzić sąsiadkę swoją ropuchę, która rozsiadła się w czaszce dziewczyny, wyjadłszy z niéj wprzódy mózg wszystek. A szyja jej marmurowa i piersi łabędzie, to tylko drzące szmaty mięsa padłego w kawały, po których uwija się bractwo robaków objadając się pracownie. Ha, ha, i cóż ty na to?... A zasłona jéj ślubna — to zbutwiały kawał płachty wszystkich barw prócz białej; a wianek jéj dziewiczy — to garść pokruszonych śmieci; a łoże wasze małżeńskie — to kilka desek spruchniałych, których przejedzone rdzą gwoździe nie trzymają już w kupie... Ha, ha, bądź zdrów mój synu, bądź zdrów mój synu, życzę ci szczęścia, — mówiła dalej szydząc niemiłosiernie, — chciałam ci ja zrobić dobrze, no, nie udało mi się, — nie podobna ci być synem dwóch matek — sam pomyśl nad tem.

— Mówiąc to oddalała się z przeciągłym chichotem. Ale natomiast postać, którą chłopiec wprzódy widział w zwierciedle tylko, stała teraz przed nim widomie, w prawdziwych swoich, uroczych, cudownych swoich kształtach, i roztwarłszy ramiona, bez przerwy patrzała mu w oczy, nie już czarując go jak przódy, ale jakby odurzając bez pamięci.

Tedy porwał się Janek, i padł w objęcia widziadła, sam nie wiedząc co robi. Znikł mu świat z oczu, ziemia usunęła się z pod stopy; porwany w namiętne u-

ściski, rozszalał się śmiechem jakimś rozkosznym, to jakby łaskotany przewalając się różnie, to jakby huśtany naprzemian w górę i nadół, od czego dziwnie radują się wnętrzności, to jakby znowu przepadał w zawrotny pląs wirowy gdzieś po przestrzeniach błękitnych bez końca, od czego tryskają iskry przed oczyma, niby ze światu rozbitego na szczęty. I nigdzie krańców — ni w górze, ni w dole, ni wkoło. Tylko zewsząd jakby szklanna topiel ruchliwego niespokojnego światła, czy powietrza, którem pragnęłoby się oddychać koniecznie ale nie podobna, z powodu śmiechu ciągłego, bo ten zatyka płuca w sposób ucieszny, ucieszny, coraz ucieszniejszy.

— A co? jakże ci teraz? — doszedł go znany głos kusicielki.

Głos ten opływał go zewsząd, czy to że on kręcąc się nadstawiał mu się ze stron rozmaitych, czy że mówiono naraz i ztąd i z owąd.

— Teraz tyś mój! tyś mój! — śpiewała w sposób czarowny ta która była jego.

— Tyś nasz! tyś nasz! — brzmiało także zewsząd. A brzmiało jakby szum leśny, kołysząc rozkoszniej rozpieszczając senno, i jakby z rzeczywistości przepływając w marzenie.

XIII.

Janek na którego czekają, Janek na którego się doczekano, i Tereska która czekać już nie ma na kogo.

Kiedy się zgromadzono na smętarzu kościołka, stało się zupełnie zbytecznem trudzić jakobądź Dobrodzieja, gdyż między zgromadzonymi brakło właśnie osoby najpotrzebniejszej, ponieważ jak wiadomo panna młoda nie

może wziąść ślubu sama z sobą, czekano więc na Janka, czekano, czekano. Ponieważ cierpliwość rzadko chodzi w parze z oczekiwaniem, niecierpliwiono się, szeptano, mruczano. Ponieważ zaś nie zawsze się zdarza w tym razie czekać dłużéj jak potrzeba, zaczęto przypuszczać, że z tego już nic nie będzie, i też rozchodzić się jakoś powoli. I próżno zatrzymywała każdego Magdusia, biała dziewczyna o niebieskich oczach, o kruczéj kosie. Była ona niby za druchnę, ale blada była — jak śmiertelne płótno bladą była owa druchna Jankowa. I dla czego? Czy to żal jéj było że go traci? czy strach że go nie ma aż dotąd? — A Tereska? jakże wyglądała Tereska, w białéj swojéj sukience, w wianku rozmarynowym, w powiewnéj zasłonie? — Krótko mówiąc, padało się serce w dziewczynie, jakby szła na śmierć. Od wczora nie widziała kochanka, nie przyszedł ani się jéj przyjrzeć przed ślubem, ani go zastała u ołtarza, jak miała nadzieję. Co się z nim stało? Może ją porzucił, może jéj już nie chce? Miała łzy w oczach — ale któż tam zważał na to! Toż przyjęto, że każda panna młoda płakać musi, choćby się niewiedzieć jak pękała od śmiechu w sobie. Zda się to dziwnem, ponieważ z pewnością nie ma większego uszczęśliwienia dla wszelkiéj dziewczyny, jak choć raz w życiu pójść za mąż, — jednak tak jest, cóż robić.

Nareszcie, nareszcie ukazał się i Janek. Niech nie dziwi nikogo, że wszyscy na jego widok przestraszyli się siarczyście. Bo czyliż nie miał on włosów w nieładzie, dzikiego wzroku, ust posiniałych? I ani téż był ubrany stósownie, przeciwnie, odzienie na nim było poszarpane, podarte, zbłocone. On sam zdawał się być spokojny, tylko że wyglądało, jakby patrzał nie widząc, jakby pozbył woli, wiedzy, czucia. Wzięła go Magdusia pod rękę, a on dał się jéj poprowadzić, jakby nie wie-

dząc, ani dokąd, ani po co? I kląkł u ołtarza nic nie mówiąc, ani nawet spojrzawszy na swoją dziewczynę.

— Janie — spytał go ksiądz — czy masz dobrą a nieprzymuszoną wolę i postanowiony umysł, Teresę, którą przed sobą widzisz, za małżonkę sobie pojąć?.. —

On jakby teraz dopiero zrozumiał o co chodzi:

— Nie! nie! — wrzasnął zrywając się ze stopni. Zatoczył obłąkanym wzrokiem, i utkwił dzikie spojrzenie w licach dziewczyny. —

— Precz! — zawołał odgarniając ją ręką, zimny pot spływał mu po skroniach, włosy stanęły dębem. — Trup! trup! Robakom ona na pastwę, zgniliznie i prochowi podłemu! —

Cofał się przerażony jakby przed widmem dręczącem, oczy wyszły mu na wierzch, kurcz stężał członki. —

— Precz! precz! — bełkotał głucho — tyś nie ta! raczéj tamta! tamta!.. —

Powiedziawszy te dziwne, nikomu nie pojęte słowa, zerwał się i wybiegł jak opętany.

Zrobił się zamęt, ścisk. Wszyscy, obałwanieli zrazu, teraz rzucili się kupić jedni do drugich, inni uciekać na wszystkie strony. W zamieszaniu tem nie postrzeżono, że znikła i Tereska. Ona pobiegła za kochankiem. Ale kiedy się obejrzała, i nie znalazła go nigdzie, przystąpiło i do niéj szaleństwo dziwne. Biedz poczęła — zawracało się jéj w głowie, świat ciemniał w oczach.

— Trup! trup! — wołała sama nie wiedząc co mówi, ni dokąd bieży.

Szarpała się na niéj sukienka biała o ostre krzaki bezdroża, rozdzierała zasłona jéj ślubna czepiając się wszystkich cierni po drodze, — ona nie zważała na nic. Biegła do strumienia na łące. Kiedy przypadła do niego kiedy w źwierciadlanéj jego powierzchni ujrzała powtórzone lica swoje gładkie, i znalazła się nie mniéj piękną jak wprzódy, czepiła się jéj boleść okrutna.

— Och! jeślim już przestała być ładną dla niego,— zawołała z rozpaczą — to nie być mnie już ładną dla nikogo na świecie!—

Zerwała sobie wianek z głowy, i deptała go w mak drobny, zerwała zasłonę i darła ją w szmaty, na jakie nie potrafiłyby jéj podrzeć wszystkie ciernie świata całego, — a potem zapuściła paznogcie w świeże swoje lica, i szarpała je bez miłosierdzia; narwała pełne garście cierni polnych, i szarpała niemi więcéj niż zdołać mogły paznogcie; rzuciła się twarzą w piasek pobroczony krwią jéj własną, i raniła się ostremi kamykami wybrzeża, gorzéj jeszcze stokroć od paznogci i cierni. Aż wreszcie sił jéj zbrakło, i padła zemdlona niby trupem, właśnie jakby na sprawdzenie słów Jankowych.

XIV.

W jaki sposób Janek wędrował do lasu.

Kiedy się Janek wydarł z kościoła — leciał ile mu tchu starczyło. Biegł ku lasowi. I nie już jak pies któremu się na szaleństwo zbiera, biegący milczkiem, z oczyma wpadłemi, nie śmiejąc podnieść wzroku,— ale jakby opętany, w którego wstąpiło kilka sił naraz. Biegł, biegł, a wyglądało jakby stał w miejscu,—rzecz dziwna — las zdawał się być zawsze w jednéj odległości od niego. Zawsze u widnokręgu, ni bliżéj, ni daléj.

Zmęczony biegiem zwolnił kroku — zawsze to samo. Ułamał kij po drodze, i szedł daléj uporczywie, pewny że dojść kiedyś musi.

Zaszło słońce, ukazały się gwiazdy, i znów wróciło słońce; on szedł niestrudzony nie czując głodu, patrząc tylko bez przerwy w ten pas ciemny, siniejący wiecznie na widnokręgu, ani na włos nie bliżéj jak wprzódy.

Przyszła znowu noc po dniu tym, i znów dzień po téj nocy, — las zawsze równie był daleko, — a jednak szedł wytrwale niestrudzony wędrowiec, nie tracąc ni chwili napróżno.

Zaszło słońce nie jedno, i wróciło znowu, — aż stracił wreszcie dni rachubę...

Nie jeden raz miesiąc odmłodnił się, postarzał i odmłodniał znowu,—aż stracił wreszcie miesięcy rachubę...

Równie jak czas, przesuwały się w koło niego miejsca,—on dbał o nie tyle, co i o tamto.

Okolice lodów i piaski wrzące słońcem, góry i przepaście,—on nie czuł zimna ni skwaru, niebezpieczeństwa ni znużenia.

Pachnące gaje i kryształy lodowisk grające zorzą północną, grzmiące gardła strumieni i góry ziejące, dziwne zwierzęta i dziwni ludzie coraz nowi, — on nie widział nic z tego.

Widział tylko ciągle po przed sobą las siniejący na widnokręgu — tam szedł, — reszta nie obchodziła go bynajmniéj.

Nie myślał nic, nic nie uważał, nie dbał o nic, — tylko szedł, szedł ciągle... —

XV.

Czy Janek zaszedł do lasu? Jeżeli nie zaszedł, to chociaż czy zajdzie kiedy?—

Wieczór był. Rumieniło się jeszcze niebo przy zachodzie, ale nadciągał też zwolna zmrok od wschodniéj strony, wytryskać zaczynały gwiazdy tu i owdzie. Znagła potknął się wędrowiec o przedmiot jakiś stojący na drodze—była to mogiła. On w téj chwili dopiéro obejrzał się w około. Poznał chatę rodzinną w oddali, krzyż

u rozdroża; — mogiła na któréj się potknął — była to mogiła jego matki. Znalazł się znowu tąm zkąd był wyszedł...

Na mogile modliły się dwie kobiety płacząc — w jednej z nich poznał Magdusię.

A i ona skoro go ujrzała rzuciła się ku niemu ze łzami.

— Tyżeśto Janie? tyś to? Rok i sześć niedziel dziś jakeś odbiegł od nas nikt nie wie, dokąd? Gdzieżeś był, biédny chłopcze?..—

— Gdziem był? gdziem był? — jąkał Janek pocierając ręką czoło, — on sam po raz pierwszy dopiero począł zastanawiać się nad tem.

— Przepadłeś jak kamień w wodę — mówiła daléj dziewczyna — wydarłeś się spokojnemu szczęściu, żeby pójść błądzić w świat szeroki jak cię ciągnęło oddawna.

— I cóż? Bo oto zszedłem ziemię całą, a nie znalazłem spokoju. Snadź niepokój we mnie nie gdzieindziéj, snadź noszę go z sobą kędy się ruszę. I cóż? Bo oto zszedłem ziemię całą, i zawsze pędziło mię iść daléj jeszcze, aż zaszedłem tam zkądem wyszedł, — wszystkoż więc na ziemi kończy się tam gdzie i poczyna? A w takim razie świat ten wasz — to nie mój świat, — to do jakiegoś świata zaziemskiego mnie tęskno...

— Tęsknisz więc zawsze? Och! a ja jednak tak pewna byłam że wrócisz. Jeżli nie własna wola twoja, to gorące modlitwy nasze musiały cię przypędzić nam nazad.—

— O! to ty Magdusiu — poznaję cię po tem — to ty — zawsze równie dobra — zawsze ta sama... A ta — kto? — dodał wskazując na drugą.—

— To Tereska...—

Tereska piękna, Tereska niegdyś snów jego widziadło — któżby ją poznał teraz?..

On spojrzał na nią i wzdrygnął się.

— Och! więc i téj już nie ma — więc wszystko minęło na ziemi — wszystko! —

Mówiąc to, topił zimne noże w sercu Magdusi, dziewczyny o psiem przywiązaniu, o gładkiem licu, o anielskiéj duszy.

Wstał i zabierał się odejść. Magdusia rzuciła się za nim.

— Janie! Janie! ty idziesz zginąć — pozwól mi zginąć z tobą razem. —

On zastanowił się i popatrzał na nią zimno.

— Dziewczyno! dziewczyno! sama niewiesz co gadasz — odczep się ty odemnie. Co mnie z tobą, lub tobie ze mną?...

A! widzę teraz jasno. Błogosławieństwo matki ciąży na mnie przeklęstwem — mamże się tułać wieki całe?..

Zerwał sobie z szyi krzyżyk, który mu dała matka umierając, i rzucił w twarz dziewczynie.

— Odbierz go sobie. Jeźli się zobaczysz kiedy z matką moją, powiedz jéj, niech próżno nie czeka na mnie, bo się nie doczeka. Sprzykrzyła mi się tęsknota — sprobuję zginąć. —

XVI.

Bywają w lesie orzechy do zgryzienia. Bywa też i koniec wszystkiemu, a w szczególności i niniejszéj gadaninie. —

Zabierający się do snu spokojni wioski mieszkańcy, zdziwieni zostali znagła, ujrzawszy w płomieniach opustoszałą zdawna chatę kowalową. Nikt nie był w sta-

nie domyśleć się przyczyny, bo też i nikt nie wiedział o Janka powrocie. Ztąd też i nikt nie był świadkiem, jak on stał z założonemi rękoma, obojętnie przyglądając się pożodze, dopóki nie spłonęło wszystko aż do ostatniego szczętu. Poczem jakby zrobiwszy już co do niego należało, odwrócił się, i począł iść skwapliwie w stronę lasu.

Biła właśnie północ, kiedy wbiegł w gąszcze zaczarowane, a wbiegła też za nim i druga jeszcze osoba, o któréj nie wiedział wcale, a która jednak ani na chwilę nie spuszczała go z oka od czasu zjawienia się jego u mogiły Kowalichy.

Przechwalała się też Sołtyska, że i ona była świadkiem wszystkiego, trzymając się w boki, śmiejąc się od ucha do ucha, i tańcząc z radości,— ale nie było nikogo coby widział że ona to widziała, ztąd o prawdzie słów jéj równie godzi się wątpić, jak niewątpić.—

Janek Zamiennik przepadł bez wieści...

Tylko w lesie owym, długo jeszcze potem widywano istotę ludzką, skaczącą z gałęzi na gałąź, na podobieństwo wiewiórki dzikiéj. Zapomniała mowy, a włosy krucze spadające jéj aż pod stopy, stanowiły jedyne okrycie dziewczyny. A byłato Magdusia, niegdyś ozdoba swojéj wioski, która zdziczała, pobiegłszy za kochankiem. I dobrze jéj tak — po co było dziewczynie latać do lasu...

— Alboż to dziewczęta nigdy nie chodzą do lasu?—

— Chodzą: Ale na poziomki, na grzyby, na orzechy.—

— A to też ona poszła zgryźć najtwardszy orzech jaki tylko być może— bo stratę kochanka.—

— A bo cóż?—

— A tać porwały go Dziwożony jak swego.—

— Et, porzucilibyście.—

— No, a dla czego?—

— Albo to są jakie Dziwożony na świecie? Toż ja byłbym je widział choć raz w życiu.—

— Tym sposobem to i one nie widziały was ni razu, a dla tego nie mniéj jesteście na świecie.—

— Ha! ha! Niechże i tak będzie.—

F. Medard.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Ruch w świecie piśmiennym nie zawsze bywa wyobrazicielem duchowéj twórczości—Wpływ społeczeństwa—Dwa temata w literaturze, Bohatyrski żywioł zdetronizowany zupą rumforcką—Rzut oka na przeszłoroczną powieść i romans—poezyję i poemata—pisma edukacyjne—estetykę—historyję—pamiętniki—archeologię i t. d.

Rok upłyniony, to nie żadna zaokrąglona całość któraby się zaczynała z pierwszym stycznia, a z ostatnim grudnia kończyła; jest to raczéj ogniwo wielkiego łańcucha zdarzeń, przypadków, zjawisk, narodzeń i śmierci, nakreślone tą niezmienną koleją, jaką życie natury przebiega. Podziałka ta, któréj się dobrowolnie myśl nasza poddaje, niewpływa na żadne sprawy, ani biegowi rzeczy ludzkich przeszkadza; jest ona jakby przecinkiem w długim okresie, ażeby czytelnik mógl spocząć i łatwiéj objąć, co przeczytał.

Dla mnie, co chciałbym zdać liczbę z umysłowych i duchowych pojawów tych dwunastu miesięcy, rok upłyniony wydaje się jak ta gościnna ustroń na którą po-

dróżny jeszcze raz obraca się, nim ją straci z oka na zawsze, a w skarbnicy wspomnień swoich na zawsze umieści; bo tam niejedno obudziło w nim sympatyę, zaczarowało chwilę, zajęło wyobraźnię, oświeciło umysł, jak i niejedno nabawiło niesmakiem, ścisnęło smutkiem a nawet sprowadziło ziewające nudy.

Tak samo zwracam się do ubiegłego roku i pytam co przyniósł, czem nas wzbogacił, co zapowiada, czy obietnice jego są szczere, i czy sam się nie łudzi?

Bieżąca krytyka niezawsze jest w stanie obrachować postęp literatury, raz że sama cząstkę literatury składa, a więc niemoże stawić się po za jéj obrębem, podrugie że skalę postępu tworzą pewne warstwy wyobrażeń które dopiero wtedy dają się ocenić, gdy wyczerpały swój fundusz, a w dążnościach swych pokazały się błogiemi lub zgubnemi. Wszakże w stosunku do skończonych iuż okresów łatwiéj jest wskazywać różnice, mianowicie te, co się liczebnie dają obrachować, lub co uderzające kontrasty tworzą.

Toż i obecna chwila literatury naszéj w stosunku do minionych, odznacza się niepospolitym ruchem piśmiennym. Ruch-to najwybitniejsze znamie dzisiejszéj epoki, bo się objawia we wszystkich gałęziach pracy ludzkiéj, czy materyalnéj, czy umysłowéj — niemógłbym powiedzieć że jest wypadkiem jakiejś myśli zaziemskiéj, jakiegoś nieodgadnionego instynktu jak ten, który ludy pędził na Rzym Cezarów, lub na odzyskanie grobu Śtego, lub na odszukanie nieznajomych światów... Tam zawsze był cel wysoki który wszystkich porywał i wiódł, było słowo upajające co rodziło poświęcenia się.... kiedy dziś, sprawcą i celem ruchu jest kapitał więcéj jeszcze fikcyjny jak rzeczywisty.

O cives, cives, quaerenda pecunia primum!
Virtus post nummos.

To jeszcze w swoim czasie powiedział Horacy, a musiał na prawdziwą ranę palec położyć, kiedy od téj pory Rzym nierósł, ale coraz malał i nikczemniał. Jeżeli ten charakter przybiéra spółeczeństwo dzisiejsze, niedziw że ruchliwe drgania muszą się również pojawiać w jego umysłowych płodach rzadko przynoszących z sobą co nowego, tylko utrzymujących się kosztem dawnych myślicieli i twórców, bo więcéj lub mniéj zręczne przyrządzenie wystarcza na pokarmienie rzesz łaknących chociaż i to ich łaknienie bardziéj jest materyalne niż duchowe.

Na piszących, czyli tak zwanych Kapłanów myśli niemożna zawsze zwalać winy; jeżeli ich wpływom na spółeczeństwo dano przesadzone rozmiary, to z drugiéj strony, za mało przyznano wpływu spółeczeństwa na piszących, którzy bezwzględnie są od niego zawiśli. — Autor — mówię tu o massie piszących w przecięciu jak ryba bez wody, niemoże się obejść, nie już bez sławy, bo téj współczesność najczęściej niedaje, ale bez wziętości, a rośnie w nią coraz więcéj, im więcéj umié dogadzać panującemu smakowi. — W ujemnej stronie spółeczeństwa, tkwi ujemna strona dzisiejszéj literatury. Publiczność obok innych wygodek i wykwintów życia, potrzebuje jeszcze przyjemnéj umysłowéj rozrywki w chwilach wypoczynku od zabaw lub od gonitw za złotym cielcem; dla tego ten jéj najwięcéj dogadza, kto ją najlepiej rozerwać umié. A rodzaj rozrywki bywa w różnych epokach różny. W Atenach publiczność tak się bawiła wszystkiem, czy to swoimi politykami, czy hetmanami, czy poetami, czy filozofami a nawet bogami, że aż władza musiała się w to wmięszać i tamę położyć temu szałowi przedrwiwania wszystkiego. W Rzymie za panowania Augusta podczas przedstawień poważnych komedyi Plauta lub Terencyusza wołali widzowie: dajcie nam uczonego niedźwiedzia lub skoczka! Kiedy Fran-

cya szalała i rospustowała najwyższem zepsuciem, bawiono się płaczliwym dramatem. Otóż więc jak wtedy tak dziś, tak zawsze, zabawa przybiéra różny charakter: czasem pusty śmiech oddziaływa na zbytek purytańskiego świętoszkostwa, to znowu łzy sentymentalne płyną nad listami dwojga kochanków, lub tkliwym dramatem, kiedy na placu publicznym poklaskiwało się spadającym głowom. — W dzisiejszej chwili społeczeństwo nasze rozlubowało się nadzwyczaj w obrazach wiejskiej prostoty, a tymczasem całemi tłumami garnie się do miasta i zmienia swój patryarchalny tryb życia, otaczając się wygodkami i wymysłami wcale niezgodnemi z tą wynoszoną pod nieba doskonałością człowieka natury. Że taki smak przeważa, najoczywistszy dowód w tém mnóstwie produkcyi opiewających przedmioty sielskie, zawsze prawie w przeciwstawieniu do klas wyższych, ma się rozumieć zepsutych do gruntu. — Wszystko to bawi widać i zajmuje, kiedy jest rozrywane przez publiczność; to tylko nieszczęście, że nauki tak piękne jakoś w las idą, bo choć autorowie przeciwne wskazują drogi, i nieszczędzą duchowego obroku, spółeczeństwo pędzi swoim torem: giełdy, koleje żelazne, przedsiębiorstwa olbrzymie wprawiają je w taką gorączkę, jeżeli się tylko sposobność nadarzy, jakiej nigdy niesprawił jeszcze żaden z tych poematów lub romansów. Takim jest świat, takiém spółeczeństwo w stósunku do piszących. Możemy mu radzić, prostować jego pochód, ale zatrzymać na pochyłościach nie zawsze podobna. Z tąd, jak już natrąciłem, wpływ piszących na obecne momenta, zawsze bywał przesadzony; przynajmniej autorow e· którzy wzięli się do pióra w tem przeświadczeniu czy zarozumieniu, że każde ich słowo musi się zaraz stać ciałem, albo co naginają i naciągają każde zdarzenie do planu ich reformy społecznéj, — autorowie tacy nietylko nieosiągają celu, ale tworom swoim

odejmują tę żywość naturalną, tę prawdę życia, która niemoże się żadnym sposobem rozwinąć pod naciskiem pretensyonalnéj dążności, choćby ta miała cel wcale zbawienny. Zdaje mi się, że ta pretensya dzisiejszych pisarzy urodziła się głównie z filozoficznych poglądów na dzieje umysłowości pisanych wtenczas, kiedy wpływy takiego Homera, Platona, Danta, Szekspira dopełniły się w sferach obejmujących nieraz kilka lub kilkanaście pokoleń. Ten i ów widząc jaką cześć oddawano jeniuszowi, pomyślał sobie: muszę i ja być wpływającym; kto wié, może na mnie spoczywa palec Boży, i stanę się Apostołem ludów! Tymczasem żeby wpływ był wpływającym, potrzeba mieć niepospolity skarb ducha do rozdania; same kombinacje sztuki — to jak papiery z przymusowóm kursem.

Jest to w ogóle choroba dzisiejszego piśmiennictwa nie tylko u nas, lecz wszędzie, wszakże z tą różnicą, że swobodniejsze umysły gdzie indziej otrząsają się z tego prędzej, kiedy u nas grzęzną dłużéj, a za nimi ogon krytyków zazwyczaj obracający się w tymże samym kółku co i pisarze. O inicyatywę w pojęciach i poglądach, o zmianie frontu, o przerzucenie zużytych stanowisk na świeższe jakieś i nie tak wydeptane pola, nie pytać naszych pseudo-estetyków.

Stronniczość można sobie wytłumaczyć namiętnością, przywiązaniem do swojéj idei, lub mrzonki; lecz nieumiejętny sąd ma tylko za wymówkę głupstwo i zarozumiałość, zawsze najczynniej reprezentowane, gdzie o to idzie aby jak najwięcéj papieru zadrukować.

Kiedy przebiegam myślą płody fantazyi i serca w upłynionym roku puszczone w świat, które powiedzmy nawiasem, są tylko dalszym ciągiem tego, co się w poprzednich latach rodziło—uderzają mię wyłączne dwie myśli, a raczéj dwa temata, około których krążyła niemal cała rzesza piszących.

Pierwszym tematem jest świat Soplicowski, zaściankowy, sięgający jak wiadomo ostatnich godzin Rzeczpospolitéj, co ożywiona wielkim duchem Barskiego związku buchnęła raz jeszcze płomieniem konającéj lampy i ukazała przesuwające się w jéj blasku charaktery i postacie bohatyrskie. Kopalnia ta, godna historycznego romansu od razu prawie wyczerpaną została talentem który pierwszy otworzył jéj głębię, co jednak nieprzeszkadzało, żeby ten i ów niezaglądał do niej i mniej więcej szczęśliwie wypełniał te luki jakie talent zostawił. Lecz gdy malować bohaterów i pełne charaktery nie każdemu dano, rzucono się w zaściankowe życie, powszednie przygody, zaprawne mocno węgrzynem, którego tyle wytoczono, żeby w nich skąpał wszystkich bohaterów romansów i powieści, co rozlało taką monotonię na one kompozycye, że się czytelnikom na prawdę głowa zaczęła kręcić od tych ustawnych libacyj. Dla urozmaicenia jednakże przedmiotu próbowano jeszcze jednéj kombinacyi, to jest zestawiania zaścianku z pałacem magnata. Ta odwieczna sprężyna zawiści klass pomiędzy sobą, nasuwała bijące kontrasty, z których umiano wyciągnąć co się tylko dało. Wiadomo, że pomiędzy warstwami towarzyskiemi gra nieustająca zawiść, dla tego że się nieznają. Gdyby się lepiej poznały, umiałyby sprawiedliwszemi być względem siebie, ale w takim razie dla pisarzy romansów, komedyi, dramatów upadłaby jedna sprężyna bez któréj możeby nie tak łatwo poruszali światem swojej kreacyi.

Drugi temat — kiedy malowanie zaścianków szlacheckich przejadło się cokolwiek, znalazł się w życiu *wioskowem;* samo wprowadzenie tego wyrazu na tytułach książek miało oznaczać nowy rodzaj. — Na nieszczęście w rodzaju tym nieznalazł się jeszcze tak górujący talent, aby zaspokoił potrzebę wtajemniczenia nas w ten świat odmalowany pędzlem poezyi maczanym w pra-

wdziwych kolorach, z czego urodziła się pewna maniera ckliwsza może niż klasyczna idylla, bo tamta przenosiła nas myślą w złoty wiek stósownie do owidiuszowego podziału, a dzisiejsza ma pretensyę stawiać nas pośród rzeczywistości na jaką codzień patrzymy. — Za główną sprężynę wzięto i tu kontrasta podług powyższéj formuły; wszakże, mogę to przyznać, daleko ostrożniej, przynajmniej u pisarzy pojmujących lepiej ducha epoki, co jednak niepowiada, żeby studia wioskowe niepozostawiały nic do życzenia, szczególniej w utworach poetycznych, które jeszcze nietrafiły na właściwy żywioł poezyi ludu; bo jakkolwiek mogą się znaleść niewierzący w poezyję pod słomianym dachem i w siermiędze, to jeżeli przypuszczamy w prostym człowieku czucie, wiarę, cierpienie, łzy, święte i szlachetne natchnienie — te źródła żywéj poezyi — to zawsze przypuścić można, że prawdziwy poeta znajdzie tam obfite żniwo. I rzeczywiście, mam przekonanie, iż na wioskową nutę długo jeszcze brząkać będą lutnie, wioskowe sceny obrabiać powieściopisarze — albowiem jest to panujący dziś smak w całéj niemal literaturze i sztuce europejskiéj.

Że to nie żadne urojone przypuszczenie, powtórzę com znalazł w uwagach jakiegoś niemieckiego krytyka, co uderzony zwrotem osobliwym w całéj bieżącej literaturze, tak powiada: „Historya wioskowa i pozioma rzeczywistość nawet i w malarstwie rozsiadły się tak szeroko, że idealne, romantyczne i historyczne przedmioty niemają nawet kącika, toż i u publiczności na odrobinę wziętości rachować nie mogą. Dawniejszy Sigfrid przystał za parobka u bawarskiego piwowara; Hebe roznosi kufle z piwem; Muza traiczna krząta się z widłami około nawozu; Mojżesz i Daniel handlują starzyzną, a o proroków to i nie pytaj. Cały interes skupił się w życiu domowem; potomek Germanów tylko za pie-

cem umié się rozpalić, dla tego wielkie historyczne przedmioty niegrzeją go wcale.

„Czyśmy rzeczywiście tak nisko spadli — zapytuje dalej ów krytyk — że już niemożem czuć zarazem i prawdziwie i szlachetnie? Czy wzniosłość stała się nam zupełnie obcą? Czy to prawda, żeśmy się wykreślili z listy heroicznie—czynnych narodów, i pobieramy emerytalną pensyjkę i żyjemy w kółku domowém gdzie nas portretują nasi malarze i poeci?

„Tyle przynajmniej pewna, że ludzie naszego wieku pozbawieni są heroicznego rzutu i patetycznéj treści; a jeżeli nareszcie publiczność przechyla się czasami do historycznych przedmiotów, to pragnie aby je oprawiono w maleńkie ramki i redukowano do drobnych rozmiarów obrazku z potocznego życia. Publiczność widzi chętnie na scenie koronowane głowy, ale w roli ojców rodziny, a najwięcej w roli mrukliwych tyranów domowych, a królowe i królewny w charakterze kapryśnych lub wzdychających kochanek. *Le roi citoyen* z parasolem pod pachą nieprzestał być ideałem naszéj publiki, która dla żelaznych postaci i charakterów niema sympatyi... Jeżeli tak pójdzie dalej to trajedya nie będzie śmiała oczu pokazać na deskach teatralnych.. Wielokrotnie też przekonywaliśmy się, że wszystkie patetyczne sceny umierania na teatrze sprawiają odrazę w widzach, co naprowadza na wniosek, że nadchodzi okres albo najczystszéj ludzkości i wykształcenia, albo zupełnej zniewieściałości bojącej się jak ognia wszelkich katastraf traicznych czy w rzeczywistości, czy w zmyśleniu. Że ku temu idzie, to aż nadto widoczne. Drobne wyrafinowane udręczenia jeszcze jako tako uchodzą na scenię, byle tylko prowadziły do spokojnego, a wcale nie krwawego rozwiązania. Codzień doświadczamy tego, że im się bardziej człowiek starzeje, im więcéj smutnych zdarzeń był świadkiem, im bliżéj starł się z rze-

czywistością — tem myśl śmierci częściej mu się nawija, i ażeby to natrętne widmo odpędzić od siebie, szuka rozweselających wrażeń, a przeto w dziedzinie sztuki, gdzie może, od traicznych przedmiotów ucieka. Zastósowanie téj prawdy do całych narodów niepotrzebuje wielkiego naciągania. — To pewna, że w naszym wieku bardzo mało jest ludzi tak silnego odlewu i tak głębokiego stępla, ażeby traiczny los ujęty w ten sposób jak go wystawiali starzy Grecy lub Szekspir, mógł być dla nich źródłem wzniesienia się nad siebie samych, i bodźcem do niezłomnych zapasów z własnemi losy.“

Z powyższych trafnych bardzo postrzeżeń widzimy, że nie sami piszący wpływem swoim sprowadzili ten stan, ile społeczeństwo upomniało się u nich, aby je bawiono w tym duchu, na co radzi nie radzi musieli przystać; duch bowiem społeczeństwa, potrzebuje odźwierciedlać się w utworach wyobraźni i czucia; inaczéj utwory artystów przechodziłyby bez wrażenia, a więc zabijałyby zawód autorski ciągnący siłę, życie i zapał z wrażeń jakie na ogóle sprawić może.

Chcąc być sprawiedliwym w sądzie nienależy kłaść łasztem wszystkich win na Autora, a nic na społeczność w pośród któréj żyje i wpływów doświadcza. Ma się rozumieć, że tu nie mówię o tych rzadkich geniuszach co wybiegłszy nad swoją epokę, unoszą z sobą ogół czujący i myślący na te szlaki o których mglisto roił, a oni oświecili płomieńmi życiodawczego słowa i wytknęli szeroko ogarniającym rozumem — o tych niemówię — ale o téj rzeczpospolitéj piszących co to przynosi codzienny umysłowy pokarm lub rozrywkę, i co różnemi drogi przyczynia się do objawu myśli i uczuć krążących w ciele społecznem...

Na początku zwróciłem uwagę na większy ruch literacki u nas, niż był kiedykolwiek i dałem mu pewien związek uboczny z ruchem kapitałów wyprawiającym

dziś cuda po świecie. Nic naturalniejszego; społeczność ubezwładniona na gruncie szerszéj żywotniejszej rzeczywistości, szuka dla siebie powietrza i przestrzeni gdzieby mogła sobie powiedzieć: jestem bo myślę i działam. Z tego wynikło, że i w świecie literackim musiała powstać czynność o jakiéj nie słyszeliśmy nawet w najlepszych chwilach złotego wieku; coraz nowe powstają pióra, tworzą się kombinacye edytorskie na obszerną skalę; książka książkę goni, sława spycha sławę, i koniec końców obliczywszy się: z wielkiéj chmury, mały deszcz, wiele hałasu i okazałości, rzetelnego pożytku mało! Ta bowiem ruchliwa obfitość, jest jak woda wylana ze szklanki, która wprawdzie nie przestaje być wodą, ale już spragnionego nie napoi... Forma powieści w którą wszystko zmieścić się może, stała się zdawkową monetą, krąży z rąk do rąk, ale nikt jéj nie chowa, bo tylko ma konwencyonalną wartość, zaspokaja ledwo codzienny wydatek, a zatém nieobraca się w kapitał, któryby prawdziwą zamożność stanowił. Toż i duchowego kapitału wyroby te nie przynoszą, jak nieprzyniosły żadnemu narodowi choć liczył ich na krocie, i lepszych niż nasze.

Nie mówię tego bynajmniéj aby przymawiać tym, co nas zasilają podobnym rodzajem literatury, służy im bowiem obronny argument: a dla czegoż nas czytają tak skwapliwie, dla czego dopiero czytać zaczęto, odkąd obraliśmy tę drogę? — Zapewne argument mocny, lecz jeszcze niezwycięzki; wlec się bowiem za efemerycznym smakiem massy czytającéj, jedno jest co zajmować to stanowisko na jakiem massa stoi—a cóż się zrobi z tém powtarzanem co chwila kapłaństwem myśli, z tem posłannictwem duchowem do jakiego każdy piszący rości sobie pretensyą, jeżeli tu i owdzie pomiędzy sceny brudne lub płaskie, z rzeczywistości niby wzięte, rzuci obrok duchowny, kusy jaki morał, co nie chłodzi, nie

grzeje? — Powiadają, że przy nich dopiero prawdziwy postęp odkąd zaczęli w wiernych rysach malować rzeczywistość; przyznaję, że rysy pochwycone są z rzeczywistości tu i owdzie, a pochwycone aż do drobiazgów; lecz czyliż wyżsi pisarze nasi nie robili tego samego? Kto więcéj rzeczywistości umiał pochwycić jak Mickiewicz w Panu Tadeuszu, Brodziński w Wiesławie, Goszczyński w Zamku Kaniowskim? ależ dla tego każdy z nich czuł się w obowiązku napełnić tę rzeczywistość taką potęgą ducha, że te ich kreacye mają wszystkie przymioty prawdziwéj kreacyi — to jest idealność. Dziś trudno spotkać się z czem podobnem, bo że tak powiem, głównie materyalna strona najwięcéj bywa uwzględniana; a materyalne strony są: rozlechtanie ciekawości przez użycie zręcznych kombinacyj zawikłujących rzecz i wyszukiwanie scen rażących jaskrawością kolorytu i ruchliwością jarmarczną; spisywanie w inwentarz garderoby i mebli; a nareszcie postrzeżenia powierzchownych drobnostek na które codzień patrzymy — zgoła cały ten przybór składa się na utwor i tyle w nim miejsca zabiera, że już to co ma wyjść z ducha niema się gdzie podzieć; dla téj przyczyny pozorne życie działających figur, i pozorna w rzeczywistości prawda mogą zabawić, zainteresować póki książka w ręku, póki czas czemsiś zabić potrzeba — lecz gdy ta zbytkowa uciecha minie, książka nie otwiera się więcéj, a pustki jak były tak zostają w głowie i sercu czytelnika.

Ten kierunek nadany dzisiejszemu naszemu piśmiennictwu wszczął się z téj śliskiéj a przyjętéj przez wielu prawdziwie utalentowanych autorów metody, popularyzowania wszelkich wyobrażeń, przez podanie ich w najprzystępniejszéj i najbardziéj łatwéj formie powieści. Usłużność ta odbyła się jednak kosztem wysokiego nastroju w jakim prawdziwy kunsztmistrz powinien trzymać swoją kompozycyę; tymczasem rzecz dowiedziona,

iż popularność nie leży w spłaszczeniu się, gdy największe utwory takiemi nie są, a dla tego przystępnemi być nie przestają.—Malczewskiego lub Mickiewicza czyta i czuje wielka liczba, a jednak ton ich zawsze wysoki, podnosi drugich, siebie nie zniża. Pogardzono też wyborną przyprawą mogącą prawdziwie łaknących nasycić, a zajęto się rozdawaniem zupy rumfordzkiéj, która niedozwala zaiste z głodu umierać, ale téż i nie tuczy. Filantropia ta tak w ekonomii politycznéj jak w literaturze, bardzo może być chwalebną, ale mniemam że zawsze tam lepiéj, gdzie się bez niéj obejść można.

Tak oto, weszliśmy w okres więcéj fabryczny, jak twórczy; zręczność zastąpiła natchnienie; słowo z ducha poczęte, krwią serca pisane, poszło na posługę nowego zastępu pisarzy co do gotowego przyszli, a swego nic prawie nie przynieśli, krom pewnéj mechanicznéj wprawy, co maskując brak pracy wewnętrznéj, téj pracy która jedna jest w stanie dać ton gorący, i rozlać owe światło niebieskie jakie żadnym efektem wywołanym przez użycie najczarniejszego cienia zastąpić się nie da.

Daleki jestem od myśli rzucania winy na kogokolwiek, a jeszcze mniéj powstawania na tę obfitość płodów piśmiennych wychodzących z pod pras drukarskich — bo mam to przekonanie, że jak z gór lecącego potoku nikt nie wstrzyma, tak i téj fazy w piśmiennictwie nic nie odwróci, dopóki przez wyczerpanie się i zużycie, swego niedomierzy kresu. Powinnością jest wszakże krytyki, jeżeli chce zdawać sprawę z każdéj rozleglejszéj sytuacyi, odnosić ją do prawd wiekami uznanych, słowem porównywać, a porównywając wykazywać niedostatki, ostrzegać o niebezpieczeństwach, zwłaszcza jeżeli żywe słowo, to jedyne narzędzie jakiem się duch nasz objawia, pójdzie na posługę wewnętrznéj czczości, i tak zużyte stanie się pustem tylko brzmieniem.

Bez pracy ducha, sama zewnętrzna sztuka jest tylko pobielanym grobem; pismo święte zastósowało to do tych, co mieli wszystkie formy cnót i świętości, a istoty ich nie mieli. Toż i pismiennictwo piękne ma dzisiaj to wszystko, co ludzi, co się chwilowo podoba, co rozrywa, dziwi nawet, ale niema tego co przeistacza, podnosi, uszlachetnia, i rozbudza świat myśli nieopuszczających człowieka póki je w czyn niezamieni.

Być może, nie każda chwila sprzyja rozwinięciu téj potęgi ducha twórczego; obecna należyć może do tego rzędu zbankrutowanych chwil jakiegoś przejścia do czegoś — a temu nie winni ani poeci, ani romansiści. Ale w takiém położeniu niechżeby ton był mniej podniosły i mniejsze uroszczenia, a większa poszana i pamięć tego, co w wyższéj sferze panuje udzielnie. Bo to pewna, iż tak upojenie się bogactwem produkcyi wypływającem tylko z pochopności do piór, jak wiara we wziętość dzienną roztrąbianą po pismach czasowych, rodzi pewne zadowolenie z siebie, które jeśli kogo to sztukmistrza gubi, wpisując go w koło z którego wyjść nie może, aż do zupełnego wyczerpania funduszu, tém bardziéj jeżeli ten fundusz ciągnie się z samego zewnętrznego świata, a nie z tego, co wszystkie największe dzieła stworzył na ziemi.

Po tych uwagach natchniętych mi piśmiennictwem upłynionego roku, mógłby kto wnosić, że urobiłem sobie z góry zasadę potępić wszystkie utwory jakie się w ciągu tego czasu ukazały, a potępić bezwzględnie. Lecz takie przypuszczenie byłoby równie niesprawiedliwe, jak niesprawiedliwość każdego zdania, co dla jednéj ujemnéj strony, potępia inne, pełne tych zalet jakie służą talentowi, nauce, pracy, bystrości umysłu i zacnym chęciom. Téj śmiałości nigdy nie miałem, starając się o ile było w méj mocy, przy uwagach nad którémkolwiek dziełem w ciągu roku, nie tyle polować na niedo-

statki, ile podnosić strony zaletne, mam bowiem to przekonanie że ostatnie płyną zawsze z głębi duszy autora i są jej kwiatem, kiedy pierwsze są tylko ułomnéj natury płodem — czyli głuszącym chwastem dającym się wyrwać,.... jeżeli tylko właściciel niema tego zarozumienia że i pokrzywy u niego pachną.

Zacznijmy tedy od najgłośniejszéj reprezentantki naszéj dzisiejszéj literatury, to jest od powieści, czy romansu, bo dziś pomięszała się jedna z drugim, tak że niktby już niemógł powiedzieć gdzie się podziało to naiwne, i pełne organizmu życia Bokkacyuszowe dziecko, — ale kiedy go niema, nie do mnie należy szukać — snać podrosło, a raczéj urosło w tomy i nazwało się romansem.

Otóż rok upłyniony nie miał wielkiego szczęścia do romansów; nie było takich coby miały zbytni rozgłos, ale zawsze na domową potrzebę starczyło. Kraszewski w ostatnich dwóch utworach zyskawszy nader przychylne zdanie, wziął się do spisywania i obrabiania pamiętników historycznych sięgających prawie wyłącznie ostatnich lat panowania Stanisława Augusta. Korzeniowski zrobił wrażenie romansem: *Krewni*, lecz że dzieło to nie ukazało się jeszcze w osobnéj książce, przeto nie wypada mówić o niem. — Natomiast Grabowski wydrukował urywek ze *Starosty Kaniowskiego*, utworu obszernych rozmiarów, jak to widać z samego prowadzenia rzeczy. Sceny podane tu, między innemi: Jarmark w Kahorliku, wielce interesują obrazowaniem ludu, miejsc, i owczesnych stosunków; znać że ten, co to pisał, wżył się i w przeszłość żyjącą jeszcze tradycyami i w teraźniejszość będącą ich żywem dopełnieniem. Jakie zaś jest przeprowadzenie całości, jak rozwinięte i utrzymane charaktery, powiedzieć jeszcze nie można; to pewna że przy pełności przedmiotu, przy spokoju wytrawnego pisarza powinna wyjść urocza całość, byle znowu nieznalazły

się te dłużyzny wypowiadające wszystko, coby czytelnik mógł sobie sam powiedzieć.—*Nowy Gladyator* pani Morzkowskiéj przepełniony estetyczno-filozoficznemi gawędami zarywa coś na rodzaj pani Sand, ale nie pierwszy, tylko drugi — gdy się już podstarzała. — Wychodziło jeszcze wiele a wiele większych i mniejszych powieści, lecz to należy raczéj do bibliografii pilnie spisywać tytuły, niż do krótkiego przeglądu; jednakże pominąć niepodobna *Fabioli* kardynała Wisemana tłumaczonéj na polskie — ta bowiem powieść będąc własnością całego chrześciańskiego świata, przewyższa o całe niebo dzisiejszą literaturę powieściową, czy naszą, czy inną, i policzyć się może do najważniejszych wypadków w dziedzinie ducha. Taka książka zostaje na zawsze i zawsze do niéj się wraca, jak wracamy do Męczenników Chateaubriana.

Poezya, jak to po kilkakroć w przeglądach nadmieniłem, doszła do szczególnéj wziętości. Poemata sypią się—i rozchodzą, a wydawcy polują na zyskowne rękopisy. I bardzo słusznie; wydrukowanie bowiem małego tomiku sprzedającego się tak drogo jak najgrubsze i najpracowitsze dzieło, nastręcza zyski pewniejsze, tembardziéj, jeśli publiczność polubiła tę formę. — Oprócz *Drobnych poezyj* W. Pola mających wysokie zalety właściwe tylko temu poecie, i tę świeżość pierwszéj ręki o którą dziś tak nie łatwo, najczynniéj pracuje na téj niwie Syrokomla. Powieści jego wierszem: *Janko Cmentarnik, Wielki Czwartek, Córa Piastów, Stare Wrota* podobają się powszechnie i są czytane. Lecz zdaniem mojem, może mylném, nie straciłyby nic na swojéj wartości, i równie byłyby czytane, gdyby każdy z tych przedmiotów obrobiony był prozą, z czego możnaby wnosić że w nich nie tyle idzie o samą poezyę, ile o powieść przywdziewającą tę wykwintną szatę. Toby pokazywało że smak publiczny zaczyna być cokolwiek wybrédny i

że już goni za wykwintniejszą przyprawą, téj samej rzeczy.—W *Starych Wrotach* znalazł jednak Syrokomla ton wyższy, co nieprzeszkadza żeby w tych samych wyrazach niemógł był ułożyć bardzo pięknéj powieści prozą.

Tę samą uwagę możnaby rozciągnąć do powieści rymowanych Pruszakowéj, i do bardzo pochlebnie sądzonéj po dziennikach powiastki (wierszem) *Anioł i Czart* Jana Chęcińskiego. Myśl bardzo zacna i chrześciańska robienia przed każdą czynnością krzyża ś., natchnęła ten budujący utwor, długi na parę tysięcy wierszy. Język prosty, rymowanie bardzo łatwe, niektóre rysy szczęśliwie z życia wieśniaków pochwycone — oto zalety téj pracy rymotwórczéj; w tem tylko widzę niepotrzebne wysilenie, że przedmiot który dawniéj Mickiewicz, Odyniec, Witwicki, byłby odprawił balladą lub legendą, zwięzłą, trafną, jednym tchem ulaną, aby utkwiła w pamięci raz posłyszana, rozrósł się w te rozmiary poematu, że wreszcie przedmiot coby pod piórem kanonika Schmida lub Tańskiéj, znalazł był odpowiednią formę—w dzisiejszém pojmowaniu poezyi użyty został jako poetyczny materyał.—Widząc ten proceder musiałbym przypuszczać, że dziś zbliżamy się do téj saméj mody jaka panowała w owych czasach kiedy szata rymowana służyła wszelkiemu objawowi myśli bądź moralnéj bądź ściśle umiejętnéj.

Kilka przekładów poetycznych podjętych z talentem i ścisłością zasługuje na wzmiankę. Do najznamienitszych zaliczyć mogę przekład *Hymnów kościelnych* wydanych w Krakowie; jest to pośmiertne dzieło ś. p. ks. Hołowińskiego. Tym sposobem przybywa nam cały ten skarbiec średniowiecznéj liryki chrześciańskiéj, wygranéj przez największe świętości i geniusze Kościoła.—Co do literatury klasycznéj, bardzo znakomicie wywiązał się z zadania p. Węclewski dając nam przekład *Agamemnona* Eschylesowego, przekład który się zrozumiale i przyjemnie

czyta; chociaż jak utrzymywać nieprzestanę, mali być tłumaczenie wykonane z wszystkiemi wymaganiami artystostwa, niechże je rym ozdobi choćby z nieuszanowaniem wierności słownéj, która zazwyczaj sadząc się na przekalkowanie tekstu, to sprawia, iż zamiast przyswojenia własnemu językowi obcego oryginału, takowy zawsze pozostaje obcym. Niż takie tłumaczenia czytać, każdy wolałby uczyć się już po grecku w nadziei żeby więcéj zrozumiał. P. Wiktor z Baworowa, który się dał poznać z przekładu *Oberona* Wielandowego, wydał dwie pierwsze pieśni: *Pielgrzymki Czajlda Harolda*. Wiersz harmonijny i płynny, myśli oryginału w pełności lecz niedość żywo oddane, co sprawia niejaką rozwlekłość, a to głównie z przyczyny, iż użycie trzynastozgłoskowego wiersza z przekładanym rymem, a wiersza mającego wyrażać nieraz polot liryczny, obciąża myśl jakby kto ptaka spętał i kazał mu wzbić się pod nieba.

Fritiofowa Saga przełożona z Tegnera przez Jagielskiego wygląda raczéj na jakieś filologiczne exercicium, niż na poetyczny przekład. Znałem pewnego francuza, który sobie uroił pozbierać wszystkie wyrazy i lokucye. z francuzkich średniowiecznych romansów i tym językiem tłumaczyć Homera, jakoż obrobił tym krojem kilka ksiąg, ale praktyczny rozum francuzów zaraz zrobił sprawiedliwość bo mu taka oryginalnosć przyznał, że nikt niechciał jéj naśladować.

Na polu estetyki i filozofii najgłówniejszą grają rolę *Listy z Krakowa* Józefa Kremera we trzech tomach wydane. Pierwszy tom dawniéj znany, dziś rozszerzony i uzupełniony, mówi o wstępnych zasadach Estetyki — drugie dwa tomy świeżo skreślone traktują dzieje artystycznéj fantazyi. W pierwszéj części porusza taki przedmiot jak sztukę we wszystkich jéj stosunkach do zmysłów, rozumu, uczuć, natury, z czego znowu wyprowadza ideał i pokazuje jak się tworzył w różnych cza-

sach i narodach. W dziejach fantazyi przesuwa przed czytelnikiem wszystkie jéj dziwy przebiegając starożytne Chiny, Indye, Egipt, Assyryą, Persyę, Ludy Mahometańskie, klassyczną Grecyę i Rzym, Średnie wieki i wiek reformy. Dzieło poważnéj i wielkiéj treści, a w sposób przystępny napisane zasługuje więcéj jak na pobieżną wzmiankę w tym przeglądzie rocznym, dlatego prędzéj lub późniéj poświęcimy mu osobny artykuł oceniający pożytek jaki z dzieła tego spłynąć może na świat czytający.

Wydawnictwo Biblioteki polskiéj w Sanoku oddające taką przysługę przez rozpowszechnienie dobrych ksiąg, bardzo na dobie ogłosiło: Zbiór artykułów *O Literaturze* Kazimierza Brodzińskiego — a jeżeli dziełko to niezawsze rozwiązuje te zadania jakie się nawijają w obecnym stanie naszego piśmiennictwa, to z drugiéj strony yle ma zdrowych uwag, tak może przysposobić umysł i smak do trafnego oceniania płodów literackich przyjmowanych i czytanych bez braku, że prawdziwa wdzięczność należy się za ten przedruk zjawiający się na dobie.

O Obrazie Literatury średniowiecznych ludów przerobionym z Eichhofa przez panią Pruszakowę mówiliśmy osobno.

Edukacyjne dziełka podniosły się o wiele na swojéj wartości, tak przez pisemka czasowe wychodzące w Warszawie pod napisem: *Rozrywki dla młodocianego wieku* wydawane przez p. Pruszakowę, gdzie się spotyka artykuły szczęśliwie napisane w tym tonie jakim Tańska do młodego pokolenia przemawiać umiała. Pani Śmigielska wydaje w tymże sposobie *Zabawy przyjemne i pożyteczne;* zgoła są pióra co od najmłodszych lat przygotowują przyszłych czytelników belletrystyki, w czem może być najczystsza chęć, lubo niewiem czy obfitość

takich pisemek, bez których się młodość obchodziła jakoś przez kilkanaście wieków słuchając żywéj opowieści starców, wyda spodziewany owoc. Czekajmy co powie doświadczenie; lubo takie experymenta zawsze kosztują.

Książka edukacyjna co prawdziwie odpowiada potrzebie a korzyść przynosi, jest zdaniem mojem: *Rady praktyczne o początkowem wychowaniu dzieci* napisane przez L. M. Autorka nie pisze traktatu filozoficznego o wychowaniu, tylko podaje rady zebrane i cudzem i własnem doświadczeniem. Wszystko tu na praktyce oparte, sprawdzone i zastósowane do użytku. Taki przewodnik dla matek co naucza, prostuje, a przytem pobudza do rozmyślania nad każdym przypadkiem trafiającem się w wychowaniu dziecka, był prawdziwie na dobie, kiedy tyle sprzecznych teoryj i złych nawyknień przewodniczy domowemu wychowaniu.

Najważniejsza zawsze dla nas gałąź historyczna nie może się poszczycić licznym pocztem dzieł ogłoszonym w zeszłym roku, bo też trudno wymagać aby to, co wymaga długich studiów i ciężkiéj pracy, sypało się równie gęsto jak płody fantazyi. Jedno dzieło trzytomowe Szajnocby *Jagiełło i Jadwiga* wystarcza do zastąpienia godnie téj gałęzi piśmiennictwa. Jest to płód nowéj szkoły, nie dla tego żebym szkołą nazywał rozszerzenie zakresu dziejopisarskiego przez zbadanie nowych źródeł, lecz że do opowieści historycznéj wciągnięte zostały drobnostki życia, i usilne ubieganie się za kolorytem wieku, który bardziéj do epopei lub powieści należy. Ponieważ to pierwsza próba w tym rodzaju— musimy ją przyjmować ostrożnie, bo wiemy w co się zazwyczaj obracają nowości, gdy mniéj umiejętni i rozważni naśladowcy, niemający ani nauki ani bystrości p. Szajnochy, pochwycą tę stronę i nadużyją jéj z praw-

dziwym uszczerbkiem historycznych badań. Samo bliższe ocenienie *Jagiełły i Jadwigi* tak pod względem pojęcia ducha owego wieku, jak sposobu pisania, zostawiamy sobie napóźniéj. Poświęcenie osobnego artykułu dziełu, co należy do rzędu wyższéj historyki, jest dowodem, że niecenimy je tak lekko, aby na wzmiance poprzestać.

Baliński Michał wydał: *Studya historyczne* napisane wybornym stylem i zajmujące treścią; umysł tego pisarza jasno pojmuje przeszłość, uobecnia ją z taką łatwością rysami tak trafnie wyszukanemi, że czytelnik zdarzenie i osoby wystawiane przez niego, przyjmuje jak dawno znajome. Wyborne są ustępy o Śniadeckim, a wielce ważne listy Zygm. Augusta pisane z powodu Barbary, które w tak pięknem świetle przedstawiają jego charakter. Warto by aby tak piękne pióro co już nam wskrzesiło postać Barbary, uzupełniło całą tę epokę Zygmunta Augusta. — Nieznajomy, zdaje się młody pisarz wydał w Poznaniu początek panowania Augusta IIgo — pracę, nie bez przyszłości, jeżeli jéj wytrawny sąd w pomoc przyjdzie. — Krom tych ważniejszych dzieł widzimy czynne krzątanie się około wydawnictwa materyałów historycznych, oraz biografii i monografii. — *Teka Podoskiego* drukująca się w Poznaniu wyszła we cztérech tomach i mieści w sobie mnóstwo różnéj wartości dokumentów do czasów piérwszego Sasa. W Lipsku wydał Jan hr. Załuski *Konotatki* wypadków familijnych i krajowych zaszłych od r. 1634 do 1689 skreślonych p. St. Wierzbowskiego. — Pracowity X. Sadok Barącz wydał we Lwowie: *Pamiętnik* dziejów polskich, gdzie wydrukował ciekawe listy z czasów Jana Kazimierza, Michała i Jana III — a p. Lewestan ogłosił *Historyczne pamiątki* Tomasza Święckiego, które są słownikiem żywotów historycznych; szkoda tylko że wszystkie myłki

jakie Święcki porobił w swych notatkach zostały wydrukowane w dobréj wierze.—Uczony oryentalista Dr. Pietraszewski wydał w Lipsku: Wypadki z dziejów Polski styczność z dziejami Turcyi mające, aż do traktatu w Kajnardzi 1774 r.—Bartoszewicz historycznie opisuje: Kościoły warszawskie.— Wójcicki, ten niezmordowany i pierwszy prawie badacz i poszukiwacz tych wszystkich zabytków przeszłości, co leżały po za obrębem oficyalnego świata — spisuje żywoty ludzi spoczywających na Cmentarzu powązkowskim, czem niezmierną położył zasługę dając nam poznać zasłużonych mężów, których pamięć byłaby zgasła.

Archeologia, w pomoc idąca historyi również silnie zaprząta umysły głównie w trzech punktach: w Krakowie, gdzie już od ośmiu lat istniejący wydział archeologiczny, odżył na nowo wraz z Towarzystwem Naukowém; w Warszawie, gdzie hr. Przezdziecki od lat kilku wydaje swoje Pomniki sztuki średniowiecznéj i gromadzi tym podobne pamiątki — nareszcie w Wilnie gdzie się zawiązało Tow. Archeologiczne i osobne pismo *Tygodnik wileński* gotuje, dzięki czynności znanego w literaturze p. Kirkora (Jana ze Śliwina).

Oprócz tych prac czynność naukowa szczególniéj lingwistyczna trwa i na innych miejscach, mianowicie we Lwowie, gdzie A. Bielowski zajął się wydawnictwem Słownika Lindego uzupełniając go, i prostując niektóre uchybienia. Dwa ogromne tomy już wyszły, trzeci w druku. — Orgelbrand księgarz w Wilnie drukuje Słownik języka polskiego wzbogacony całym pocztem nowych wyrazów jakie się w książkach naszych znalazły z postępem rozmaitych gałęzi umiejętności i techniki. — W innych działach naukowych *Geologia* Zeisznera wydana w Krakowie, *Fizyologia* Majera, także w Krakowie —*Higiena polska* Trypplina w Warszawie—wreszcie pi-

smo *Przyroda i Przemysł* wychodzące w Poznaniu a poświęcone ścisłéj umiejętności — wszystko to zgoła pokazuje że równie jak fantazyjna tak i umysłowa czynność nie przestaje snuć swego wątku i świadczyć o nas, że jesteśmy.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

DRUGIE KONFERENCYE PARYZKIE.

Gdyby nawet nie systemat polityczny przez mocarstwa europejskie obecnie przyjęty, a wymagający częstszych narad i zgromadzeń ich reprezentantów, skoro każda kwestya ma być wspólnie i solidarnie przez wszystkie państwa rozstrzyganą;—gdyby nawet nie sprawa wschodnia, która pomimo wszelkich usiłowań dyplomatycznych, protokółów, pomimo nawet trzechletniéj wojny, nie da się w teraźniejszości pochwycić, ani określić w najdrobniejszych nawet i najostrożniej obrachowanych warunkach, ani przewidzieć w najbystrzejszych nawet przypuszczeniach i domysłach, ale zawsze w przyszłość ulata i ciągłą grozi niespodzianką mogącą w każdéj chwili najlepiéj ustawione i ustalone szyki polityczne pomięszać, i najzręczniéj wzniesioną budowę jednym nagłym zwrotem obalić;—gdyby więc nawet nie podstawa i treść czyli przedmiot traktatu 30go marca r. z. to już sama jego forma kazała wnosić, że konferencye paryzkie w marcu r. z. odbyte nie były ostatniemi, że nastąpią

po nich inne jeszcze zebrania, które dzieło pacyfikacyi rozpoczęte, daléj prowadzić będą zmuszone.

Chociaż bowiem traktat z 30go marca nie zapowiadał w osnowie swéj powtórnych konferencyj ani co do epoki ich zebrania, ani co do sposobu w jakimby się takowe odbyć miały; wszelako nie rozstrzygając stanowczo prawie żadnéj kwestyi, powierzając załatwienie pojedynczych spraw osobnym ku temu celowi wysłanym komisyom, zastrzegł był [1], że sprawozdania z dokonanych przez nie prac i z osiągnionych rezultatów, przedłożone zostaną „konferencyi“ do ostatecznego rozwiązania lub potwierdzenia. Nie było powiedzianém jakiéj konferencyi, i kiedy — ale zawsze konferencyi. Każdy przeto przewidywał, że nowe konferencye nastąpią, lecz powiedziawszy prawdę spodziewał się ich później. Oczekiwanie to nieco odleglejsze podzielały z opinią publiczną jak się zdaje nawet gabinety. Obrót niespodziewany wypadków zaraz przy wykonaniu pierwszego warunku traktatu, zaskoczył je nieco. Sprawa o wyspę Wężową wystąpiła tak nieprzewidzianie, z dziś na jutro, jakby w czasach mitologicznych, co to wyspy występowały z morza za uderzeniem trójzęba neptunowego. Wyspa Wężowa w polityce była całkiem nowem odkryciem, tém dziwniejszém, że zajmując tak mało miejsca na wodzie, a tak podrzędne w jeografii stanowisko, zajęła

---

[1]) Art. 25 traktatu z 30go marca brzmi jak następuje:

„Wziąwszy pod rozwagę zdania wyrażone przez obydwa dywany, Komisya (księstw Naddunajskich) prześle bez zwłoki do obecnéj siedziby konferencyi rezultat własnych swych prac.

„Ostateczne porozumienie z mocarstwem zwierzchniczem, zostanie zatwierdzone konwencyą zawartą w Paryżu pomiędzy wysokiemi stronami kontraktującemi, a hattiszeryf odpowiedni zastrzeżeniom konwencyi, stanowczo określi organizacyą tych prowincyj, oddanych na przyszłość pod zbiorową gwarancyę wszystkich państw które podpisały traktat.“

bardzo wielkie w polityce, spowodowawszy powrót floty angielskiéj na morze Czarne. Nikomu przeto za złe wziąść nie można, iż nie przewidział owego sporu o skałę, na któréj nawet, „koziej wełny“ zebraćby się nie udało. Spodziewano się przeto, i sama myśl traktatu z 30go marca naprowadzała na ten domysł, że nowe konferencye zbiorą się dopiero w przedmiocie ostatecznéj organizacyi księstw Naddunajskich. Tu bowiem rzeczywiste przedstawiały się trudności, do uniknienia prawie niepodobne, wymagające zatém stanowczego rozstrzygnięcia, do którego w dzisiéjszym systemacie przyjść nie można jak tylko przez zwołanie kongresu reprezentantów wszystkich mocarstw.

Właśnie też w tem leżała podobnoś przyczyna owego ciągania się w zwołaniu powtórnych konferencyj, i opozycyi niektórych państw jaką projekt tego zebrania przez czas niejaki napotykał. Stąd zwłoka i opóźnienie w całém dziele zamierzonem przez pierwsze konferencye, zwłoka nader niekorzystna a nawet szkodliwa. Opozycya ta jednak da się usprawiedliwić: przedział rozgraniczenia Multan zdawał się być za mały, wiele i innych nader ważnych okoliczności przemawiało przeciw użyciu tego najwyższego sposobu w europejskiéj polityce. Niektóre z tych okoliczności wyliczone zostały na tem miejscu w miesiącu listopadzie, kilka innych jeszcze i dzisiaj w dalszym ciągu dotknąć przyjdzie. Bądź co bądź, pomimo wszelkich opozycyj i sprzecznych zdań gabinetów, gdy się dyplomacya europejska po kilko miesięcznych ciągłych usiłowaniach dokładnie przekonała, że kwestyi bołgradzkiéj umorzyć nie zdoła, że wyspa Wężowa przetrwa wszelkie burze i wichry jakie przeciw niéj *Times* ów nowoczesny Eol z pieczarów *City* wypuścić potrafi; — nadto, gdy widocznem było że obie te kwestye coraz większe przybierają rozmiary: pierwsza, tamując dalszy bieg czynności innych komisyj a zwła-

szcza komisyi względem organizacyi księstw Naddunajskich, przez uprawnienie aż do pewnego stopnia pobytu wojsk austryackich w tych prowincyach; druga zaś, przeszkadzając neutralizacyi morza Czarnego przez podanie pozoru prawnego Anglii do trzymania na tych wodach swéj floty; —dyplomacya przeto europejska, chcąc uniknąć następstw któreby z niedającego się naprzód obrachować rozwinięcia tych nowych trudności wypaść mogły, a nie mając innego środka usunięcia ich prócz złożenia nowych konferencyj, zgodziła się w końcu na takowe, i odbyła je w Paryżu w dwóch posiedzeniach na dniu 31 grudnia r. 1856 i 6 stycznia 1857.

Wypadkiem drugiéj konferencyi nie jest żaden traktat, ale tylko spisany protokół, jakby artykuł dodatkowy do traktatu 30go marca, i protokół ten przesłany został dworom do ratyfikacyi. Że takowa nastąpi niemasz wątpliwości, wszakże gdy jeszcze nie nastąpiła, tekst protokółu ogłoszony nie został. Urzędowa nota *Monitora* podała jedynie treść onego, trzymając się zapewnie o ile można najściśléj ducha a nawet wyrażeń tego aktu, a przeto wystarcza ona na ocenienie téj nowéj czynności politycznéj i jéj następstw. Stósownie więc do noty *Monitora*:

1. Konferencya druga paryzka zebrała się „aby *położyć kres trudnościom* jakie napotykało wykonanie traktatu z 30go marca.“

2. Ponieważ „*miejscowość nie dozwoliła* komisyi rozgraniczającéj *porozumieć się* względem *wszystkich* punktów linii mającéj stanowić granicę pomiędzy Turcyą europejską i Rosyą [2])“ — przeto w tak przedstawionej

---

[2]) **Art. 20 traktatu z 30go marca r. z. oznaczający tę granicę brzmi jak następuje:**

„W zamian miast, portów i terrytoryów przytoczonych w art. 4 niniejszego traktatu i dla lepszego zabezpieczenia wolności żeglugi

kwestyi bołgradzkiéj — „konferencya pragnąc w *duchu postanowień kongresu* zagodzić *wszelkie interesa* uchwaliła *jednomyślnie*, że granica pójdzie wzdłuż wału Trajana aż do rzeki Jałpuch, zostawiając Bołgrad i Tobak w posiadaniu Mołdawii, i że Rosya otrzyma na prawym brzegu téj rzeki miasto Komrat z terrytoryum wynoszącem około 330 werst kwadratowych".

3. Ponieważ „*należało oznaczyć los* wyspy Wężowéj o któréj traktat całkiem *zamilczał*" — przeto w téj kwestyi przedstawionéj jako proste opuszczenie — konferencya rozporządziła że „Wyspa Wężowa uważaną jest jako przyległość należąca do ujść Dunaju i *zgodzono się* iż los tychże dzielić będzie".

4. Ponieważ w powodach dla czego konferencya się zebrała szło także o to „iż ściśle zastósowanie art. 21 [3]) w przyłączeniu Delty Dunaju do Mołdawii, *usuwało* z pod bezpośredniego zwierzchnictwa Turcyi terrytoryum, które niegdyś zależało wprost od W. Porty" — przeto pomimo bardzo jasnego i wyraźnego brzmienia powyższego ar-

(na Dunaju) N. Cesarz Wszech Rosyi zezwala na sprostowanie granicy swéj w Bessarabii.

„Nowa granica pójdzie od morza Czarnego w odległości jednego kilometru na wschód od jeziora Górna Sola, zetknie się pionowo z gościńcem Akermańskim (Białogrodzkim) i ciągnąc się nim aż do wału Trajana, przejdzie na południe Bołgradu, zwróci się w górę rzeki Jałpuch aż do wyżyny Saraczyka, skończy się w Katamori nad Prutem. W górze tego punktu dawna granica pomiędzy obu państwami nie ulegnie żadnéj zmianie.

„Delegowani państw kontraktujących odznaczą według tych szczegółów linię nowéj granicy."

[3]) Art. 21 traktatu z 30go marca brzmi jak następuje:

„Terrytoryum ustąpione przez Rosyą wcielone zostanie do księstwa Multańskiego pod zwierzchnictwem W. Porty.

„Mieszkańcy tego terrytoryum używać będą praw i przywilejów zapewnionych Księstwom i w przeciągu lat trzech wolno im będzie przenieść gdzie indziej swoje zamieszkanie, rozrządzając według woli swoją własnością."

tykułu — „konferencya uznała, że *zamiarem kongresu* było przywrócenie na mocy artykułu 21 traktatu pokoju do dawniejszego stanu terrytoryów położonych na zachód od nowego odgraniczenia, a *chcąc się zastósować do przewidzeń* kontrahentów pokoju“ (to jest reprezentantów mocarstw na pierwszych konferencyach) „konferencya druga uchwaliła, że terrytorya te będą przyłączone do Mołdawii z *wyjątkiem* Delty Dunaju, która znów wprost należeć będzie do Turcyi“.

5. Ponieważ te trudności kwoli usunięcia których zebrały się konferencye, pociągnęły za sobą kwestye ewakuacyi Księstw naddunajskich i morza Czarnego, przeto „postanowiono, że najdaléj do 30 marca r. b. odgraniczenie *dokonanem* zostanie, i że w tym samym czasie *(pod tą samą datą)* [4]) wojska austryackie i eskadra angielska opuszczą *(auront évacué)* Księstwa naddunajskie i wody tureckie“.

6. Usunąwszy tym sposobem trudności i dopiąwszy zamierzonego celu, konferencya dodaje w konkluzyi, że „komisya Księstw któréj członkowie znajdują się już w Konstantynopolu, *będzie więc mogła* przenieść się *w téj epoce* do tych prowincyj i dopełnić powierzonéj sobie misyi“; następnie „jak tylko komisya ta prace swe ukończy, zda ona z nich sprawę konferencyi mającéj się

---

[4]) Art. 31 traktatu z 30go marca r. z. który oznaczał datę czyli termin ewakuacyjny brzmi jak następuje:

„Terrytorya zajęte w czasie wojny przez wojska NN. Cesarza Francuzów, Cesarza Austryackiego, Królowéj połączonych królestw W. Brytanii i Irlandyi, króla Sardyńskiego, zostaną według treści konwencyj podpisanych w Konstantynopolu 12 marca 1854 r. pomiędzy Francyą, W. Brytanią i W. Portą; 14 czerwca t. r. pomiędzy Austryą i W. Portą; i 15 marca 1855 pomiędzy Sardynią i W. Portą, opuszczone po wymianie ratyfikacyi niniejszego traktatu jak tylko najrychléj być może. Zwłoka i środki wykonania będą przedmiotem układu pomiędzy W. Portą i mocarstwami, których wojska zajmują jéj terrytoryum.“

zebrać w Paryżu według brzmienia art. 25 traktatu, dla zatwierdzenia konwencyą ostatecznego porozumienia się pomiędzy stronami zawierającemi umowę względem organizacyi księstw".

Tak się przedstawia w najprostszych a autentycznych wyrazach całe dzieło powtórnych konferencyj paryzkich. Jakim sposobem powstały owe trudności które je wywołały, z jakich powodów owe trudności wyrobiły się w ważne kwestye, jakie stanowisko w nich zabrało każde mocarstwo, jaką nareszcie rolę odegrały w nich przymierza, wszystko to było już dostatecznie na tém miejscu rozbierane i niema przyczyny zatrzymywać się nad tém dłużéj. Pozostaje tylko sam fakt konferencyj, cecha jaką noszą i ich wpływ czyli następstwa tak co do traktatu z 30go marca który je sprowadził, co do sprawy jaką się zajmowały, jako i co do systematu politycznego którego są niejako najwyższem wyrażeniem.

Niezaprzeczenie ważnym wypadkiem w ruchu politycznym europejskim jest samo zebranie się i odbycie powtórnych konferencyj w Paryżu. Jest w tem niejako uroczyste uznanie ze strony gabinetów, że w przyjętym systemacie innego środka nie masz na usunięcie najmniejszej nawet trudności, na rozwiązanie najmniéj ważnéj na pozór kwestyi, skoro ta tylko ma swe źródł w dziełach na zasadzie solidarności państw dokonanych. Dowód tego najoczywiściéj wskazany jest wyrażeniem, że konferencye „zebrały się aby położyć kres trudnościom jakie napotykało wykonanie traktatu z 30go marca". Co większa, w odbyciu powtórnych konferencyj widzieć należy uznanie potrzeby ciągłego kongresu, owego nieustającego trybunału dla spraw europejskich. Przewidywano ową potrzebę, zapisaną ona została i na tem miejscu zaraz przy pierwszych konferencyach, ale tylko jako loiczna konieczność a polityczny domysł. Wypadek drugich konferencyj domysł ten zamienił niejako w pe-

wność; w konkluzyi bowiem odwołują się drugie konferencye do trzecich, i do artykułu traktatu który już przypuszczał ciągłe trwanie kongresu naznaczając mu za „siedzibę“ Paryż. Śmiało więc teraz powiedzieć można, że dopóki się zasada polityczna solidarności państw utrzyma, dopóty jedynym środkiem załatwiania sporów bez użycia ostatecznego środka, to jest wojny, będą konferencye. Konferencye zwołane a raczéj powołane ile razy tego będzie potrzeba, są środkiem uznanym, przyjętym, i przyznać należy, że środek odpowiada wybornie zasadzie — w teoryi.

Skoro tak jest, powtórne konferencye odbyte w Paryżu musiały mieć te samą cechę co pierwsze. Jakoż w saméj rzeczy, cechą ich była ta sama idea państwa, która i pierwszym zebraniom ciągle towarzyszyła. Nie mówią one nigdzie o żadnem *prawie*, ale mają na celu według własnego wyrażenia *zagodzenie wszelkich interesów*. Ani Rosya ani Turcya nie mają prawa do Bołgradu, tylko pierwsza otrzyma Komrat, a druga Bołgrad, bo tak zapewne każe interes wszystkich państw. Nikt nie ma prawa do owéj nieszczęśliwéj wyspy Wężowéj, ale interesem jest wspólnym aby *oznaczyć los* téj wyspy. Delta Dunaju należeć będzie do Turcyi, nie na mocy praw dawniejszych, zniesionych wprawdzie prawem wynikłem z ostatniego traktatu, który ją Multanom oddawał, ale z powodu *chęci zastósowania się do przewidzeń* państw układających się o pokój. Wojska austryackie opuścić mają księstwa Naddunajskie, a flota angielska morze Czarne z dniem 30 marca r. b. nie dla tego, żeby Austrya i Anglia nie miały prawa do dalszego zajmowania tego lądu i morza, ale dla tego że po *dokonanem* odgraniczeniu Besarabii, państwa te nie będą miały żadnego interesu do odkładania ewakuacyi. Wszędzie więc idea państwa, a interes państwa najwyższem prawem.

Podobnie jak pierwsze konferencye, drugie miały także program z góry ułożony, i punkta spisane na które się gabinety naprzód zgodziły. Zapytaćby można: czemu podobna zgoda nie nastąpiła podczas tak długich negocyacyj, jakie się przez kilka miesięcy wprzódy w tych samych odbywały kwestyach? obeszłoby się było bez konferencyi, uniknęło opozycyi w gabinetach, wykrycia słabości w przymierzach, jątrzących rozpraw w świecie dziennikarskim, niepewności w świecie finansowym — słowem, rzecz byłaby poszła prostszą i krótszą drogą. Odpowiedź na ten zarzut uczyniony dzisiejszéj polityce znaleść tylko można w samym systemacie solidarności. Dla tego też właśnie, że na innej drodze w duchu tego systematu dojść do zgody nie można, uznanym i jedynym środkiem są konferencye. Gdyby gabinety były pojedynczo przystawały na to co spisano w protokóle konferencyi, owe przystania uchodzić mogły bądź za ustąpienia, bądź za tryumfy, bądź za wpływ tego lub owego państwa pośredniczącego, bądź za przewagę tego lub owego przymierza, bądź wreszcie za słabość tego lub owego mocarstwa. Nikt solidarnie zaręczyć nie chciał ani nawet nie mógł za to, coby mu ustąpić choćby nawet w duchu pojednawczym przyszło. Wszystkie więc te żądania, rady, przystania i ustąpienia pojedyncze spłynęły w jeden ułożony naprzód program, i pokryte zostały płaszczem solidarności wszystkich państw razem w protokule.

Dla tego też pomimo tylokrotnych zapewnień, że na drugich konferencyach kwestye rozstrzygane być miały większością głosów, obstawać śmiało można było przy raz wyrzeczonem zdaniu, że jest to niepodobieństwem. Konferencye byłyby się zamieniły w parlament polityczny, a raz przeprowadzona większości zasada rozbijała systemat solidarności. Państwa wyznające wspólność zasad i solidarność interesów, muszą być jednego zda-

nia. To też nota *Monitora* powtarza bardzo wyraźnie: że konferencya *uchwaliła jednomyślnie* itd. Jeżeli jak utrzymują niektóre dzienniki, w oznaczeniu terminu ewakuacyjnego większość głosów zmieniała się w dwóch posiedzeniach konferencyi, to jeszcze nie dowodzi wcale aby termin 30go marca był głosowany i orzeczony większością. Większość głosów może w łonie konferencyj przeważać w dyskusyi nad kwestyą, ale rozstrzygać musi jednomyślność.

Gdy celem zebrania się powtórnych konferencyj było usunięcie trudności, jakie w wykonaniu traktat z 30go marca napotykał, zasiadać na nich musieli reprezentanci tych samych mocarstw, które traktat zawarły. Tu jednak była niejaka różnica co do charakteru pierwszych a drugich konferencyj. W pierwszych każde mocarstwo miało dwóch pełnomocników, jednego zesłanego na ten cel umyślnie, drugiego zwyczajnego swego posła w Paryżu; w drugich zaś konferencyach każde mocarstwo miało tylko jednego reprezentanta i to swego posła przy dworze francuskim. Rzeczą jest bardzo naturalną, że skoro środek ma być często używany, wszelkiego dołożyć należy starania, aby go o ile można ułatwić, uprościć. Skład drugich konferencyj jest dowodem, że kongres uważany jest za nieustający — ale zyskując na prostocie nie straciż on na powadze a tym samem i na sile? Natura ludzka chętnie lekceważy sobie to, co się odbywa bez przygotowań. Wrażenie jakie sprawiły drugie konferencye w opinii publicznéj nasuwa mimowolnie tę uwagę.

Więcej jeszcze odrębną cechę drugich konferencyj stanowi sam cel zebrania i treść osiągnionego przezeń wypadku. Drugie konferencye chcą tylko *położyć kres pewnym trudnościom jakie się sprzeciwiają wykonaniu dzieła pokoju, pragną działać w duchu postanowień kongresu, winny oznaczyć to o czem traktat zamilczał, życzą*

sobie zastósować się nawet do przewidzeń swych poprzedników, odsyłają wreszcie dalszy bieg rzeczy do trzecich konferencyj — nie są przeto niczem więcéj, jak przedłużeniem pierwszych, a protokół jaki podpisały, jest tylko dopełnieniem, artykułem dodatkowym do zawartego przez pierwsze traktatu. Lubo wprawdzie protokół ów zmienia artykuły traktatu, czyni to tylko jakby z konieczności, jakby tłómaczył ducha tego aktu i myśli tych co go ułożyli. Drugim konferencyom brakuje cechy samodzielności jaką miały pierwsze: noszą one cechę zdarzenia lub przymusu, jak się podoba — ale nie mają znamienia czynu politycznego, którego prawdziwem wyrażeniem jest wola.

Okoliczność, że trwały bardzo krótko, czyni tę cechę uległości i przypadkowości jeszcze wybitniejszą; lubo dowodzić nie ma potrzeby, że liczba posiedzeń jest tu rzeczą obojętną i nie dodaje ani mocy ani słabości. Wypada więc tylko przypatrzyć się teraz jakie prawdopodobne płyną z nich następstwa.

A naprzód co do wpływu na wykonanie traktatu z 30 marca. Powtórne konferencye paryzkie zmieniły trzy artykuły w traktacie: art. 20 oznaczając nową granicę w Besarabii w kierunku różnym od zakreślonéj poprzednio; art. 21 oddając Deltę dunajską Turcyi, którą otrzymać miała Mołdawia; nakoniec art. 31 naznaczając nowy termin ewakuacyjny, który jak wiadomo kończył się z dniem 31 października r. z. Czy zmianą tych trzech artykułów konferencye zapewniły wykonanie traktatu? czy je przynajmniéj przyśpieszyły?...

Traktat z 30 marca r. z. tem się różni głównie od traktatów poprzednich, że jest zbudowany czysto na zasadzie idei państwa; że nie dotyczy wcale sporów międzynarodowych, wyraźnych, dotykalnych, ale sięga równowagi politycznéj i wiąże się z mnóstwem interesów pojedynczych państw, kryjących w sobie kwestye wpły-

wu i przewagi. Ztąd też wykonanie jego napotyka tyle trudności i wywołuje ciągle nowe kwestye. Materyalne środki i rozporządzenia jakie zawiera, są tylko po większéj części zasłoną innych celów, nieraz różnych a nawet niektórych moralnych. Traktat z 30 marca jest polem na którem walczą o pierwszeństwo na Wschodzie cztery wielkie mocarstwa, nietylko w teraźniejszych swych widokach i interesach ale i przyszłych. Rozbiór szczegółowy byłby łatwym, lecz oraz zbytecznym, bo prawdy téj już całoroczny bieg wypadków dowiódł dostatecznie...Możnaż więc przypuścić, aby nowa granica besarabska przyczyniła się stanowczo do wykonania traktatu? aby otrzymanie Komratu za Bołgrad miało zaspokoić Rosyę i usunąć ją z pola walki? Rosya nie jest takiem mocarstwem, aby jéj chodzić miało o 330 werstw kwadratowych kraju, które jéj konferencya jako wynagrodzenie za Bołgrad przyznała, ale jéj chodziło o kolonie bułgarskie i o okazanie, że nieustąpi ze stanowiska zajętego w traktacie. Przyznanie Delty dunajskiéj nie Multanom lecz Turcyi, może w części zabezpieczyć ujścia Dunaju, ale nie może zapewnić wykonania traktatu. Ów termin ewakuacyjny jest-że stanowczym? Uciszy on te kwestyę aż do 30go marca — ale potem czy ewakuacya nastąpi?...Według wyrażenia noty *Monitora* granica besarabska będzie odznaczona a wojska austryackie równocześnie ustąpić mają z Księstw a flota angielska z morza Czarnego — a więc ewakuacya ma się odbywać równocześnie z czynnością odgraniczenia. Wszakże Austrya zapowiedziała już dawno, że ustąpić z księstw nie może, dopóki odgraniczenie nie nastąpi, przeto 30go marca rozpocząć dopiero będzie mogła ewakuacyą. Anglia z pewnością cofnąć floty nie zechce, dopóki wojska austryackie księstw nieopuszczą. Jest tu już zawikłanie, które przewidzieć łatwo. Nadto, Anglia oświadczyła iż floty jéj nieopuszczą morza Czarnego,

dopóki traktat niezostanie wykonanym, a więc zapewne dopóki Księstwa niezostaną uorganizowane. Komissya organizacyjna nie może znów rozpocząć swych czynności dopóki wojska austryackie z Księstw nieustąpią. Czy Austrya zechce opuścić te prowincye dopóki Anglia nie opuści morza Czarnego, lub przynajmniéj nie rozpocznie ewakuacyi?.. Zawikłanie coraz się powiększa, trudności się nasuwają jedne po drugich. A cóż dopiero powiedzieć o saméj kwestyi Księstw naddunajskich, o wolności żeglugi, praw Chrześcian, o kwestyach które wszystkie do wykonania traktatu z 30 marca należą! ileż to może będzie jeszcze trzeba konferencyj!... Jeżeli więc drugie konferencye paryzkie przyczyniły się do wykonania traktatu z 30 marca, to tylko tem jedném, że przyśpieszyły wykonanie pierwszego warunku, to jest wyciągnięcia granicy besarabskiéj, a przynajmniéj że go ułatwiły usuwając główną trudność Bołgradu która go niepodobnym czyniła. Jeszcze bowiem granica nie jest przeprowadzoną, a do terminu przeszło dwa miesiące — w sprawach zaś tyczących się wykonania traktatu z 30 marca doświadczenie na żaden termin z pewnością liczyć nie dozwala.

Co do sprawy wschodniéj, wpływ drugich konferencyj paryzkich mniéj jeszcze jest znaczący. Rzeczywiście dotknęły się konferencye téj sprawy tylko przez oddanie Delty dunajskiéj pod bezpośredni zarząd Turcyi. Działały tutaj w duchu idei państwa, rozstrzygając na korzyść Turcyi która jest najnowszym téj idei utworem. Zyskałaż na tem Turcya tyle, aby z pewnością rachować można na zabezpieczenie ujść Dunaju pod jéj protekcyą? Nasuwa się raczéj myśl, że konferencye nie pokładały wielkiego zaufania w owéj rękojmi zapewnionéj w traktacie z 30 marca Księstwom naddunajskim, skoro zmieniły jego postanowienie, skoro ujścia Dunaju bezpieczniejszemi się im dla interesów że-

glugi wydawały pod administracyą muzułmańskiéj Porty niż chrześciańskich Multan. Zdaje się, iż przewidywały słabość uorganizowanych Księstw Naddunajskich, a ztąd częste ich przez obce wojska okupacye. Decyzya konferencyi co do Delty dunajskiéj uważaną być może jako zapora przeciw zachceniom niepodległości objawiającym się w tych prowincyach. Przyznanie Turcyi wyspy Wężowéj należy do Delty dunajskiéj i ściąga się również do zabezpieczenia żeglugi. Granica besarabska ważną jest bezwątpienia w sprawie wschodniéj; lubo także ma głównie na celu wolność żeglugi na Dunaju ale zamiana Bołgradu na Komrat rozporządzona przez drugie konferencye nie stawia kwestyi téj w innem świetle. Nakoniec termin ewakuacyjny gdyby był ostatecznym, stałby się oraz terminem wprowadzenia w wykonanie zasady neutralizacyi morza Czarnego, ale tutaj jak się wyżéj okazało, licznych jeszcze ewentualności wyglądać można.

Atoli, jakkolwiek wpływ powtórnych konferencyj paryzkich na wykonanie traktatu z 30 marca i w ogóle na sprawę wschodnią, wydawać się może mało ważny, i następstwa ich niewielkie, to przecież wątpliwości nie ulega, że nieposplite mają one znaczenie w systemacie politycznym Europy. Użycie ich w tak małym przedmiocie, po tylu próbach dyplomatycznych negocyacyj i przy takiéj opozycyi jaką pierwsza o nich myśl napotkała, wykazało z jednéj strony słabość przymierz w obec systematu solidarności, a z drugiéj strony chwiejność i niedostateczność prawie tego jedynego i koniecznego środka do utrzymania równowagi politycznéj. Ani przymierze z 15 kwietnia kwoli tłómaczenia traktatu z 30 marca i jego wykonania zawiązane, ani domniemane przymierze Austryi z Anglią nie zdołało osiągnąć tego czego dopięła konferencya. Z teoretycznego zapatrując się stanowiska, rzeczą jest niezawodną, że

przymierza w systemacie solidarności są anomalią a konferencye są właściwym środkiem przez jaki solidarność objawiać się może. Lecz w praktyce, gdzie chodzi o równowagę, jakżeż ją zapewnić mogą konferencye? W istocie gdzie jest zgoda, tam utrzymywanie równowagi niepotrzebne, bo istnieje ona sama przez się. Ale zgoda ta jest tylko chwilową, i rozprzęga się natychmiast po ukończeniu konferencyj. Następuje znów dla Europy ów stan niepewności, obawy, zapasów dyplomatycznych, jaki zawsze czuć się daje gdy pokój ma być nadwerężony dla braku równowagi. Szukają się państwa, tworzą zbliżenia chwilowe, odpowiednie chwilowym interesom — nigdzie niema społeczeństwo punktu oparcia. Konferencye przywracają spokojność, ale jedynie chwilowo, są tylko, jeżeli tak wyrazić się wolno, równoważeniem równowagi...

Takie wrażenie sprawiły podobno i drugie konferencye paryzkie. Nie zmieniły w niczem stanu rzeczy, nieutrwaliły pokoju — przedłużyły tylko do wiosny oczekiwania dalszych z powodu traktatu z 30 marca zawikłań; a nadto, wprowadziły bardzo niebezpieczną praktykę zmieniania warunków raz zawartego uroczyście traktatu, nie z powodu wypadków i okoliczności, ale z powodu opozycyi stawianéj przez strony, które traktat zawarły, z powodu przeszkód praktycznych wykonania i zmiany stanowiska mocarstw co do warunków tego samego traktatu. Nietrudniły się wprawdzie innemi sprawami: niedotknęły ani kwestyi włoskiéj, ani bliżéj jeszcze politykę europejską obchodzącéj kwestyi neufchatelskiéj. Miałożby to być dowodem, że na przyszłość konferencye nie będą się zajmować tylko temi sprawami, których reprezentanci zasiadać będą w zebraniu? że nie będzie już więcéj przykładu w polityce owych sądów *de me sine me?* Tego zdawałby się wymagać systemat solidarności; a powtórne konferencye paryzkie odstępując

w tej mierze od swych poprzedniczek, konferencyj londyńskich i paryzkich, naznaczyłyby bądź co bądź ważny krok w systemacie politycznym na drodze prawdziwego postępu bo opartego pod tym względem na słuszności i prawie narodów.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w styczniu.

Z zamknięciem zeszłomiesięcznéj Kroniki przebiegłem cały pas zodyakalny. Dziś stanąwszy na punkcie z którego rok temu wyszedłem, i obejrzawszy się po za siebie, nieznajduję nic, na czém by myśl wspomnieniem spocząć mogła, nic, za czemby dusza zatęskniła. Zmiany pór roku i nazw miesięcy, zima i lato, mróz i upał, kilka bajeczek i plotek, zaręczyny, śluby, urodziny i pogrzeby, kilka rozczarowań, kilka minionych złudzeń, wreszcie wystawa obrazów—i oto całe zeszłoroczne dzieje Krakowa. Gdyby mię jeszcze stać było na świeżość umysłu i młodość serca, gdyby wyobraźnia nie utykała co krok o kłopoty i zabiegi światowe, tobym może jeszcze jako tako owe drobne sprawy, które winienem był spisywać, zdołał oblec w różową obsłonę uciech życia, lub wysnował z nich pajęczą nić marzeń, by z niéj utkać tło pod fantastyczny obraz tego miasta.

Patrząc zdala na góry oświetlone promieniem słońca, bielejące śniegiem lub płonące rumieńcem zachodu, albo też powleczone błękitną smugą obłoczną, ani się chce wierzyć, że z bliska, w rzeczywistości, to co tak dziwnie majaczeje lub gra połyskiem srebra, złota i różnobarw-

nych ogni, jest brudną warstwą ziemi lub kamienia, albo gęstwiną szarozielonych drzew iglastych. I Kraków też zdala tylko łudzi i nęci świetnością wspomnień, poetycznością legend i opowieści, świętością pamiątek i dziejowych wypadków. Zdawaćby się nawet powinno, że mieszkańcy jego stąpając po téj ziemi nasiąkłéj krwią swoją i obcą, któréj każda piędź nosi jeszcze na sobie ślad stopy tego lub owego wielkiego człowieka, że obcierając się nieprzerwanie o pomniki i zabytki, owiewani są wciąż takiemi samemi myślami, jakie się niegdyś gnieździły w spiżowych i marmurowych głowach posągów. Przyjrzawszy się wszelako z bliska, umysłem trzeźwym, okiem niezamglonem gorączkową wyobraźnią, nie ujrzy tu nic prócz kamienic miejskich, sklepów i kramów, nic prócz ludzi krzątających się za doczesnym bytem, liczących starannie dochody dziennéj pracy i wydatki dziennego życia, nie myślących o tem co było przedtem, a nie troszczących się o to co będzie potem. Nowa osada co od wczoraj stanęła na wykarczowanym porębie amerykańskiego boru, więcéj waży dwudziestoczterogodzinną przeszłość swoją, więcéj żywi zamiarów na przyszłość, niż Kraków.

Ta niesłychana obojętność jest symptomatem godnym zastanowienia badacza, tak pod względem politycznym jak i moralnym, jako zjawisko psychologiczne i jako historyczny moment. Obojętność ta rozciąga się zarówno do wszystkich stosunków i okoliczności, jest podstawą społeczeństwa krakowskiego, i wszystkie jego warstwy zarówno swoim wpływem usypiającym przenika.

Dla tego też brakuje w Krakowie tego co się zwie życiem miastowem. Mieszkańcy i familie ich stanowią tylko cyfry w statystycznych i podatkowych tabellach, ale nie są członkami pewnéj społeczności; niemasz między niemi żadnego węzła, żadnéj spójni, żadnéj solidarności nietylko moralnéj, ale nawet solidarności celów i interesów, które mają niby według dzisiejszych pojęć, stworzyć nowe podstawy organizacyi społecznéj. To co zwie się zbiorowo gminą, w rozczłonkowaniu zaś korporacyami, stowarzyszeniami, bytuje tu tylko przez nazwę zwyczajową lub urzędową, ale nie istnieje w rzeczywistości, niema w sobie zarodu żywotnéj siły. Ztąd brak ogniska gdzieby się skupiały pojedyncze dążności,

cele i usiłowania, zkądby płynęła zachęta i moralna i materyalna pomoc. Zaludniona to puszcza i nic więcéj. Każdy żyje sobie i dla siebie tylko. Chcąc też odmalować towarzystwo w Krakowie, jego zajęcia, jego sprawy, nigdzie niepochwyci ogółu, lecz tylko indywidua. A jakkolwiek te indywidua są tak do siebie podobne, jak Kraszewskiego „Bracia Marmurki“, to wszelako to ich podobieństwo nie jest skutkiem ich familijnego typu, jako raczéj tożsamości charakteru i wychowania. Indywidua niemają w sobie indywidualności, lecz są tylko powtórzeniem tysiącowem samych siebie, naśladowaniem mniéj więcéj trafnem jednego wzoru, któremu miano: „obywatel krakowski“. Ta właśnie jednostajność jest powodem głównym odosobnienia. Kiedy jeden z drugim się zetknie, to mu się zdaje jakoby stanął przed zwierciadłem, w którem widzi jedynie podrzeźnianie siebie samego. Zwierciadło nie wyrazi mu nic czegoby w nim samym niebyło. Gdyby się miał ztamtąd jakiś giest samodzielny wydobyć, możeby roztrzaskano zwierciadło jako zaklęte.

Bywały też takie przypadki lubo nader rzadkie. To co się chciało okazać samodzielnem, okrzyczano, że czartowskie. „*Du gleichst dem Geist den du begreifst*“ powiedział Goethe.

Przed niewielu jeszcze laty obywatel krakowski z niemniejszą się o swéj godności wyrażał dumą, jak gdyby mówił: „*Civis romanus sum*“. Pod imieniem zaś obywatela rozumiano właściciela domu, handlu lub warsztatu, człowieka który majątkiem swym lub stanem dawał rękojmię swojéj niejako nieruchomości. Że zaś najbardziej nieruchomą była posiadłość nieruchoma, przeto właściciel domu był najczystszym reprezentantem obywatela krakowskiego. Godność ta znacznie podkopaną została od zaprowadzenia nowéj ustawy stęplowéj i podatku domowego, a to pomimo wygórowanych czynszów z mieszkań i podniesienia się wartości domów; nazwa nawet obywatela wychodzić zaczyna ze zwyczaju, przez wzgląd na potrzebę ściślejszego określenia jéj charakteru i atrybucyj. Takiż sam los czeka kupców i rękodzielników, jeżeli przyjdzie do skutku nowa ustawa o wolności zarobkowania. Społeczność dąży widocznie do

zindywidualizowania, czyli mówiąc słowami Trentowskiego: do spojedynkowania.

Ależ to wszystko co dotąd powiedziane, nie odnosi się wyłącznie do miesiąca, którego mam spisać dzieje w obrębie rogatek krakowskich. Od wynalezienia mikroskopu elektrycznego nie wielka to sztuka przedstawić cały świat wymoczków w kropelce zgniłéj wody; żeby jednak taką kroplę jaką jest jeden miesiąc w porównaniu z przeszłą i przyszłą historyą Krakowa, rozszerzyć w kilkućwiartkową Kronikę, na to potrzeba, aby latarnie krakowskie zamieniły się w elektryczne słońca, aby cały Kraków zmieścił się pod soczewkę szkła, wreszcie aby ta kropla z kałuży była zaczerpnięta. Tymczasem niewolno tu użyć innéj jak tylko najczystszéj wody, przedestylowanej przez alembik miłości własnéj czytelników i przecedzonéj przez prawo drukowe. Taką kroplę choćby podstawić pod mikroskop, nie ujrzy w niéj nic prócz najwodnistszéj wody.

Tak jest. Nic w ciągu tego miesiąca nie zamąciło czystego życia naszego; żadna namiętność by najniewinniejsza nie wysuszyła téj kropli, żadne wzruszenie by najmilsze nie roztoczyło jéj, żadna ploteczka by najskromniejsza nie przypruszyła jéj pyłem obmowy, żaden smutek nie wzdął jéj łzą swoją, żadna radość nie rozdmuchała jéj tchnieniem swojem. Kropla ta jak była czystą, tak też czystą pozostała — bo zimno ścięło ją w brylantowe ziarno lodu.

I niedziw, bo to Styczeń. Trzeba ją tak zostawić do wiosny, niechaj ją słońce rozpuści.

Lwów w styczniu.

Radbym wam przy nowym roku okazać odmłodniałe oblicze naszéj stolicy — z wypogodzonem czołem, z uśmiechem na twarzy, i — mówiąc tegoczesnym językiem, z pełną sakiewką w kieszeni. Ale mi się jakoś obrazek nie składa, a do farbowania lisów niemam recepty. Lwów, jak wiele siostrzyc swego rodu, ma oddawna swoją stereotypową fizyonomię, swoje stereotypowe nawykłości, takież pory roku i takież zabawy —

słowem, amatorstwo stereotypu jakoś przylgnęło do naszego miasta. Wszakże w tym roku należymy do wyjątków. Nowy rok, zapewne wychowanek jakiejś nowéj szkoły cywilizacyjno-ekonomicznéj, nie zapowiedział nam dotąd żadnych balów i zabaw w eleganckim świecie. Jedni na wsi dotąd, drugim rozmaite pozory czyli też rzeczywiste konieczności, każą niepamiętać o prawach karnawału, jak świat starych; młodzież niema chęci do tańca — ba nawet owe niegdyś głośne u nas uprzejmości i zabiegi kawalerów w kole pięknych pań, spuścizna po rycerskim obyczaju ojców, przekwitły dziś i zamieniły się w jakieś odosobnienie dziwnie anachoretyczne, którego nie umiem dostatecznie opisać. Otóż w tém nie jesteśmy wcale stereotypowi. Nie wiem, czy tak każe ustawa z Jockey - klubu paryskiego — to jednak pewna, że do sławionego obyczaju rodzimego wcale nie przypada. Widzicie więc, że karnawałowe aspekta nasze nieświetne. Prócz jednego balu techników, cały program zapustny coś wygląda na ową bajkę, którą nigdyś słyszałem na mazurach:

Pochwalony! — z miasta psecie —
Dużo nowin w téj kobieli?...
— Ej co się Wam o tém plecie;
Ludzie mówić zapomnieli.
— A jakże tam w gody żyją?
— Ot! jakieś psedziwne casy!
Kiej pohulać, to się kryją;
Kiej nietseba, to hałasy....

Jakkolwiek mgliste i posępne lice takiego karnawału, są przecież lepsze chęci, co jak promyki słoneczne przedzierają się przez tę zaporę niepogodną i skupiają zkąd można, żywioły zabaw towarzyskich. Wieczory muzykalno-deklamacyjne są obecnie jedyną u nas zabawą światlejszéj publiczności. Gorliwym staraniom bar. Kalchberga wice-prezydenta rządu krajowego i hr. Russockiego zawdzięczamy urządzenie téj rozrywki. Wieczory te tracą nieco na wdzięku, dla tego że same tylko zajmują dziś publiczność, że nie należą do bukietu złożonego z rozmaitych wieczorów, łatwo więc w powrocie częstym spowszedniećby mogły. Miłośnictwo

muzyki wzmaga się coraz bardziéj u nas; nie brakuje w tym względzie i na pojedynczych zachętach i usiłowaniach ku podniesieniu ducha artystycznego. Takiemi są wieczory muzykalne u hr. Józefa Starzeńskiego, które zgromadzają męzkich artystów i miłosników muzyki zawsze raz w tygodniu. Tu utwory znakomitych mistrzów, wykonywane przez tutejsze znamienitości muzykalne, rozniecają coraz więcéj zapał do sztuki i podają młodym talentom z jednéj strony sposobność okazania swych zdolności w kółku znawców, z drugiej strony wzbudzają współubieganie się w zawodzie sztuki rozpoczętym. Hrabiowie Leopold i Józef Starzeńscy (ojciec i syn), trafili tu bystrem okiem i popędem serca znanego u nas z szlachetności, w jedną z istotnych potrzeb sztuki. Taką jest niezawodnie sposobność podana miłośnikom w gronie poufném znawców i niby mentorów — nie przed wielką publicznością — okazać swoje w sztuce postępy, swój kierunek, swoją indywidualność gry, oraz usłyszeć różne różnych usiłowania i właściwości w sztuce. Jestto istotnie rzecz niemałego wpływu i na miłośników sztuki i na młodych artystów; tu nie szkołą i nie popisem publicznym, lecz drogą rozrywki, pogadanki o sztuce, rozbudza się chęć dobrowolnego popisu i współubieganie; przy czém lepszy sąd o rzeczy i lepszy smak nieraz tam się zaszczepi, gdzie się był niedobrze przyjął.

O teatrze, jako o świątyni muz i ulubionéj niegdyś zabawie naszéj publiczności, niema co mówić. Dotąd rzeczy idą dawnym trybem dyrekcyi p. Chełchowskiego, któremu dziwném się zapewne zdaje, że publiczność w czém inném smakuje, a on w czém innem. Publiczności znowu dziwném zapewne zdaje się, jak mogła instytucya tak uposażona i tak nabytéj sławy, mimo najlepszych chęci Rządu, w ręku p. Chełchowskiego tak zniedołężnieć, że jak daleko sięga pamięć nasza, każdy niegdyś teatr amatorski u nas, więcéj wzniecał interesu dla sztuki, więcéj niósł zabawy, niż dzisiejsza scena lwowska. Dyrekcya zrozumiała wreszcie, że trzeba zachować przynajmniej pozory staranności i znajomości rzeczy: niewyczerpana w pół-środkach, raz po raz wyprowadza na scenę nowych aktorów, a najczęściej takich, którzy po raz pierwszy we Lwowie wstąpili na

deski. Przyczem p. Chełchowski zawsze zapewnia, że wykształci z nich artystów — i otóż patrzymy na nadzieję, i niemożemy dopatrzéć się mimo uzbrojonych oczu w najlepsze szkła i w najlepsze chęci. To spowodowało c. k. Rząd namiestniczy do złożenia komitetu celem bezstronnego rozpoznania składu, zdolności i usiłowań aktorów pod dyrekcyą p. Chełchowskiego zostających. Dyrekcya znalazła znowu lek na ten chwilowy kłopot, zamawiając panią Aszpergerową na 12 występów gościnnych, i przeznaczając na popis przed komitetem siedm sztuk, w których ta artystka ma najcelniejsze role. Dyrekcya jak się zdaje liczy na ogólne lepsze wrażenie teatru, podnosząc przedstawienia gościnnemi rolami pani Aszpergerowéj. Nie wyprzedzam wypadku tych przedstawień; zdaje się jednak, że jedna przelotna jaskółka nie sprowadzi wiosny. Wszakże słuszną jest nadzieja, sądząc po tém wdaniu się władzy w sprawę teatralną, że już na scenie naszéj bliski koniec zimy.

Cóż nowego w literackim świecie? zapytacie. — Wasza Gazetka w *Dodatku* grudniowym tak dokładnie wyczerpała wszelką w tym względzie wiadomość, że niemam co dodać, prócz doniesienia, że *Monumenta historica Poloniae* będą się drukować z początkiem wiosny; tom pierwszy wyjdzie nakładem Wiktora hr. Baworowskiego. Znaczna zaliczka na druk już złożona, a cała summa nakładowa może być użytą w każdym czasie. Was, co wiecie dokładnie, jakie przeszkody spotkać mogą wydawnictwo źródeł historycznych, zapewne nie zdziwi, dla czego w chwili złożonéj już summy nakładowéj, nie przystępujemy do druku. Mniemam, że godzi się zanotować dla pamięci przeszkody zewnętrzne i wewnętrzne, które wstrzymały rychlejsze tych pomników wydanie — choćby tylko dla ciekawości, jakimto u nas idą oporem większe przedsiębiorstwa literackie, podjęte i stérowane usiłowaniem osób prywatnych, nie zaś ramieniem rządu lub zakładu publicznego. Oto najprzód, wkrótce po ogłoszeniu wydawnictwa zaszła śmierć ś. p. Henryka księcia Lubomirskiego, Kuratora Zakładu Imienia Ossolińskich. Zmiana kuratoryi przynosząc zajęcia konieczne i nadzwyczajne w Zakładzie, zabrała uczonym wydawcom i współpracownikom wszystek czas,

który po za obowiązki w Zakładzie mogli byli poświęcić rozpoczęciu wydawnictwa; odłożyliśmy więc takowe na czas nieco swobodniejszy. Niebawem nastąpiła zmiana kuratoryi druga: po księciu Jerzym Lubomirskim objął zastępstwo Kuratora hr. Maurycy Dzieduszycki. Nastąpiły znowu reformy w składzie urzędników, w biegu spraw zakładowych; zaprowadzenie i ustalenie nowego porządku znowu oderwało część jedną wydawców będących urzędnikami Zakładu, od prywatnéj pracy koło wydawnictwa, które z tego powodu znowu musiało być odłożone aż do pewnego ułatwienia spraw obowiązkowych w Zakładzie. Tak minęło lat dwa; dopiero w r. 1852 ogłoszono dokładniejszy program i miano przystąpić do druku, gdy oto chwilowe niepowodzenia postawiły pierwszego nakładcę w niemożności zaliczenia obiecanéj summy na druk tomu pierwszego, i musiano go po raz trzeci odłożyć. Odtąd *Monumenta* czekały aż do roku 1856 na Mecenasa nowego, jedyną pokładając nadzieję w szlachetnych chęciach ziomków. I nie zawiodły się w tém: znalazł się nakładca drugi. W roku 1856 hr. Wiktor Baworowski zawiadomił listem Dyrektora Zakładu Imienia Ossolińskich, p. Augusta Bielowskiego, że bierze na swój koszt wydanie tomu pierwszego Pomników, i złożył zaraz wyżéj wspomnioną zaliczkę. Ale tu stanęły w drodze przeszkody wewnętrzne, które czas przyniósł w owéj zwłoce sześcioletniej. Gdyby wydanie tych pomników było rozpoczęte zaraz po ogłoszeniu programu, druk zastałby był gotową ich całość ówczesną. Dziś owa całość źródeł okazała się, po upływie sześciu lat, niezupełną, z powodu nowych pomników w tymże czasie znalezionych, a takiemi są: 1) Kronika Wincentego, kodeks jeden z najdawniejszych (odkrycie hr. Przezdzieckiego w bibliotece wiedeńskiéj), 2) list św. Brunona do Henryka Cesarza o Bolesławie Chrobrym (odkryty przez Hilferdinga), 3) jeden z najstarszych żywotów św. Wojciecha znaleziony w bibliotece mnichowskiéj przez Augusta Bielowskiego, i tym podobne inne odkrycia. Te wymagały przejrzenia, porównania; przyjęliśmy bowiem za zasadę, aby źródła dziejowe drukowane były w następstwie chronologicznèm. Wszakże nie wszystkich pomników wiek jest oznaczony, a w źródłach dziejowych Polski napotykamy

jeszcze tę osobliwość, że niemasz jednego autora, któryby się przechował w współczesnym odpisie. Jeżeli więc autor żył w jedynastym wieku, a odpis zachował się z piętnastego (co prawie o wszystkich pomnikach naszych twierdzić można), wtedy to następuje nowa praca zbadania tekstu, odbudowania jego prawdziwości, zażądania w różnych miejscach odpisów i podobizn — słowem, praca tylko wydawcom źródeł znana z swéj drobiazgowości koniecznéj i zabierającéj wiele czasu. Z tego to powodu odnoszono się do bibliotek: moskiewskiéj, petersburskiéj, paryskiéj. Dziś już te prace prawie na ukończeniu, a druk na wiosnę rozpocznie się z pewnością.

W drukarni Zakładu Ossolińskich wyszła książeczka: „Pielgrzymka Czajld Harolda“ poema lorda Bajrona, spolszczone przez Wiktora z Baworowa, pieśń piérwsza i druga z przypisami.

Wiedeń w styczniu.

„*Les jours se suivent et ne se ressemblent pas.*“ W Paryżu to rzecz niezawodna; ale w Wiedniu możnaby twierdzić przeciwnie. Każdy dzień schodzi tu podług programatu wziętego po wczorajszym który jest następnie programatem jutrzejszego. Różnica tylko zachodzi podług rozmaitych klas społeczeństwa. Bogaci wstają późniéj, ubodzy wcześniéj. Pierwsi spędzają ranek przy dziennikach lub toalecie, drudzy po biórach, sklepach lub warsztatach. Ci obiadują po południu o 1éj lub o 2giéj, tamci spijają słodkie lub gorzkie o téj porze likiery, stósownie do tego jak stały papiery na giełdzie. Na Praterze dla tych, jak przy robocie dla tamtych, schodzi równie nieraz smutnych godzin parę aż nim zysk lub strata spekulacyjna nie utoną na chwilę w dobrem winie dla jednych przy obiedzie, a w skromnéj kawie dla drugich. Potem znowu kapryśna i powabna bogini zwołuje razem wszystkich do nowych na swem śliskiém polu wyścigów, zostawiając każdemu jak kto chce i może, zupełną wolność spędzić resztę wieczoru w teatrze, w kawiarni, w knajpie lub przy piecu domowym. Gieł-

da jak widzicie jest jedyną i wspólną życia tutejszego w rozmaitych sferach, bussolą. Do niéj się skupia i o nią się rozbija wszystko: wzniosłe plany, rozległe zamiary i słodkie marzenia. Choroba ta tak niebezpieczna i tak na pozór niewinna, że się już prawie w drugą zamieniła naturę, rozszerza się coraz więcéj i ogarnia coraz głębiéj wszystkie warstwy społeczeństwa. Straty mniéj lub więcéj znaczne, poniesione od kilku miesięcy, zwłaszcza przez niedoświadczonych dobrodusznych prostaczków, nieuleczyły z niéj dotąd nikogo. Każdy trzyma w kieszeni jeszcze jakiś papier, jakąś promessę, jakąś akcyę, i dopytuje się regularnie dwa razy na dzień przynajmniéj u odźwiernego pałacu téj dwulicowéj władczyni, co się jéj zawyrokować podobało. Niepowtarzam tu odgłosu krzyków, przekleństw i narzekań, które się o jéj obojętne obijają uszy. Gardzi ona, jak wszystkie wielkie panie, gwarem motłochu, ma swoich ulubieńców, służalców i zauszników, których płaci hojnie, i przestaje na tem... zostawiając śmielszym z gawiedzi słodką nadzieję, że z czasem i oni w to złote fortuny koło wpisać się będą mogli.

Że ten stan gorączkowego i coraz czarniejszą barwę przybierającego durzenia się, znacznie wpływa na skład i rozkład zwyczajnych życia domowego lub publicznego zatrudnień, to rzecz niewątpliwa W nim to, mojem zdaniem, główna leży przyczyna tego posępnego usposobienia, w jakiem schodzi, dawniéj prawie zawsze wesoły i do zabaw tak skory karnawał. Wszyscy biedują, wszyscy się skarżą i kurczą, nikt o balach, obiadach i z jakimkolwiek bądź wydatkiem połączonych rozrywkach nie myśli. W najskromniejszych nawet familijnych zebraniach dostrzedz można, a usłyszeć jeszcze częściéj, dowody zawiedzionych na grze nadziei. *La hausse et la baisse*, pełna życia i prawdy komedyjka francuzka, odegrana temi dniami doskonale przez aktorów z Paryża, zdaje się jakby napisana w Wiedniu i dla Wiedeńczyków!

Wyższe społeczeństwo, które swe ułomności i bóle, zawsze szlachetniejszym, choć fałszywszym, pokryć umie pozorem, usprawiedliwia i teraz swą obojętność dla światowego blasku i ruchu, nieobecnością dworu, śmiercią kilku znajomych osób, lub jeszcze innemi tego ro-

dzaju wymówkami. Bądź co bądź, to pewna, że w téj klassie, karnawał teraźniejszy nieznałazł dotąd żadnego zasiłku. Bal u księżnéj Schwarzenberg, lubo zajmujący, nie był ani tak licznym, ani tak ożywionym i wystawnym, jak przeszłoroczny. A wszakże hasłem do niego był wypadek familijny, który się drugi raz niepowtórzy. Były to zaręczyny młodego księcia rotmistrza od ułanów, z piątą córką panującego księcia Liechtenstein. Związek, jak widzicie, dwóch najpierwszych i najbogatszych rodzin w Austryi. Bal nieodpowiedział tak wielkiéj uroczystości. Tańczono mało. Liczba zaproszonych jak zwykle wielka, ograniczyła się do dwustu osób obecnych. Stroje dam odznaczały się więcéj świeżością niż bogactwem. O nowszym wynalazku już przyjętym w Paryżu', pod nazwą *de tulles d'illusion* mówiono z przestrachem, który zapowiada napuszonéj krynolinie jeszcze długie panowanie w Wiedniu.

Oto pierwszy i ostatni dotąd bal wielkiego świata. Dyplomacya, która się tu od lat kilku już o pierwszeństwo w tym względzie i ubiegać przestała, korzysta z tego usposobienia i ogranicza się także do małych wieczorów. U posła angielskiego tańczono przed piętnastu dniami przy skromnéj muzyce, i postanowiono następne zebrania w tych spokojnych zamknąć rozmiarach. Ambasador francuzki z powodu zbliżającéj się słabości swéj żony, zdaje się że salonów swych nawet nieotworzy. Poseł belgijski, który dawniéj dawał wspaniałe bale, już w roku przeszłym od tego zwyczaju odstąpił. Poseł rosyjski jest w żałobie po śmierci, jeżli się nie mylę ojca swej żony. Inni reprezentanci rozmaitych dworów poprzestaią na obiadach lub zamykają się zupełnie w domowych kołach.

Nawet balów publicznych i składkowych jest w tym roku mniéj niż było w roku przeszłym. W sali redutowéj dawniéj tak wesołe i świetne bale piknikowe', sądząc z ostatniego, będą teraz prawie domową rozrywką. We wtorek ma się odbyć drugi, o którym dotąd prawie jeszcze niesłychać. Strauss sili się jak może, żeby zwabić tańczące tłumy do *Sophien-Sall* lecz na próżno. Bal ochrzczony powabnem nazwiskiem *Rosenmädchen*, wyglądał jak procesya pogrzebowa. I bal uczniów medy-

cyny nieutrzymał się na stanowisku, które zajmował w poprzednich latach.

Z teatrami rzecz się ma nieco lepiéj. Naprzód: ponieważ wejście ich niedrogie, powtóre: ponieważ strój domowy wystarcza nawet dla dam światowych na taki wieczór. Czy więc znana czy nieznana, czy stara czy nowa, czy dobra czy zła sztuka, to wszystko jedno. Teatr każdy bywa przepełniony. Opera która najmniéj ma pociągających zasobów, korzysta spokojnie z tego zbiegu okoliczności i śpi szczęśliwie na hojnych plonach. O ulepszeniu i powiększeniu jéj sił artystycznych ani słychać. Odpowiedź na skromne ztąd lub owąd dolatujące do niéj zarzuty, jest zawsze jedna i ta sama: że lepszych śpiewaków i śpiewaczek niema w całych Niemczech. Przystając na to, możnaby wszakże żądać od zakładu tak bogato uposażonego i tak wysokie zajmującego miejsce, żeby tych których ma kształcił i rozwijał, a nie zużywał, lub na błędnéj niezostawiał drodze. Śpiew potrzebuje szkoły. Artysta z głosem bez metody, może być tylko dobrem narzędziem, że jest złym śpiewakiem, to nie jego wina. Czy patent z konserwatorium z Pragi lub ze Lwowa wystarcza na zajęcie pierwszego stanowiska na scenie muzykalnéj w stolicy — nie wiem; lecz wolałbym, żeby tacy patentowani śpiewacy i śpiewaczki przepędziły wprzódy lat parę choćby na koszcie rządowym we Włoszech. Publiczność przyzwyczaiłaby się wówczas do słuchania śpiewu z tym zapałem z jakim poklaskuje dzisiaj dobrym chęciom, lub bujającym po śliskich bezdrożach harmonii, usiłowaniom. Lecz jeżeli opera trochę ślepa, trochę głucha i trochę kulawa, balet, wyznać trzeba, ma piękne oczy, dobry słuch i prześliczne nóżki. Ale też ani panna Legrain, ani panna Ricci nie wyszły z Pragi lub ze Lwowa, lecz z Pary i Medyolanu, gdzie są najpierwsze szkoły téj sztuki. Przytem są baletnicy z talentem i z doświadczeniem, którzy tą częścią tutejszéj akademii muzykalnéj kierują. Kilka tancerek a między innemi zmarła niedawuo Jella, wyszły wprost z Wiednia i błyszczały niepospolitą wziętością na innych scenach europejskich. W balecie tutejszym, lubo zamkniętym w szczupłym zakresie, jest pewien rodzaj artystycznéj całości. Ruchom grupowym brakuje może czasami na zupełnéj dokładności i sfor-

ności, ale w pojedyńczych nawet téj sfery częściach widać dobry smak i dobre zasady. Jest przytem więcéj baczności na ubiory, na ich świeżość i odpowiednie celowi przeznaczenie Ostatni balet „*L'ise d'amour*“ odznacza się nadto pięknością swych składowych tańców i zajmującym rozwojem całéj akcyi.

Teatr w Burgu nic nowego w tym roku niepokazał. Ubytek sił dramatycznych jest i tu widoczny. Starzy wyborni niegdyś, może nawet niezrównani, dziś już zeszli z pola, lubo jeszcze stoją na placu. Młodzi nie wznieśli się dotąd nad mierność. Strata p. Dawisona nie została powetowaną. Jest wszakże w ogólnym składzie sił tego teatru pewna harmonia, która wynagradza do niejakiego punktu, brak wyższego uderzającego choćby jednego talentu. Panna Neumann zostawiła miejsce, które zająć godnie będzie trudno. I tu brakuje szkoły. Zakład taki jak teatr w Burgu, dawniéj pierwsza scena w Niemczech, powinienby mieć nie tylko tradycye ale odradzające się w sobie samym żywioły. W braku tego, możeby dyrekcya winna była zająć się skrzętniéj wyszukaniem już usposobionych artystów i artystek w innych krajach niemieckich. Pan Laube jest pracowity, pilny, zdolny jako pisarz i jako kierownik literacki sceny: lecz czy ma dostateczną władzę? czy może jéj użyć jakby było potrzebt? czy nieulega jakim wpływom zasianym jego własną ręką? Bądź co bądź, zdaje się, że brak sił zwłaszcza kobiecych, musi go do koniecznych reform poprowadzić. Co do sztuk, tych wybór lubo w znanem kole zamknięty, jest w niedostatku nowych, przynajmniéj wymagalnościom tutejszéj publiczności odpowiedni.

Teatr francuzki, złożony z kilku artystów pod sterem jednego z najznakomitszych w Paryżu, p. Brindeau, przyszedł tu poniekąd w porę, żeby pokazać, czem są tam nawet mniejsze sceny dramatyczne. Wodewil i drobna komedya lub przysłowie, napisane z talentem i odegrane z tą sztuką, która każdy charakter, każdy rys, każdy odcień przedstawia oczom widza tak jakby je chciał widzieć w podniesionéj do idealności naturze lub jak ją widzieć może w saméj naturze, stają się prawie dziełami i przedstawieniami wyższego rzędu. P. Brindeau pod względem téj wydoskonalonéj naturalności ró-

wnie jak pod względem uczucia artystycznego, jest znakomitym. Panna Grave w niektórych rolach przypomniała znawcom dobre wzory paryzkie. W *Demi-Monde* gra główną rolę z odpowiednią i zajmującą delikatnością dowcipu i tonu. W *La hausse et la baisse*, w roli zupełnie przeciwnéj, pokazała wszystkie prostoty, dobroci i skromnego wychowania przymioty. Nie jest ładną równie jak i inne, lecz we wszystkich tak jak w całéj téj małéj scenie jest pewien rodzaj dobrego tonu, na którym braknie nawet czasami Burgowi, a prawie zawsze innym małym teatrom tutejszym. Powtórzyć przytem trzeba tę starą i powszechnie znaną prawdę, że język francuzki ma swoją wyłączną i sobie tylko właściwą doskonałość, któréj wyłączne zalety, w żaden inny język przelać, i w żadnym innym tak dobrze uczuć i ocenić nie można. Publiczność tutejsza oddaje téj prawdzie nowy i doskonały dowód w najszczerszych zupełnego zadowolnienia oznakach.

Carl-Theater i *Josephstädter* bawią jak mogą i czem mogą. W pierwszym z nich ukształcił się dość dobry balet, na wzór tego, którym zajmowała całą Europę sławna pani Weiss.

Zima się trzyma — lecz śniegu już mało — a wśród dnia słońce przygrzewa prawie wiosennym promieniem.

Berlin w styczniu.

Przerwaną epizodem o obchodzie świąt Bożego Narodzenia charakterystykę artystycznego ukształcenia stolicy pruskiéj prowadzę niniejszém daléj wedle zakreślonego planu, przechodząc, skończywszy rzecz o malarstwie, do sztuki rzeźbiarskiéj, drugiéj, która stoi pod wpływem zmysłu wzroku, i więcéj podobno niż którakolwiek inna wbiła mieszkańców z nad Sprewy w ambicyą porównywania stolicy swojéj z starożytnemi Atenami.

Zaprzeczyć nie można, że z wyjątkiem muzyki żadna z sztuk pięknych nie rozwinęła się w tak krótkim czasie w Berlinie do równie wysokiego stopnia ukształcenia, jak rzeźbiarstwo. Poezyi trudno wznieść skrzydła wyobraźni w mieście tak przeważnie we wszystkich war-

stwach społeczeństwa refleksyjném i krytyczném; liryka nie rozczuli, chociażby śpiewała jak Heine, epika nie zachwyci, chociażby bohaterem jéj był niezbędny „Fritz der Einzige“, dramatyka najwięcéjby jeszcze znalazła ponęty i zachęty, gdyby nie nieszczęsna Birchpfeiffer z fabryką przerabianych powieści, ckliwy Ponsard z swymi bohaterami giełdowemi, i niedościgniony Szekspir, którzy bałamucą opinią i smak wielkiéj, to jest, niedowarzonéj publiczności, obsypującéj płaskość i szczytność takiemiż samemi oklaskami. O muzyce mówiłem w dawniejszych listach, podnosząc wysokie jéj znawstwo i praktyczne wykształcenie szczególnie w kierunku harmonii. O malarstwie powiedziałem, że hołduje eklektyzmowi, idzie za wzorami różnych obcych mistrzów i szkół, i że z wyjątkiem gatunku rodzajowego, portretu, wreszcie i landszaftu, nie zdołało dotąd, mimo nieustannego kuszenia się, wydać choćby małéj liczby tak wielkich nieśmiertelnych dzieł religijnéj lub historycznéj treści, któreby stanowiły niejako grunt szkoły właściwie berlińskiéj, napróżno przez liczne zakłady i zachody oddawna przygotowywanéj. O architekturze, która obok znacznéj liczby gmachów wytwornego stylu i smaku ma jednakże, ogólnie mówiąc, charakter koszarowy, mówić będę obszerniéj w dalszym ciągu moich korespondencyj. Sztuka rzeźbiarska jest jedyną, która odpowiadając prawidłom estetycznym, wskazanym przez wzory starożytne, najwięcéj się do ideału zbliżyła, i wydała znakomitą ilość dzieł monumentalnéj wartości, przeznaczonych w dziedzinie historyi sztuk pięknych nowszego czasu zająć niepospolite miejsce.

Możnaby tu, badając przyczyn artystycznego różnych narodów i epok ukształcenia, rzucić pytanie, skąd do udoskonalenia téj właśnie sztuki przychodzi duch miasta tak refleksyjnego jak Berlin? Odpowiedź na pytanie to nie jest bynajmniéj trudną. Arcydzieła rzeźbiarskie pozostałe po Grekach i Rzymianach, u których sztuka rzeźbiarska, mianowicie u Greków, spowitą niejako była instynktowo z plastyczném we wszystkich swych czynnościach usposobieniem ducha narodowego, postawiły raz na zawsze skończone typy i wzory jéj ideału, zamknęły właściwie granice dalszego jéj doskonalenia się, i przekazały następnym wiekom prawie samę tylko możność

naśladownictwa. Przynajmniéj aż dotąd żaden z rzeźbiarzów chrześciańskiego świata, wzorów mistrzów greckich nie prześcignął, a zaledwie jest który, godzien głośnego imienia, coby ich nie był naśladował. Naśladowalić już Greków i Rzymianie. Nie zdoławszy stworzyć nic wyższego w obrębie boskich i ludzkich ideałów, sprowadzili rzeźbiarstwo do typów pospolitego życia, wykształcili portret i płaskorzeźbę, zdobiąc niemi pałace i wille swoje, rozpowszechnili wprawdzie sztukę, ale zarazem spospolicili jéj idealne przeznaczenie, z udzielnéj i wolnéj czyniąc ją służebnicą innéj.

W tym stosunku zawisłości od architektury zostawało po największéj części rzeźbiarstwo i w chrześciańskim świecie. Subjektywny duch chrześciański, zwrócony sam na siebie, nie odpowiada w ogóle sztuce, przedstawiającéj w plastycznych formach typy stałych substancyonalnych charakterów. Boleść, cierpienia duszy i ciała, męki, skrucha, śmierć, zmartwychwstanie, subjektywne chwilowe usposobienia duszy i serca, przechodnie namiętności, uczucia wiary, nadziei i miłości, i t. d. wszystko co w chrześciaństwie tak wielką odgrywa rolę, nie jest stósownym przedmiotem rzeźbiarskiego postaciowania. Temu wewnętrznemu światu chrześciańskiego ducha odpowiadają najwięcéj malarstwo i muzyka, sztuki zwane słusznie romantycznemi, i w chrześciańskim świecie przychodzące téż dopiéro do najwyższego udoskonalenia. Są i w chrześciaństwie rzeźby znakomitéj wartości, ale pospolicie do architektury zastósowane; stoją na ołtarzach, w niszach, łukach, przy drzwiach kościołów; przedstawiają postacie proroków, apostołów, męczenników, aniołów, świętych. Główne przedmioty religii, jako narodzenie, chrzest, męka, śmierć, zmartwychwstanie Pańskie, wykonane są w reliefach, co wskazuje na ich charakter malarski. Niektóre dzieła, jako Chrystus zmarły Michała Anioła, posąg Maryi w Bruegge, także podobno jego, znaczna liczba sarkofagów, statuy bohaterów i królów, wznoszą się w kompozycyi i w plastyczném wykonaniu do ideału, ale są to wyjątki, i wyjątkowego mistrza było potrzeba, gdzie się coś podobnego dokonać udało.

Substancyalna indywidualność grecka, jaką nam wszystkie ich dzieła rzeźbiarskie przedstawiają, nie wyczer-

puje wprawdzie całéj konkretnéj istoty człowieka, gdy wewnętrzną jéj stronę zostawia na uboczu; ale przedstawienie téj ostatniéj, w całéj jéj partykularnéj rozmaitości, nie jest właśnie zadaniem rzeźbiarstwa, lecz malarstwa, muzyki, wreszcie i poezyi. Rzeźbiarstwo odciska, że tak rzekę, indywidualność boską lub ludzką z téj tylko strony, która ją trwale, niezmiennie, wiecznie i nieśmiertelnie charakteryzuje, i w tym charakterze podnosi ją w odpowiedniéj zewnętrznéj formie do ideału. W tém pojęciu rzeźbiarstwo stało się prawie wyłącznie sztuką grecką, która wydała wzory nigdy już późniéj nie przewyższone; tak samo jak następnie w świecie chrześciańskim religijne malarstwo włoskie osiągnęło stopień tak wysokiego udoskonalenia, że w tym rodzaju nie było dotąd i nie będzie podobno już nigdy dorównane.

Otóż, aby dać odpowiedź na to wtrącone wyżéj pytanie, mniemam, że ta właśnie idealna i techniczna skończoność sztuki rzeźbiarskiéj może nam wytłumaczyć przyjęcie i udoskonalenie się jéj w Berlinie, w mieście, które ma więcéj krytycznego rozumu niż twórczéj wyobraźni, więcéj refleksyi niż natchnienia. To bowiem co jest w pojęciu, zadaniu i wykonaniu swém skończoném, staje się przedmiotem myśli, zimnéj rozwagi i szczegółowego jak w treści tak w formie poznania; tak wszechstronnie zgłębione nie potrzebuje bynajmniéj do reprodukcyi swojéj nadzwyczajnego zapału lub natchnienia, może z pomocą téj teoretycznie przez artystę nabytéj znajomości, oraz z pomocą pewnego technicznego talentu, odtwarzać się w nowych postaciach, i obudzać przekonanie, jakoby pierwotwornie, bez żadnego obcych wzorów wpływu powstawało. Wiadomo do jakiéj wprawy dochodzi częstokroć w sztukach technika mechanicznego naśladowania. U Włochów naszego czasu stała się ona rzemiosłem i źródłem niemałego zysku, i to nie tylko co do dzieł rzeźbiarskich, ale i co do malarskich. Mniemałbyś, że to dzieła wiecznie żyjących Fidiaszów i Rafaelów, a to fabryczne wyroby wedle pozostałych z starożytnego i nowszego świata wzorów.

Byłoby niesprawiedliwością, gdybym utrzymywał, że obecne rzeźbiarstwo berlińskie nie jest niczém więcéj jak takiém naśladowaniem. To pewna, że jak gdziein-

dziéj tak i tutaj podniosło się dopiero wtedy do jakiegoś znaczenia, gdy zrzuciwszy z siebie teatralne i konwencyonalne formy smaku francuskiego dwóch ostatnich wieków, oparło się na staranniejszém zgłębianiu kształtów natury z jednéj, na troskliwszém studyowaniu tworzonych wedle jéj wzorów pomników starożytnych z drugiéj strony. Do tego odwrotu nie tylko w sztuce rzeźbiarskiéj, ale w ogóle do innego zapatrywania się na arcydzieła sztuki starożytnéj, tak we względzie historyi, jak estetycznéj krytyki, jak technicznego wykonania tychże, utorował w połowie zeszłego wieku drogę, nie dla Prus samych i Niemiec, ale dla całéj Europy, Jan Winckelmann, największy znawca sztuki starożytnéj w swoim czasie i twórca opartéj na niéj nowoczesnéj estetyki. Pruskie miasteczko Stendal było miejscem urodzenia wielkiego męża, którego historyą sztuki na wszystkie języki europejskie przetłumaczono. Ale w Prusiech przyszłe dopiero pokolenia z nauki w dziele tém złożonéj korzystały, chociaż zdawać się mogło, że obok niéj prace takiego krytyka jak Lessing, że studya świata starożytnego rozpowszechniane i przyswajane przez tak licznych i znakomitych tego czasu filologów, powinny były wcześniéj przygotować obok teoretycznego także praktyczne odrodzenie się rzeźbiarskiéj sztuki w stolicy pruskiéj. To nie stało się, z wyjątkiem kilku pojedynczych dzieł, jak w pierwszéj połowie bieżącego stulecia, rzeczywiście dopiéro w naszych czasach. Wyprzedzili Prusaków Canova włoch, stojący na czele epoki odrodzenia, Chaudet francuz, Don José Alvarez hiszpan, Sergel szwed, Dannecker niemiec wirtemberski, wreszcie prawie współczesny Thorwaldsen duńczyk, którzy wszyscy, zwracając się do natury i do wzorów starożytnych, wprowadzili znów rzeźbiarstwo na właściwą drogę i posunęli do stopnia udoskonalenia, na jakim dotąd w świecie chrześciańskim, pojedyncze arcydzieła i ich twórców wyjąwszy, nie było stało.

Początek właściwéj szkole rzeźbiarskiej berlińskiéj dał Jan Gotfryd Szadow, ur. 1764 r. w Berlinie, zmarły 1850 r. tamże. Miał on wprawdzie poprzednika, o cały wiek starszego, w wyprzedzającym czasy swoje słynnego po dziś dzień imienia budowniczym i rzeźbiarzu Andrzeju Schlueterze, który za panowania W. Kurfirsta

Fryderyka Wilhelma i za panowania króla Fryderyka I wykonał najważniejsze budowle i liczne rzeźby w Berlinie, między pierwszemi północną część zamku królewskiego, między drugiemi sławne maski rycerskich głów, zdobiące ściany wewnętrznego podwórza arsenału, przez długie czasy zaledwo znane, a dziś do najznakomitszych dzieł rzeźbiarskich w Berlinie policzone, oraz najpiękniejszą konną statuę bronzową W. Kurfirsta, stojącą na moście naprzeciwko zamku, z którą nie łatwo porównaćby się dało inne dzieło tego rodzaju. Ale Schlueter nie pozostawił po sobie uczniów, którzyby w duchu jego sztukę rzeźbiarską byli daléj rozwijali. Przeciwnie dzieła jéj, wykonane za panowania Fryderyka W., nie świadczą o polepszeniu się smaku, lecz o jego pogorszeniu. Od Schadowa dopiero poczyna się zwrot ku szlachetniejszemu stylowi, któremu właśnie Winckelmann teoretycznie, Canova praktycznie obszerne do przyszłych popisów otwierali pole. Schadow wydoskonalił się w rzeźbiarstwie w Rzymie. Powróciwszy do Berlina w r. 1788 został dyrektorem akademii sztuk pięknych, i piastował urząd ten aż do końca życia, uspasabiające młode pokolenie, tak przez liczne rzeźby jak przez artystyczne pisma swoje, przez z górą 60 lat, do zawodu, który nie miał pozostać bez wydania licznych i nader wyśmienitych owoców. Pierwszą wielką pracą Schadowa był pomnik nagrobkowy, z kilku figur złożony, wystawiony 1790 r. w tutejszym kościele ś. Doroty hrabiemu Marchii, naturalnemu synowi Fryderyka Wilhelma II, pomnik mało komu w Berlinie znany, a przecież mogący być śmiało pomiędzy pierwsze dzieła sztuki rzeźbiarskiéj w stolicy policzony. Z innych dzieł jego wysoko cenionych i powszechnie znanych wymieniam tylko: kolosalny posąg Ziethena w mundurze uzarskim, wykonany w marmurze, a obecnie mający być odlany w bronzie; posąg Fryderyka W. w Szczecinie; freski na budynku mennicy; posągi generała Tauenziena w Wrocławiu i Lutra w Wittenbergu; wreszcie sławna Wiktorya i Quadriga na bramie brandeburskiéj, którą Francuzi w r. 1807 powieźli do Paryża, a Prusacy w r. 1814 napowrót do Berlina sprowadzili, i dali jéj stanowisko nie wyjeżdżającéj z miasta, jak dawniéj, ale wjeżdżającéj w tryumfie z odniesionych na zachodzie zwycięztw.

Najznakomitszym kontynuatorem rzeźbiarskich usiłowań Schadowa, istotnym twórcą i najslynniejszym po dziś dzień wyobrazicielem szkoły rzeźbiarstwa berlińskiéj jest Chrystyan Rauch. Urodził się on w Arolsen w księstwie Waldeck d. 2 stycznia 1777 r., w bieżącym więc roku miał lat 80, którą to rocznicę liczni uczniowie jego, sami już znakomici mistrze, uroczyście w Berlinie obchodzili. Wspaniałéj postawy, monumentalnéj fizyonomii, czerstwéj cery, z srebrnym pełnym włosem na głowie, uwielbiony nauczyciel wyglądał pomiędzy młodszymi i starszymi uczniami jak patryarcha śród rozmnożonéj rodziny synów i wnuków. Rauch, odebrawszy piérwsze początki sztuki rzeźbiarskiéj od rzeźbiarza Ruhl w Kassel, przybył w dwudziestym roku życia swego do Berlina. Tu pracując, wielu otoczony trudnościami, przez lat siedm, udał się w r. 1804 do Rzymu. Znalazłszy tam w Wilhelmie Humbolcie rzadkiego opiekuna, a w Thorwaldsenie rzadszego jeszcze przyjaciela i mistrza, Rauch mógł oddać się sztuce swéj z tém większą swobodą i podwójnym zapałem. Przez siedm lat pracując w Rzymie, wyrósł sam na mistrza. Z czasu tego mamy kilka jego płaskorzeźb i popiersi, między któremi popiersie królowéj pruskiéj Ludwiki, wielkości naturalnéj, tak się królowi mężowi, niepocieszonemu po jéj stracie, podobało, że powołał Raucha w r. 1811 do Berlina, aby się z nim wraz z kilku innymi artystami naradzić nad projektem wystawienia pomnika dla królowéj. Projekt przez Raucha przedłożony zyskał pierwszeństwo, i dla wykonania go artysta udał się r. 1812 do Włoch, gdzie blisko trzy lata pracując, powrócił 1814 r. do Berlina, aby się osobiście zająć ustawieniem pomnika, który miał raz na zawsze ustalić jego sławę. Jest to ów każdemu z podróżnych znany pomnik, znajdujący się w Charlottenburgu, w umyślnie na pomieszczenie go zbudowaném mauzoleum doryckiéj architektury, pomnik przedstawiający królowę w leżącéj postaci na łożu lekkim snem ujętą, z najpiękniejszego kararyjskiego marmuru. Kopia pomnika tego, w wykonaniu prawie staranniej jeszcze odrobiona, znajduje się w Potsdamie. W r. 1843 pomieszczono obok pomnika królowéj w mauzoleum charlottenburskiém pomnik podobnego stylu jéj męża Fry-

deryka Wilhelma III, co do artystycznéj wartości o wiele niedorównywający pierwszemu.

Od r. 1815, który skończył wielkie i długie wojny napoleońskie i pozwolił i Prusom spocząć na laurach wojennych za odniesione w latach 1813 i 1814 zwycięztwa, Rauch trudnił się głównie umonumentalizowaniem (przepraszam za słowo (wojennéj sławy pruskiéj, tworząc to marmurowe, to bronzowe posągi bohaterów ostatniéj wojny, to statuy Wiktoryj pomieszczane na kolumnach placów publicznych lub w przysionkach publicznych gmachów. Z pracowni jego wyszły w tym historyczno-statuarnym rodzaju: najprzód, posągi generałów Scharnhorsta i Buelowa z kararyjskiego marmuru, wystawione po obu stronach głównego odwachu 1822 r., powtóre, kolosalny bronzowy posąg Bluechera, wystawiony 1827 r. w Wrocławiu, a rokiem wprzód inny bronzowy posąg tegoż wystawiony w Berlinie naprzeciwko głównego odwachu; potrzecie, posągi bronzowe generałów Gneisenaua i Yorka, postawiane w r. 1855 po obu stronach posągu Bluechera; poczwarte, posąg kolosalnych rozmiarów mający w jednéj całości uwiecznić niejako sławę całéj epoki najświetniejszéj historyi pruskiéj, to jest, konny bronzowy posąg Fryderyka W., wystawiony 1851 r., uważany za największe i najcelniejsze dzieło Raucha. Do najpiękniejszych utworów z świata idealnego policzyć trzeba sześć kolosalnych Wiktoryj z białego marmuru, wykonane w r. 1833 dla Walhalli z polecenia króla bawarskiego. Można powiedzieć, że Rauch wyczerpał w statuach tych wszystkie motywa, któreby przyszłemu rzeźbiarzowi posłużyć jeszcze mogły do przedstawienia odmiennéj bogini zwycięztwa.

Z dzieł Raucha wykonanych dla zagranicy do znakomitszych liczę te: posąg bronzowy w siedzącéj postawie Maksymiliana króla bawarskiego, wystawiony w Monachium 1835 r.; pomnik księdza Franckego w Halli; posąd Albrechta Duerera, wykonany z polecenia Ludwika króla bawarskiego, postawiony 1838 r. w Norynberdze; posąg nagrobkowy królowéj hanowerskiéj z białego marmuru, zrobiony na wzór posągu królowéj Ludwiki w Charlottenburgu r. 1842; posąg bronzowy Pawła Fryderyka W. księcia meklembursko - schweryńskiego, wystawiony 1849 r. w Schwerynie; wreszcie, aby i kraj polski miał

pamiątkę dłuta tak znakomitego mistrza: posągi królów polskich Mieczysława i Bolesława Wgo, dokonane i postawione za staraniem hr. Edwarda Raczyńskiego w tumie poznańskim 1840 r.

Oprócz tych dzieł monumentalnéj wielkości i wartości istnieje przynajmniéj 100 popiersi znakomitych ludzi, wykonanych własną ręką Raucha w marmurze, lub modelowanych w glinie do odlania w bronzie. Między niemi znajduje się znaczna liczba kolosalnego rozmiaru. Kilka figur mitologicznych odznacza się rzadką gracyą. Pod ręką jest kolosalna statua Mojżesza.

Oto szereg niepospolity dzieł jednego mistrza, zdolnego zaiste stworzyć i ustalić szkołę, która oprócz tego co już wydała, zabiera się do coraz liczniejszych i rozmaitszych przedsięwzięć, o jakich przed trzydziestu laty zaledwie marzono.

Będę o tém mówił w następnym liście.

Paryż w styczniu.

List pisany w Paryżu pierwszych dni Nowego Roku, nie może być ani zajmujący, ani nawet zabawny; przyzna to każdy komu nie obce tutejsze zwyczaje, kto niechcąc tykać oklepanego przedmiotu, próbował zebrać myśli wśród wrzawy, uścisków, powinszowań, komplementów, dygów — kto usiłował zachować dobry humor wśród wszystkich tych głośnych manifestacyj a raczéj trawestacyj uczucia — wśród tych peryodycznych nudów któremi ludzie przyrzekli sobie znaczyć każden nowy walc ziemi około słońca. Ten ktoby w tych dniach powszechnego szaleństwa potrafił zapisać pożytecznie ćwiartkę papieru, musiałby nie bywać nigdzie, nie mieć ani interesów, ani znajomych, ani kolegów, ani przyjaciół, ani jednéj kobiety czekającéj na bukiet, ani jednego dziecka wyglądającego cukierków, ani jednego portiera czyhającego na nieodzowne pięć franków. — Czy jest w Paryżu kto tak szczęśliwy — niewiem — ale to wiem, że do nich się nie liczę, o czem wolałem cię ostrzedz z góry, ażebyś wiedział co cię czeka jeżeli doczytawszy dotąd, listu tego pomiędzy niepotrzebne nie wrzucisz.

Po takim wstępie z czystem sumieniem piszę dalej — a chociaż nie wiem czy mi towarzyszysz, na wszelki przypadek oszczędzając twoich uszu, oczu, smaku i powonienia, jak niemniéj kapelusza i ubioru — porzucam w błocie zadyszany, depcący sobie po nogach *najmilszy naród na świecie*, i uciekam co prędzéj do Eskimosów, żałując niezmiernie że nie mogę daléj.

Piękną kollekcyą tych nadobnych ludzi, oraz zbiór nielicznych płodów wydzielonych im skąpą ręką macochy natury, przywiózł Paryżanom książe Napoleon z pod północnego bieguna. Wszystkie te rzeczy rozłożone w kilku salach Palais-Royal, stanowią dość ciekawą wystawę, którą nie mając co lepszego do roboty, obejrzeć warto.

Nie będąc ani ornithologiem, ani owologiem, ani geologiem, ani botanikiem, nie mogę ci dać szczegółowego opisu zgromadzonych tu ptaków, jaj, kamyków, ziół i tém podobnych rzeczy może bardzo ciekawych dla uczonego, ale dla profana wyblakłych, szarych jak niebo pod którym się zrodziły, bezkolorowych i martwych jak lodowate strefy; ograniczę się więc tylko na wyliczeniu przedmiotów najwięcéj uderzających, na téj wystawie, nie troszcząc się bynajmniej o ich scyentyficzną wartość.

Wiadomo Ci, że wyprawa która pod przywództwem księcia Napoleona wyruszyła z Hawru 14 czerwca zeszłego roku, z zamiarem dopłynienia aż do Spitzbergu, w drodze zaskoczona lodami, musiała się wyrzec pierwotnego przedsięwzięcia. *Królowa Hortensya* zagrożona niechybną zgubą wśród pływających skał lodowych które za lada powiewem wiatru mogły ją zamurować w wąwozie, lub w proch rozetrzeć, obrała kierunek zachodni, w którym płynąc pośród tysiąca niebezpieczeństw, wylądowała wreszcie na brzegach Grenlandyi. Ztamtąd udała się do wysp Feroe i Shettland — a potem do Norwegii i Szwecyi, zkąd opłynąwszy Danią, przez morze północne i kanał la Manche powróciła szczęśliwie do Hawru.

Ze wszystkich więc krajów zwiedzonych przez wyprawę o któréj mowa, dwa tylko: Islandya i Grenlandya, jako mało znane nastręczały pole dla badań naukowych. Ztamtąd też tylko przywiezione płody składają

wystawę w Palais-Royal. Całkowity skielet Eskimosa, ośm czaszek tejże rassy, gipsowe odciski jéj kształtów—ubiory, namioty i bronie, reprezentują tu mieszkańca Grenlandyi; krajobrazy oddają wiernie dziką piękność ponuréj Iślandyi; samą zaś naturę wyobrażają minerały, zwierzęta i rośliny.

Fotografije, szkice i pastele zdejmowane na miejscu przez pp. Giraud i d'Abrantes, najwięcéj ściągają widzów; są one jakby okna do których nieustannie ciśnie się tłum ciekawy wyjrzeć na te zamierzchłe strefy, na te lodowiska co zrumienione łuną wulkanów pałają jak brylanty w koronie zenitu.

Galeryę rozpoczyna widok miasta Reykiawik. Stolica Islandyi złożona z bud drewnianych zamieszkana przez sześciuset ludzi, bolesne czyni wrażenie; jestto obraz najdokuczliwszej nędzy jaką można napotkać na tym padole płaczu: obraz nędzy bezsłonecznéj.— Daléj widzisz Heklę w lodowych okopach, dymiącą jak olbrzymie ognisko które zima zapaliła sobie w głębi swego królestwa. Daléj zdumiały patrzysz na Geyser wyrzucający na sto stóp wysokie słupy ukropu zgotowanego gdzieś w podziemnych płomieniach.

Mniejsze widoki rysowane pastelami, dają pojęcie niebezpieczeństw na jakie narażają się okręty żeglujące po tych zdradliwych i rozdąsanych morzach. Jeden z nich przedstawia „*Królową Hortensyę*" opływającą przylądek Farewel. Wysmukły statek, drobny jak łupina orzecha, krąży na odmętach tłukących w czarny klin lądu który natura wystawiła tam jakby arenę dla wiecznie walczących z sobą huraganów. Na przeciw gnane wichrem jakby potwory morskie, płyną skały lodowe... piękna *Hortensya* zagrożona zewsząd, zdaje się niechybnéj czekać zguby. Jeżeli kiedy, to patrząc na to malowidło czujesz prawdę słów Szyllera:

„Denn die Elemente hassen
Das Gebieth der Menschenhand".

Inny pastel przedstawia znów okręt spustoszały który „*Królowa Hortensya*" napotkała pływający bez steru gdzieś w najdzikszym zakątku mórz lodowatych. Jestto obrazek bardzo dramatyczny. Statek odarty z żagli, z po-

łamanemi masztami, lizany nieustannie przez wskakujące na pokład bałwany, wydaje się jak ołtarz wzniesiony ręką szatanów bóstwu Zniszczenia.

Z pomocą fotografii zdjęto także mnóstwo portretów, pomiędzy któremi wizerunki islandzkich rybaków i rybaczek uderzają dziką wyrazistością rysów. Ubiory ich bogate, sztywne od haftu i ozdób, rozwieszono na manekinach ażeby je lepiéj obejrzeć można było. Kobiety noszą na głowach czarne sukienne czapeczki, ozdobione długiemi frendzlami z jedwabiu; szyję ich otacza aksamitna freza ze świecącym haftem—na barkach zarzucony płaszcz ciemny oszyty galonem, a pod nim wierny rysom członków stanik, wypukło w złote wyszywany kwiaty. U bioder przecina kibić pas skórzany z kółkami, podobny bardzo do naszych krakowskich pasów.—Bogaty ten ubiór świąteczny, na który biedny rybak musiał pół życia swego ciężko pracować, zostaje zazwyczaj w rodzinie po parę wieków i jak familijne klejnoty przechodzi z matki na córkę.

Zajmującą część wystawy stanowią książki.—Na tym ostatnim krańcu mieszkalnego świata, gdzie sama wegetacja słabnie i zamiera, umysł człowieka nie przestał kwitnąć i owocować. Islandya jest poetycznem gniazdem, z którego wyleciały wszystkie ballady i legendy północne. Miasto Reykiawik liczące sześciuset mieszkańców, posiada liceum, szkoły, bibliotekę, trzy towarzystwa uczone i literackie, drukarnię, i dwa dzienniki powtarzające wszystkie nowiny oraz najświeższe publikacye angielskie.

Pomiędzy wystawionemi księgami zauważałem „*Raj utracony*“ Miltona w tłumaczeniu islandzkiem, i stare biblie z siedmnastego wieku, na których zardzewiałe klamry i omszałe okładki nie można patrzéć bez wzruszenia. Ileż dni ciemnych, ileż bezsennych nocy, ileż smutnych żywotów rozwidniły te księgi? ileż pociechy wlały w serca tych galerników ludzkości skazanych na lodowatą pomrokę, roztaczając przed oczyma ich duszy słoneczne wizye jasnego świata!

Grenlandya chociaż na téj saméj co Islandya leży szerokości, jest jéj moralną antypodą. O ile ta zadziwia poezyą i inteligencyą, o tyle tamta przeraża idiotyzmem i brzydotą. Zwierzęca twarz Eskimosa repre-

zentuje tu człowieka, karłowata wierzba naturę—kobieta, ten najpiękniejszy twór Boga, jest tu jakby przejściem pomiędzy człowiekiem a foką—słowem, na co spojrzysz, od tego oczy musisz odwracać ze wstrętem.

Znużony grenlandzką szkaradą, z przyjemnością zatrzymujesz się w końcu przy grupie islandzkiego ptastwa. Ogromne kruki *(corvus corax)* uzbrojone żarłocznemi dzióby, tak ważną odgrywające rolę w mitologii skandynawskiéj, przypominają najposępniejsze północne legendy — śnieżne sokoły z rubinowem okiem, pełne ognia i energii, przywodzą ci na myśl najszlachetniejsze orły jakie kiedy widziałeś wyszyte na szkarłatnym sztandarze, lub w śnie uroczym przewodniczące garstce niezwyciężonych rycerzy... Ale to podobieństwo formy tylko wzrok łudzi—serce wnet czuje że to nie tamte...

Pozwól, że na orłach księcia Napoleona zakończę przegląd wystawy—za daleko myślą od niéj odbiegłem, ażebym znowu mógł do Eskimosa i kochanki jego foki powracać. Ot lepiéj wejdźmy tu obok, do teatru francuzkiego, widzę bowiem na afiszu tytuł pewnéj sztuki o któréj dawno pomówić z tobą chciałem.

Komedya Scribego „*Une Chaîne*“, należy do najciekawszych reprezentacyj jakich byłem świadkiem w Paryżu. Jestto widowisko jedyne w swoim rodzaju: sztuka która się zbuntowała przeciw autorowi.

Czytałeś jeźli nie wszystkie 365, to przynajmniéj dostateczną ilość komedyj Scribego, ażebyś wiedział, do jak nizkiéj sprowadził je prozy—jak w nich wyszydza wszystko co wyższe nad episjerską mierność, jak powstaje na geniusz, zapał, wiarę i miłość, na wszystko co wielkie lub smutne, na wszystko co ma skrzydła u ramion lub łzy w oczach.

Scribe długo pisał w ten sposób, wielbiony od mierności któréj jest panegirystą — aż pewnego razu myśl wyższa, stworzona do lotu, nie mogąc już znieść łańcucha który ją w ziemię wbijał tak, że za każdem uderzeniem skrzydeł musiała bryzgać błotem na siostry swoje, stargała więzy i uciekła w błękity.

Nigdy Scribe nie postawił idei tak nizko jak ją chciał postawić w komedyi „*Une chaîne*“. Piękna i można pani kocha z całéj duszy młodego artystę bez imienia, bez znaczenia, bez majątku. Przez jéj wpływy i protekcyę,

Emeryk dochodzi do sławy i fortuny; ale skoro stanął u celu swych życzeń, skoro Ludwika otworzyła mu światy o których młodzieniec zaledwie we śnie marzył — kiedy z własnego honoru wystawiła mu piedestał — Emeryk przypomina sobie jakąś kuzynkę z którą przed laty bawił się piaskiem, i ni z tąd ni z owąd, prawie nieznanéj ładnéj Alince oddaje w swem sercu miejsce pięknéj Ludwiki. Dla dziewczęcia bez skazy ale i bez zasługi zapomina kobiety któréj winien wszystko.

Postanowiwszy ożenić się z Aliną, Emeryk wyrzuca, zawsze uwielbiającéj go kochance wszystko co dla niego zrobiła, żałuje że tak wiele... skarży się, narzeka, w końcu oznajmia, iż z nią zrywa na zawsze. Ludwika daremnie szuka w sobie powodu téj zmiany, daremnie odwołuje się do przeszłości, do swojego przywiązania i poświęcenia — zbogacony kochanek targuje się, szykanuje, i ostatecznie nie płaci z powodu bankructwa serca.

W téj kłótni niewdzięczności z poświęceniem, Scribe gorąco popiéra niewdzięczność. Czegóż się skarży ta kobieta sponiewierana przez człowieka który jéj winien wszystko, a który odpycha ją skoro już jéj nie potrzebuje? Jeżeli cierpi, tém lepiéj — czyż na to nie zasłużyła? — czyż nie zapomniała dla niego obowiązków? Emeryk chwalebnie czyni opuszczając istotę, która mu się oddała bez wyrachowania i bez gwarancyi. Nie tylko postępek jego nie jest naganny, ale owszem, bardzo szlachetny. Scribe który przez płaską obronę wysokiéj myśli podał już nieraz na pośmiewisko wierność, w „*Chaîne*“ z niewdzięczności chciał zrobić cnotę.

Ale, jak powiedziałem, sztuka się zbuntowała, i niechciała popierać takiego bluźnierstwa. Na złość Scribemu, pełna czucia Ludwika, zaćmiła wszystkie inne figury. Próżno autor wynosi pod niebiosa ową moralność idącą ostrożnie po ścieżce wiodącéj pomiędzy piekłem a policyą poprawczą — cały kodeks jego mażą od razu łzy kobiety. Oburzona Ludwika niechce spuścić głowy, silna miłością i poświęceniem, prostuje się, i patrzy niewdzięcznemu oko w oko, jakby mówiła: kochałam cię kiedy inne gardziły tobą — podniosłam cię kiedy bezsilny czołgałeś się u podnóża swych marzeń — teraz druzgoczesz mnie jak niepotrzebną szklankę po biesiadzie, odrzucasz, jak rusztowanie skoro dom już stanął...

I z nas dwojga ciebie nazwą uczciwym a mnie nikczemną którąm się poświęciła, a ciebie niewdzięcznego, wielbić będą.

Wszystko to czyta widz w błyszczących oczach Ludwiki, w chwili kiedy usłyszawszy z ust Emeryka że jéj już nie kocha, patrzy nań oniemiała z bólu, i drżącą ręką zrywa *łańcuch* co ich wiąże, to jest daje na piśmie zezwolenie bez którego ojciec panny niechce przystać na ożenienie Emeryka — sama zaś spełniwszy ofiarę, wynosi się na przeciwny kraniec świata zostawiając resztę kompanii przy wesołéj biesiadzie.

Pierwsze przedstawienie téj sztuki musiało niezmiernie zadziwić pana Scribego. Sam pewnie nie poznał swojéj komedyi. Chciał zainteresować publiczność kłopotami młodzieńca nie mogącego się wyplątać z więzów natrętnéj miłości, a słuchaczy zajęła tylko owa opuszczona grzesznica; chciał dać najpiękniejszą rolę Emerykowi, a cały teatr tylko Ludwice przyklaskuje. Pani Plessy która gra rolę Ludwiki, szlachetną swą postawą i pełną czucia akcyą przyczynia się głównie do zupełnego przewrócenia intencyi autora. Frazeologia Emeryka budzi tylko politowanie; sztuka dla tego jedynie zajmuje, że jest źle grana. Niemiałżem słuszności mówić, że to osobliwsza reprezentacya?..—

Dzienniki humorystyczne zajmują się ciągle żalami tęskniącemi za swoją *Pressą* Girardina. Jestto teraz ulubiony temat wszystkich karykaturzystów i szubrawców. Pomiędzy innemi *Charivari* umieścił pocieszny monolog podsłuchany pod oknem drukarni, do któréj Girardin jak anioł strącony do swego utraconego raju zagląda. Monolog zaczyna się temi słowy:

„O! dzienniku mój! dopiero utraciwszy cię, pojąłem całą wartość twoją. Nigdym cię tak nie cenił ani tak nie ubóstwiał jak teraz kiedyś w inne przeszedł ręce.

„Dręczony tęsknotą, często niemówiąc nikomu słowa wybiegam z domu, mijam ze wstrętem szeregi marmurowych pałaców i zapuszczam się w znane mi dobrze ulice pełne życia i gwaru, w ulice gdzie twoje bióra, o mój dzieniku! Ujrzawszy je, z bijącém sercem przystępuję do muru na palcach...i jak kochanek pojący się widokiem lampy (*à modérateur*) błyszczącéj w oknie swéj lubéj, tak ja z upragnieniem patrzę w światło lam-

py zecera. Niestety! nie moje on już składa artykuły— przeto pewnie są mierne, nie dostateczne, bez żadnego celu... Ach! sama ta myśl duszę mi porze!

„Jakże gorzko żałuję sprzedaży do któréj mnie skusił ów demon z milionem pod pachą— jakże mi żal mego wice-królestwa które dzierżyłem w przemyśle, finansach, sztuce, teatrach, wszędzie. Pieniądz nie zastąpi takich przywilejów— raz ich skosztowawszy już się bez nich obejść niemożna. Czuję że zrobiłem wielkie głupstwo pozbywając się fotelu który zajmowałem w wielkiéj arenie drukarskiéj. Życie prywatne zabija mnie. Ja, milioner, zazdroszczę teraz pozycyi wyrobnikowi tnącemu opaski do dziennika w którym panowałem niegdyś! Osądźcie stan mojéj duszy!“

W każdym żarcie jest połowa prawdy. Po sprzedaży *Pressy* Emil de Girardin rozpoczął z nudów długą polemikę z *Gazetą francuzką;* w końcu po wielu obustronnych koncessyach, zaproponował jéj swoje współpracownictwo, które, jak się łatwo domyślasz, skwapliwie przyjętem zostało.

Jeszcze słówko. Ciekawyś zapewne jak wygląda sławna Piccolomini, która teraz występuje w „Trawiacie.“ Jestto śliczna dziewczynka niepodobna w niczem do teatralnych kolosów jak Grisi, Tedesko, lub Alboni, przyrównana przez Rossiniego do słonia który połknął słowika.— Nie szukając daleko definicyi, powiem ci że Piccolomini wygląda jak pączek w maśle. Staroświeckie to porównanie najlepiéj ją maluje. Wyobraź sobie małą pulchniutką osóbkę z szafirowemi oczkami pełnemi skier, a nawet czasem błyskawic— z uśmiechniętemi usty i wyrazem dziecięcéj naiwności. Śpiew jéj wysoki i srebrny, przypomina nieco głos pani Sonntag. Głównym jéj powabem jest sympatyczność. Prawdziwa czystość duszy przebija w całéj jéj postawie. Nic zabawniejszego jak widzieć ją naśladującą maniery paryzkiéj lorety. Piccolomini podobna wtedy do indyjskiéj bajadery, co upojona tańcem łamie swą kibić w wyuzdane pozy, a twarz ma zawsze czystą i słodką jak konwalia.

Rzym w styczniu.

Widoczną od dawna była niechęć z jaką *Civilta Cattolica* przegląd znakomity, acz nieraz różnorodzajnym namiętnościom dający się powodować, występowała czasami przeciwko rzeczom polskim. Osoby kierujące tym przeglądem zbyt pośpiesznie może uwierzyły w bezwarunkowe ziszczenie się przewidzeń Ojca Gagaryna i jęły kołatać do serca mającéj się nawrócić schyzmy przez poświęcenie praw zupełnie świeckich i niemających styczności ze spodziewanem nawróceniem.

Otoż dowiadujemy się z wielkiem zadowolnieniem, że władza kościelna w Rzymie odradziła temu pismu dalszego postępowania w podobnym kierunku; że Papież przywoławszy do siebie dwóch głównych redaktorów *Civilta Cattolica* prosił ich bardzo stanowczo aby zaprzestali przez zbytnią i źle zrozumianą gorliwość rozsiewać zgorszenie w chrześciaństwie.

Dnia 18 grudnia stanęła nareszcie na placu hiszpańskim kolumna uwieczniająca pamiątkę dogmatycznego orzeczenia niepokalanego Poczęcia Najświętszéj Panny. Niesłychany tłum widzów znajdował się przy téj okoliczności i zapełniał plac hiszpański równie jak przyległe do niego ulice. Papież nie był na téj ceremonii, ale Królowa hiszpańska matka, tudzież wielu kardynałów i wysokich dygnitarzy kościelnych przypatrywało się temu obrzędowi. Wspomniona kolumna z marmuru białego i zielonego zwanego *cipollino* należała niegdyś do rzędu tych mnogich kolumn przywiezionych przez Rzymian ze Wschodu. Sprowadzono ją za czasów Cesarza Augusta i dziwnym trafem zostawiono nieużytą blisko dawnego *Bustum,* czyli publicznego stosu, gdzie palono ciała niewolników. Dopiero na początku przeszłego roku wydobyto ten pomnik z pod gruzów, któremi go przysypało niejednokrotne zniszczenie Rzymu. Jedyna to jest jednolita monumentalna kolumna dotychczas istniejąca, któréj żadnego nie dano przeznaczenia. Na kolumnie tej stanie spiżowy posąg Bogarodzicy a podstawa jéj ozdobioną będzie czterma posągami proroków: Mojżesza, Dawida, Eliasza i Izajasza przez czterech najznakomitszych rzeźbiarzy rzymskich, a między innymi przez panów Taddollini i Jacometti, którego to dwie

prześliczne grupy, „Pocałunek Judasza“ i „Ecce Homo“: podziwiać można przy *Scala Santa* koło Sgo Jana Laterańskiego.

Anglicy nie tylko że zwiedzają pilnie starą Romę, ale nawet polują w jéj okolicach. Czerwona odzież wyspiarzy myśliwców zdaleka się widzieć daje na ponurej przestrzeni Kampanii rzymskiej i miga fantastycznie na jéj obszarze. Zaiste Cezary, trybuny i poważni senatorowie, nie pomału by się zdumieli, gdyby powstawszy z grobów swoich na Via Appia, ujrzeli tych gości w czerwonych rajtfrakach goniących wystraszonego lisa. Najlepsze konie należą do p. Knight anglika i do naszego rodaka hr. Ksawerego B. którzy są sami najlepszymi jeźdzcami.

Jak przewidywałem tak się też i stało: zjechała się na Swięta Bożego Narodzenia wielka liczba cudzoziemców. Górują Amerykanie, którzy wstąpiwszy w ślady Anglików opanowali od dwóch lat Europę. Po nich następują Rosyanie, nigdy ich jeszcze tylu nie widziano co téj zimy. Gdzie się ta szkuta z niemi rozbiła, tego nie wiem, ale któżby pomyślał, że po wzięciu Małachowy jeszcze ich mogło zostać tylu! Po wszystkich salonach rzymskich słyszysz ciągle jak meldują nazwiska z końcówkami *ew* — *ow* lub *in*. Ale tych panów lubią, bo trzeba im słuszność oddać, że tu jak i wszędzie, dużo pieniędzy wydają i wydawać umieją.

Mieliśmy dotąd, nie rachując rautów, dopiero jeden wielki bal w pałacu Ruspoli u hr. Goyon głównie dowodzącego armią francuzką, ale mimo dość wielkiego natłoku gości, bo jak to nad Sekwaną mówią, zaproszono *la ville et les faubourgs*, mimo że królowa Krystyna raczyła zaszczycić zgromadzenie swoją bytnością, mimo tego wszystkiego, bal się ten niekoniecznie udał. Nie wiadomo czy dla zaszłych jakich plotek, czy dla tego, że wszędzie i przy każdej okoliczności jenerał francuzki głośno mówi, że ma polecone sobie zaprowadzenie różnych reform, co wielce zraziło tutejszych panów, dość że towarzystwo arystokratyczne rzymskie jaśniało tam przez swoją nieobecność. Zaproszeni zaś a szczególniej damy wyszły w chwili gdy otworzono sale, do wieczerzy, dokąd wpuszczono tylko Królowę i jéj rodzinę, pozwalając innym cierpliwie czekać końca i cie-

szyć się królewskim apetytem. Zobaczymy jak się uda drugi bal, który przypada pod koniec tego miesiąca. Dzisiaj mamy wieczór tańcujący u *chargé d'affaires* Brezylii p. Figueiredo.

Obiecują nam także świetne bale u posła Austryackiego hr. Colloredo, którego tu grzeczność i prawdziwie pańską gościnność wszyscy wychwalają i gdzie pani domu, nasza rodaczka, z domu hr. Potocka, uprzejmością swoją wszystkich zniewala.

O teatrze nie warto wam wspomnieć: po złéj *stagione di autunno* nastąpiła najgorsza *stagione di carnevale.* Tenor Bocardi, to ulubione dziecko tutejszéj publiczności, wrócił nam, straciwszy zupełnie głos, a żona jego p. Albertini, dobra i ze silnym głosem śpiewaczka, nie przypada jednak do smaku rzymian. Dano dotąd „Roberta Devereux“ Donizettego i „Assedio di Leida“ Petrelli.

P. Petrelli nie dawno rozpoczął swój zawód kompozytorski i jest autorem opery „Marco Visconti“ z któréj aryę

„*O rondinella bella!*“

śpiewały całe Włochy przez dwa lata przeszło.

Londyn w styczniu.

Janus bożek starożytnych Rzymian, od którego oni piérwszy miesiąc nowego roku czyli styczeń „Januarius“ nazwali, ten bożek dwulicowy, trzymający świątynię swą otworem podczas wojny, przymknął w końcu po długiem szamotaniu się dyplomacyi, podwoje swego przysionka dla Europy. Nie będzie wojny ani o Neufchatel, ani o Bołgrad, ani o wyspę Wężową; wolno będzie Europie odetchnąć błogim pokojem. Ale za to Janus, nie zezwalając na długie świątyni swéj zamknięcie, roztworzył szeroko jéj podwoje w Azyi, i tam całopalenie i cześć odbiera w krainie Heratu, w Afganistanie, na odnodze Perskiéj i pod Kantonem w Chinach.

Dopóki nam pokoju używać wolno, cieszmy się nim. Mieliśmy przykład téj wesołości w stolicy Albionu. Przez całe ośm dni od Bożego Narodzenia do Nowego roku

mnóstwo było tu różnych zabaw, balów, koncertów, przedstawień teatralnych, a przytém nie mało gościnnéj uprzejmości między równemi sobie a dobroczynności dla ubogich, tak że ten tydzień świąteczny był dla wszystkich prawdziwemi godami. Na teatrach samych więcéj było wesołości w téj porze niż kiedykolwiek za lat przeszłych. Nieprzedstawiano tragedyj ani dram, ani nawet regularnych komedyj, gdyż i one byłyby na tę porę zbyt poważne: jeden tylko „Komus" w pantomimach krzątał się, uwijał, dziwaczył, śmiejąc się i rozśmieszając nawzajem. Osobliwy to rodzaj przedstawień teatralnych te pantomimy angielskie, na innych teatrach ledwie znane. Czem *Punch* i *Charivari* są w dziennikarstwie, tem pantomima w dramaturgii. W obręb jéj wchodzi to wszystko cokolwiek mimiką, gestami, postacią może być oddane, i co kaprysnością swą zdolne zadziwiać i śmiech obudzać; a do tego, codzienne sprawy życia, obyczaje i przywary ludzkie, historya i legendy, mitologia, świat duchów, gusła i czary, nastręczają nieprzebrane źródło. Osoby występujące w pantomimach czyli tak zwane *dramatis personae*, noszą fantastyczne ubiory, w maskach częstokroć okropnych, lecz zawsze zastósowanych do charakteru jaki przedstawiać mają. W zwyczajnych i najwięcéj lubionych pantomimach osobami takiemi bywają: *Pantalon* znoszący krzywdy i guzy jakie odbiera z cierpliwością i pokorą; *Clown* (gbur) wyobrażający prostaka, a z tem wszystkiem jak to mówią, z głupia frant; *Columbina* piękność tańcująca ale kapryśna; *Arlekin*, figlarz wyrządzający wszelkie psoty, śmieszności i błazeństwa. Ten ostatni w pląsach i wesoło świat przebiega; gdy przeciwnie nieszczęśliwy *Pantalon* wszystkiem się smuci i nic mu się nie wiedzie. Te osoby na wszystkich teatrach corocznie są przedstawiane i niejako stały kwartet w pantomimach angielskich stanowią. Przyczem, według treści i urządzenia sztuk przedstawianych, nie zbywa na przewracaniu koziołków, płataniu różnych figlów, na tańcach, skokach i baletach. Niektóre z tych pantomim bywają osnowane na znanych utworach, powieściach znakomitych pisarzy, i na historyi, jak to można widzieć z samych tytułów tych które tego roku były przedstawiane, zawsze jednak z parodyą pierwotnego tekstu i nakręceniem go na *burlesque*, tak

żeby wspomnione osoby *pantalon, gbur, kolumbina, arlekin* i podobni im bajace, w prawdziwych charakterach mogli swą rolę odgrywać, zwłaszcza że pantomimy te przedstawiają się najwięcej dla rozrywki dzieci podczas feryj szkolnych, a jeśli starsi na nie idą, to jedynie dla towarzyszenia dzieciom albo dla przypomnienia sobie własnych zabaw dziecinnych. I tak z tych niby wyższéj treści pantomim, najlepiéj podobały się „Aladyn i Cudowna Lampa“ rzecz wzięta z Tysiąca i jednéj nocy arabskiéj; „Wilhelm Tell“ z powodu teraźniejszych zatargów o Neufchatel, widocznie dla wzbudzenia współczucia dla Szwajcarów; „Konrad i Medora“, osnowane na „Korsarzu“ Byrona; „Przezorna Księżniczka“ osnowana na powieści: „*Jeune et Belle*“ przez hr. Murat; „Dzieci w lesie (*Babes in the Wood*), czyli Arlekin i Stryj okrutnik“, który je tam był wysadził, aby biedne, opuszczone umarły — osnowane z powieści nianiek, znanéj wszystkim dzieciom angielskim. Jako przedstawienia dla rozrywki dzieci wiele pantomim nosi tytuły ze znajomych dzieciom zabaw, powieści nianiek i piosnek nuconych dla nich, jako to: „*See Saw, Margery Daw*“ piosnka nucona przy huśtaniu dziecka na ręku aby je uśpić; „*Up and down*“ podrzucając je w górę i spuszczając na dół; „*Here the Lady rides*“ czyli „Pani tu jedzie“, które ze wszystkiem odpowiada naszemu: „Tak Pan jedzie“. Tak właśnie jak gdyby na polskich teatrach urządzając pantomimy dawano im tytuły z podobnych piosnek polskich: np. „Wlazł kotek na płotek“, „Wanda leży w naszéj ziemi“, „Lulaj dziecię“ i t. d. W takim razie naturalnie wiele zależy na tem, aby umiano z takich materyałów i zabawę i ukryty sens moralny wyciągnąć.

Angielskim dramaturgom to już się udało; teatra téż ich nigdy nie są tak przepełnione jak podczas feryj szkolnych, w czasie świąt, to jest kiedy pantomimy bywają przedstawiane. Młodzież lubi się zwracać do zabaw i wyobrażeń dziecinnych, i pamięć jéj lgnie do nich. Sceniczne takie przedstawienia przy przepysznych dekoracyach, cudnych przezroczach, sztucznéj maszyneryi i uroczem przystrojeniu widowni teatralnéj, powiększa pierwotne wrażenia i otacza je urokiem.

Nawet poważny Oxford odgrywał w dzień Bożego Narodzenia zwyczajną swą coroczną krotochwilę „Dzik“,

wprowadzając z wszelkiemi oddawna używanemi obrzędami głowę tego zwierzęcia lasów już przetrzebionych, do swéj jadalnéj sali w kollegium królewskiém—prawiąc do niéj oracye i wiersze łacińskie. Na obchodzie tegorocznym p. Rennison, jeden z alumnów uniwersyteckich, kandydat teologii, dopełnił obowiązku odśpiewania, przy pomocy chórzystów z kollegium Magdaleny, starodawnéj pieśni łacińskiéj, używanéj przy téj okazyi. Obchodzi się ta rocznica, jak niesie podanie, na pamiątkę uwolnienia jednego z uczniów uniwersytetu od napaści dzika w pobliskim lesie Shotover, jak się tam w scholastyczném zadumaniu przechadzał; a przez zwierza tego nagle napadnięty uratował się wrzucając mu do paszczy cały zwój pism Arystotelesa. Zwój utkwił w gardle i udusił dzika, a taki los podobno wielu już spotkał, co jego ksiąg ani połknąć ani strawić nie mogli. Ztądto wielka cześć przechowuje się w Oxfordzie dla Arystotelesa a szyderstwo dla dzika, któremu pisma jego w gardle stają. Głowę dzika ubierają strojnie na ten dzień, i wniósłszy ją z ceremoniami do sali, naturalnie z księgą Arystotelesa w paszczy — śpiewają z urąganiem szydercze *requiem*. Zdarzenie to z dzikiem miało się stać na stoku wzgórza Headingtongill, i to uroczysko nosi do dziś dnia nazwę: „Przechadzka Arystotelesa“, podobnie jak za naszych czasów w Królewcu miejsce gdzie sławny Kant zwykł się był przechadzać, nazwano „*Philosophen-Gang*“. Ileto uroczysk pamiętnych, oprócz starożytnéj góry smoczego Wawelu, nie nastręczyłby u was Uniwersytet Jagielloński, gdyby przewartowano jego dzieje, zebrano podania i legendy! Zachowawcze pióro J. Mączyńskiego, przemawiające tak czule w Wędrówkach Krakowskich za zabytkami dawnemi, podaje do tego mnogie upomnienia, skazówki. Z nich należy korzystać, póki czas, zawiść i głupota śladów ich niezatrze.

Wracając jeszcze do wspomnionych wyżéj pantomim jako nowéj gałęzi przedstawień teatralnych, czyżby i u nas nieznaleziono treści i przedmiotów do nich w historyi, podaniach i obyczajach ludu? A ponieważ pantomimy po większej części osnowane są na bajkach, baśniach ludu i wrodzonéj mu łatwowierności, czyż kraje nasze nie miały swéj bajecznéj historyi, guseł, zabobonów?

Czemuby Piast niemógł być godnie wyprowadzony na scenę z odwiedzinami trzech młodzieńców w bieli, pierwszych zwiastunów Chrześciańśtwa, i z ucztą sprawioną dla ludu w Kruszwicy? Czemu niemiałby podać stósownéj do nich treści Popiel, z całą zgrają myszy i szczurów, czyli dworaków, jak to Krasicki opisał w „Myszeidzie“, aby podać schlebstwo i zbrodnię w obrzydzenie? Cała mitologia polska i litewska z jéj bożyszczami, gusłami i obrzędami mogłaby nastręczyć przedmiotów do przedstawień mimicznych. Z pomiędzy nich „Rusałki“ podobno już były na scènie; takby inne wespół z obchodami i gusłami ludu należało wprowadzać na nią. W ten sposób zamiast przyswajania sobie obcych mało zrozumiałych tworów, położyłby się fundament do czysto narodowéj dramaturgii. Natrącam to tylko, gdyż rozszerzanie się nad tem przechodziłoby zakres korespondencyi zagranicznéj. Ocenienie i rozwinięcie tego przedmiotu więcéj do pisarzy krajowych należy.

Do przedmiotów o utworach wyobraźni, dodaję tu kilka słów o nierównie większych utworach przyrodzenia. Pomiędzy dziwnemi zjawiskami natury są Wulkany czyli góry ziejące ogniem. Zjawiska takowe, z natury swéj tak straszne na ziemi, muszą wydawać się tém straszniejsze i bardziéj zadziwiające, kiedy się zdarzą na szerokich oceanach. Wybuch właśnie takiego wulkanu z głębin morza, widziany był dnia 25 lipca zeszłego roku w cieśninie Onnimah. Znajdowało się tam wtenczas pięć okrętów, kiedy ów wulkan podmorski rozburzył całą powierzchnię morza, wyrzucając z swéj otchłani ogromną massę wody do niezmiernéj wysokości, a potém gorącą lawę i kamienie z popiołem, które spadały na pokład okrętów. Osobliwe to zjawisko otrzymało potwierdzenie, tak jak widziane było na morzu, od wielu naocznych świadków, którzy się wtenczas na statkach dla łowienia wielorybów tamże znajdowali. Przytaczam tu ciekawy opis jego, z listu p. Newell, kapitana statku „Alice Frasier“. Kapitan ten tak o nim pisze:

„Alice Frasier“ na morzu, dnia 30 paźdz. 1856 r.

Przepływając dnia 25 lipca, razem z kilkoma innemi okrętami przez ciaśninę Onnimah, spostrzegłem, że wierz-

chołki gór na przyległych wyspach zostawały pod wpływem wulkanicznego działania, ile że mocno dymiło się z nich, i gruby dym zaciemniał powietrze. Kiedy kilka statków i mój własny okrążyło jednę z tych wysp na zachód, ujrzeliśmy się u stóp wulkanu. Przypatrywaliśmy się z bliska strasznym jego wybuchom, mogąc od czasu do czasu słyszeć łomocący łoskot podziemny, i czuć trzęsienie ziemi. W tem wiatr który mieliśmy przyjazny i dość mocny, prawie nagle ustał; brak wiatru niedając nam ruszyć z miejsca i oddalić się od przylądka, wystawiał nas niemal na zatracenie od wulkanicznego wybuchu. Przez kilka godzin nie było zmiany, a jeśli jaka była, to na gorsze. Wzburzenie żywiołów w głębi ziemi było coraz silniejsze, złowróżbny odgłos jego odbijał się w powietrzu. Nakoniec nastała zupełna cisza, ale taka cisza, że gęsty czarny, podziemny dym z czeluści krateru kłębem wybuchnął wprost pod niebiosa— co było dla nas pocieszającym znakiem i nadzieją, że przecież doczekamy się zmiany powietrza; poczém ten kłąb dymu rozsypując się zwolna na zimne siwe chmurki spadał na dół popiołem jak krople dżdżu, albo raczéj płaty śniegu. Jakoż istotnie, po dwunastu godzinach ciszy, zawiał wietrzyk od południa, jakby na uratowanie nas od tak niebezpiecznego sąsiedztwa. Nie czekaliśmy téż długo, ale natychmiast rozpięliśmy żagle, aby ani chwilki nie stracić.

Lecz to co potem nastąpiło, było daleko gorsze. Wiatr bowiem działając z góry na dym, spędził całą jego masę na powierzchnię wody; na 100 przeszło mil wszerz, jak się późniéj od innych dowiedziałem, zaciemniały morze, wyspy i cały widnokrąg. Popiół bezustannie sypał się na nas jak zamieć śniegu, pokrywając jakby siwym pokrowcem cały pokład okrętu i wszystko co było na nim; w końcu tak był gęsty, że oślepiał majtków, i ledwie nie odejmował im dech · do tego stopnia, że zdawało nam się, iż mieliśmy drugą widownię Herkulanum i Pompei przed sobą i lękaliśmy się by nasz okręt niedoznał gorszego losu niżeli Pliniusz z flotyllą swą wówczas w przystani neapolitańskiéj. W miarę jak wiatr silniéj się wzmagał, staraliśmy się brać w bok ku zachodowi, aby się wydobyć z téj massy duszącego dymu, sunącéj się po morzu ku północy. Skorośmy się

szczęśliwie z niéj wydobyli, jęliśmy się myć i skrobać pokład i cały okręt z téj warstwy narzuconéj popiołu, co nas niemało pracy kosztowało. Widziałem ja kilka wulkanów podczas ich wybuchów, ale w porównaniu z tym, były one tylko jakby czeluścią kowalską.

Na tem nie koniec, cała wzniosłość zjawiska zostaje jeszcze do opisania. Wiatr wzniósł się silny, i cztery innych okrętów nadpłynęło ku nam. Okrążając od północy wspomnioną górę, w chwili gdy się zapatrywali na wzburzenie jakie się działo wysoko na niéj, poczuli jakby stłumiony a przedłużony huk grzmotu w morzu pod sobą, a prawie w téj saméj chwili i ledwo niejednocześnie z tym hukiem, ogromny wybuch wulkaniczny powstał z samego morza. Naprzód woda jakby zawrzała, wzniosła się w zamęt bałwanów, a potem jakby siłą jakiéj wewnętrznéj fontanny parta, spiętrzyła się wspaniałą kolumną do wielkiéj wysokości. Ta kolumna potem rozprysła się i opadła. Poczem z tego samego miejsca ku niebu z hukiem grzmotu, jak gdyby chciał sklepienie jego rozerwać, wybuch ognia z dymem wyparł się na wierzch, jakby już go za wiele miała ziemia w swych wnętrznościach i chciała go się pozbyć. Nastąpił potem wylew lawy, wyrzuty okopconego kamienia tak drobnego jak również w ogromnych bryłach; wiele z nich dosięgało okrętów na wielką trwogę drużyny okrętowéj, by jéj nie wysadzono podmorską siłą w powietrze lub nawałem kamieni nie zarzucono. Na szczęście, to działanie przechodziło stopniowo i niedługo trwało; wybuch bowiem jak powstał gwałtownie, tak równie nagle minął. Woda ze wszech stron zbierając się, wcisnęła się wirem w wypróżnioną otchłań i zalała ją. Wirowi temu spadającemu w podmorską otchłań wulkanu, chyba tylko Maelstrom (norwegski) mógłby wyrównać, a rozlegający się odgłos jego niewiele różnił się od spadku Niagary jak się go słyszy ze skały „Table Rock.“

Okręty w końcu odpłynęły w całości bez uszkodzenia. Zostawały one w obec tego zjawiska dość długo, tak że świadkowie jego mogli się dostatecznie przekonać, iż ono przechodzi przez pewien szereg zmian, gwałtownych i spokojnych naprzemian, trwających to dłużéj to krócéj, w czasach niepodobnych do oznaczenia.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Zbieranie wiadomości literackich nie jest tak łatwe, jakby się zdawało, bo nie wszystko co się podaje, bywa z pism publicznych brane. Ażeby podobna kronika wiadomości miała interes i niosła rzeczywisty pożytek, trzeba o niejedno pisać, dowiadywać się, szukać. Nicby nie było dziwnego, żeby czytająca publiczność nie wiedziała w jaki sposób powstaje taka Gazetka, ale Redakcyom dzienników nie musi to być tajno — dla czegóż więc pewne pismo peryodyczne Warszawskie przedrukowując sobie wszystkie wiadomości z Gazetki naszéj, niepowiada przynajmniéj że to wzięło z *Dodatku do Czasu*. Przecież to nie o wielką rzecz idzie, tylko o podanie źródła; co nawet daleko łatwiej niż, komponować haczyki, krzyżyki i paragrafy mające oznaczać: że te wiadomości pochodzą wprost od korespondentów owéj Gazety. Jeżeli zaś niemiłe byłoby dla tego dziennika cytowanie *Czasu* lub jego *Dodatku*, loika powiada że nierównie większym wstrętem nabawiać go powinny artykuły w *Dodatku* lub *Czasie* zawarte.

—Księgarnia Jul. Wildta ogłosiła temi dniami prospekt na *Czytelnię Domową*. Pod tym ogólnym tytułem wychodzić będą cełujące płody literatury niemieckiéj, francuskiéj, angielskiej, szwedzkiej, rosyjskiéj, węgierskiéj, czeskiéj i t. p. Publiczność pozna się z imionami takich pisarzy, jak: L. Schücking, B. v. Gusek, Gutzkow, Teodor Mügge, Laube, Prokesch v. Osten, König, Paalzow, Edm. About, Bernard, Montepin, Karr. Sandeau, niemniéj Beecher Stowe, Dickens, Thackeray. Poe, Cantu, Bremer, Flygare - Carlen, Jokai, Eotvis, Josika, Gogol, Sołohub, i t. d.— Publikacya rozpocznie się przekładem słynnego romansu pani Beecher Stowe pod napisem: *Dred*. Cena nadzwyczaj przystępna—bo 12 tomików kosztować tylko będzie 5 fl. mk.

—Kiedy w różnych stronach kraju naszego zręczni rysownicy wydają albumy widoków mniéj może malowniczéj natury, jak nasza Podgórska lub Karpacka, u nas nie pokazywało się nic godnego wzmianki. Dopiero teraz właściciel znanych wód Szczawnickich p. Szalej, sam artysta, przedsięwziął wydać *Album Szczawnicy* podług rysunków własnéj roboty. Wykonanie na kamieniu powierzone zostało znakomitemu zakładowi litograficznemu wiédeńskiemu pp. Rösch i Reifenstein. Niebawem ukażą się dwa pier-

wsze zeszyty złożone z ośmiu widoków opatrzonych historycznym textem: 1. Zakład kąpielny Szczawnicy, 2. Wieś Frydman, 3. Widok zamku Czorsztyna, 4. Widok zamku Niedzicy, 5. Widok cmentarza Czerwonego klasztoru, 6. Zamek Lubownia od zachodu, 7 Tenże od południa. 8. Podoleniec z klasztorem OO. Pijarów. — W dalszych zeszytach mają być następne widoki: Czerwony klasztor — Skały Grabczycha—Zatoka Dunajca pod Bereztykiem — i pod skałą Faćmich — Skałka Czerwona w Pieninach — Piennicki potok i zamek ś. Kunegundy — Sokolica w Pieninach — i drugi jéj widok od Studzinek.

—W. Wielogłowski, właściciel Księgarni i Wydawnictwa ksiąg katolickich piątym i szóstym zeszytem zawierającym *Grzeszni rodzice* i *Występne dzieci* oraz *Naradę gromadzką*, ukończył pierwszą seryę Obrazków z obyczajów ludu wiejskiego, które zanim ukończone zostały doczekały się drugiego wydania. Teraz niebawem ukażą się obrazki Domownictwa wiejskiego, i zawierać będą pojedyncze figury folwarcznego świata: gospodynię, fornalów, gajowych, polowych, kowala cieślę, młynarza, i t. d. Po tych pójdą obrazki z domownictwa dworskiego jak: panna służąca, garderobianna, pisarz, ekonom i t. d. Będzie to jedném słowem najzupełniejsza galerya wieskowego świata, narysowana z wiernością flamandzką.

—Prof. prawa kościelnego i Dr. praw F. Słotwiński wydał u Budweisera dwie rozprawki: *Dzieje* powszechnego soboru Trydenckiego — i o nauce Rongego i Czerskiego.

—W Drukarni *Czasu* wyszedł już 9ty tom *Historyi Lit. Polskiéj* Wiszniewskiego, a oraz i 10ty obejmujący dokładny spis nazwisk i przedmiotów dotkniętych w 9ciu tomach.—Również ukazało się oddawna zapowiedziane dzieło Ant. Zyg. Helcla: Pomniki prawodawstwa polskiego—jest to 1szy tom in 4to obejmujący 80 kilka arkuszy druku.

—W Niemczech zajmują się teraz przekładem rzeczy polskich i tak w Stuttgardzie wyszedł Dworzanin Górnickiego pod tytułem: *Der Polnische Demokrit als Hofmann* — nazwiska tłumacza niema. — W Lipsku ukazał się przekład Żywotu Adama Mickiewicza napisanego przez L. S. — autorem przekładu jest P—m.

—W pięknym zbiorku niemieckich poezyi *Cameen* przez W. Constant, wydanym w Düsseldorfie— znajdujemy udatny przekład *Farysa* Mickiewicza. Jest to pióro to samo, co napisało cudny poemat: *Von einer verschollenen Königstadt*, którego to poematu ukazało się w Hamburgu, drugie poprawniejsze wydanie.

—W Rzymie wydrukowano książeczkę z Nabożeństwem do N. Panny Żyrowieckiéj p. t. *Apparecchio di Nove giorni precedenti alla festa della Nativita di Maria Vergine, che si celebra ogni anno per lo scoprimento e transporto dell' Imagine della Madonna Stessa detta del Pascolo—Roma 1856.*

Sanok. Biblioteka polska tamże wychodząca ciągle, wydała teraz: *Zyciorysy* niektórych poetów i uczonych p. Brodzińskiego; *Elegie* łacińskie Kochanowskiego w przekładzie Brodzińskiego — i Trajedyę *Jephtes* Zawickiego, która wiele ma zalet z układu i języka, chociaż jest bardzo cennym przekładem z łacińskiego pierwotworu Buchanana. Ważnym także jest przedruk pisemka wiele cenionego przez historyków; *Rozmowy umarłych polaków*; ma to być utwór Jana

Jabłońskiego znakomitego męża w ostatnich latach panowania Sobieskiego i Augusta II — Wydawnictwo to ma przejść zupełnie jak słychać, w ręce p. Turowskiego.

Lwów. U Pillera wyszła książka p. t. *Wiadomość historyczna o statui* alabastrowéj N. Maryi P. Jackowéj łaskami słynącéj p. ks. Donata Piątkowskiego zakonu kaznodziejskiego. Jest to ta statua którą ś. Jacek Odrowąż z Kijowa do Halicza w r. 1238 przyniósł, i która się aż do dzisiaj w kościele OO. Dominikanów lwowskich zachowuje. W pracy ks. Piątkowskiego jest wiele ciekawych szczegółów do dziejów dominikańskich w Galicyi. Dodane są przytém urzędowe akta świadczące o autentyczności statui.

Praga. W tych dniach wyjść ma w Pradze pierwszy tom historyi Braci czeskich przez prof. Giudely, dzieło ważne również do historyi polskiéj, gdyż wiele rodzin téj sekty religijnéj prześladowanéj w Czechach, Morawie i Szląsku wyniosło się do W. Polski i Prus polskich, zwłaszcza po powstaniu r. 1547. Prof. Giudely jak zapewnia *Bohemia* zbierał materyały do swojéj historyi także w Poznaniu, a przytem archiwa w Berlinie, Holandyi i po wielu innych miejscach, także w osadzie Hernhut wielce mu posłużyły do napisania tego dzieła. Całe dzieło obejmować ma dzieje reformacyi i rewolucyi w Czechach od czasów husyckich do bitwy pod Białą górą. Pierwsza część traktować ma o Braciach czeskich, druga historyę całéj reformacyi, a trzecia powstanie 1618 r.

Drezno. Karol Lipiński wydał w Dreznie nakładem Wilhelma Paul wszystkie 83 kwartety Haydna na 2 skrzypce, altówkę i basetlę, przejrzał i opatrzył znakami tempo; 3 tomy o 25 zeszytach, cena prenumeraty 25 tal., zeszyt jeden 2 tal.

Poznań. Do Dod. Tyg. Lwow. piszą: „Uczeni nasi rodacy w Wielkiem księstwie poznańskiem postanowili zawiązać u siebie Towarzystwo Przyjaciół nauk, aby połączonemi siłami tem skuteczniéj działać na wzrost piśmiennictwa ojczystego. W tym celu wypracowano i odczytano projekt do ustaw na posiedzeniu dnia 13 grudnia r. z. odbytem w mieście Poznaniu. Wybrano na tem posiedzeniu komisyę, składającą się z hrabiów Działyńskiego i Raczyńskiego, z doktora Mateckiego, sędziego Motego, i profesora Rymarkiewicza. Komisya ta ma zdać sprawę na dniu 12 stycznia r. b. z owego projektu, i w tymże dniu zawiązać się ma formalnie towarzystwo i rozpocząć swoje czynności. Według tego projektu są członkowie obowiązani dostarczyć na rok przynajmniéj dwa arkusze prac oryginalnych, albo zapłacić 1200 złotych polskich jednorazowo, lub w sześciu ratach co rok po 200 złpol., albo na koniec wkładać rocznie po 30 złpol. prócz abonamentu na pismo towarzystwa. Pismo to pobiera darmo reszta członków Towarzystwa dopóki pełni obowiązki; takie zaś osoby, które zapłaciły 200 talarów czy to jednorazowo, czy w ratach, pobierają je przez całe życie.

Towarzystwo dzieli się na trzy wydziały: 1) historyczny, 2) lingwistyczny, 3) filozoficzny, z których każdy równie jak i administracya co 4 tygodnie odbywa swe posiedzenia taką koleją, że co tydzień w środę o 6 godzinie w wieczór odbędzie się posiedzenie szczególne, zaś ogólne co kwartał.

Projekt ten wywołał wielki interes i współudział ziomków,

zgromadzenia wstępne były bardzo liczne.

Zebrany tym sposobem fundusz chce pomienione Towarzystwo przeznaczyć na wydanie dalszych tomów „Pomników dziejowych Polski“ (*Monumenta Poloniae historica*), których tom pierwszy nakładem Wiktora hr. Baworowskiego drukować się będzie we Lwowie w tym roku. Towarzystwo Przyjaciół nauk Poznańskie uznaje program wydania tych pomników, w roku 1852 we Lwowie ogłoszony, za najstósowniejszy i do niego oraz do mającego wyjść we Lwowie tomu pierwszego Pomników zastósować się chce w swem przedsiębiorstwie.

Kazimierz Szulc, doktór filozofii i nauczyciel przy gymnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, jeden z członków zawiązującego się tamże Towarzystwa Przyjaciół nauk, którego rozprawa o starożytnych Illirach powszechną pochwałę znawców zyskała, drukuje obecnie rozprawę pod tytułem: „O uroczystościach i wyobrażeniach bałwochalczych naszego ludu, z powodu prac Lelewela: „Bałwochwalstwo Słowian“, i Berwińskiego: „Studya nad literaturą ludową.“

Tenże ma już w części przygotowane do druku następujące prace: 1) Porównanie pierwotnych instytucyj Słowian z instytucyami Trakoilirów. 2) O budowlach cyklopijskich. 3) Napisy barbarzyńskich ludów Azyi Mniejszéj porównane z napisami półwyspu Dunajskiego. 4) Podania o Piaście, Krakusie, Wandzie i Rytygierze, odmiennie niż dotąd wyłożone.

— „Przeglądu Poznańskiego“ wyszedł poszyt 3, 4 i 5 za rok 1856 i zawierają następujące przedmioty: 1) Specimens of the Popular Poetry of Persia. 2) Życie Kajet. Koźmiana. 3) De la Conaissance de Dieu P. A. Gratry. 4) Wiadomości bieżące *a)* Piśmiennictwo: Rozprawy towarzystwa c. k. galicyjskiego Tom XIX. Poezye J. Prusinowskiego, Apolla Nałęcza Korzeniowskiego komedya, Anna Oświęcimowna przez M. Bołoz Antoniewicza, Dumy historyczne A. Morgenbessera, Poezye J. Danielewskiego, Noc strzelców w Anatolii K. Brzozowskiego, Izajego Tegnera Fritjofowa Saga, przekład L. Jagielskiego, Komedye L. Niemojowskiego, Obrazy z pisma świętego przez tegoż. Rozprawy do doktoratu z przedmiotów historycznych. La Russie sera-t-elle catholique p. J. Gagarin. Niewiasta katolicka, dalszy ciąg niewiast Ewangelii p. O. J. Venturę. Miłosierdzie i nędza w Paryżu przez ks. Mullois. *b)* Nekrologi; Ewaryst Estkowski, Tymoteusz Lipiński, Jan Motty, Christian Bartholomèss, Tomasz Attwood, Dr. Buckland, Sir Ryszard Westmacott, Gilbert A'Beckett, Sir John Ross. Sprawy publiczne. Kronika religijna. Bibliografia katolicka.

W końcu czytamy odezwę redakcyi do prenumeratorów osnowy następującéj: dla przeszkód drukarskich niemożemy w roku bieżącym ogłosić więcéj, jak pięć numerów stanowiących jeden tom.

W następnym r. 1857 „Przegląd“ wraz z „Kroniką rol.“ wychodzić będą jak zwykle co sześć tygodni.

— Co dopiero opuściło prassę dzieło we względzie historycznym ważne pod tytułem: Rys historyczny miasta Dolska i jego okolic, połączony z ważniejszemi szczegółami historycznemi byłéj dyecezyi a teraz archidyecezyi poznańskiéj wydany przez ks. Jana Jabczyńskiego kanonika metropolitarnego poznań-

skiego, byłego oficiała archidyecezyi poznańskiéj. Dzieło to zawiera: Okres I, wiadomości wstępne o wsi Dolsku i jéj okolicach przed połową wieku XIV. §. 1. Wiadomości wstępne o wsi Dolsku i jéj okolicach. §. 2. Książęta panujący w Wielkopolsce od czasów Bolesława Krzywoustego i jéj podziały. §. 3. Stan religijny i oświata w Wielkopolsce w tym okresie. §. 4. O Biskupach poznańskich. §. 5. O dobrach i innych dochodach biskupów poznańskich. §. 6. O przywilejach dóbr kościelnych i biskupich. §. 7. O kościołach w Dolsku i jego okolicach. §. 8. Dokumenta na niektóre wsie biskupie położone w okolicy Dolska. — Okres II. Założenie miasta Dolska i jego stan od połowy wieku XIV, do końca wieku XVI. §. 9. Przywiléj króla Kazimierza W. na założenie miasta Dolska z roku 1359. §. 10. Drugi przywiléj króla Władysława Jagiełły na miasto Dolsk z r. 1403. § 11. O kościołach parafii miasta Dolska w tym okresie. §. 12. Stan funduszów biskupstw poznańskiego w tym okresie, w ogólności. §. 13. Stan materyalny miasta i klucza dolskiego w tym okresie, w szczególności. Okres III. Stan miasta Dolska i jego okolic od początku wieku XVII, do końca wieku XIX. §. 14. Stan religijny i moralny miasta Dolska w tym okresie. §. 15. Stan materyalny miasta Dolska i jego okolic w tym okresie. Oprócz wydawnictwa powyższego dzieła zajmuje się tenże obecnie zbieraniem źródeł z archiwów kapitulnych celem wydania historyi biskupów dyecezyi poznańskiéj.

Warszawa. Styczniowy zeszyt Biblioteki Warszawskiéj mieści następujące artykuły: *August Wilkoński.* Wspomnienie, przez K. Wł. Wójcickiego. *Złota legenda Henryka Longfellów.* Przełożył z angielskiego F. Jezierski. — *Przegląd literatury angielskiéj.* Literatura angielska. Rzut ogólny. — Reakcya. — Pani Stowe. — Afryka. — Druzowie Libanu. — Życie Waszyngtona. — *O stosunkach wzajemnych właścicieli dóbr i włościan w Królestwie Polskiém.* Przez Antoniego Cyprysińskiego. — *Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna.* Biografowie i biografie. — Les Faux Bons-Hommes, komedya we czterech aktach Teodora Barriére. — La Tour Saint-Jacques la Boucherie, pięcio-aktowa melodrama Alexandra Dumasa et compagnie. — Wiadomości literackie. — *Kronika literacka.* Ocenienie stanowiska p. Feliksa Żochowskiego w umiejętności językowéj, oparte na jego Mowni i odpowiedzi danéj ks. Malinowskiemu, wraz z podaniem rysu nowego systemu koniugacyi słowiańskiéj. Przez ks. Franc. Xaw. Malinowskiego. — Hieronim Radziejowski i Mikołaj Zebrzydowski. Przez X. M. — Pamiętniki Komissyi archeologicznéj. Część I. Wydana pod redakcyą Michała Balińskiego i Ludwika Kondratowicza. Wilno 1856. Przez K. Wł. Wójcickiego. — *Rozmaitości.* Początek ikonografii naszéj. W opisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z blach miedzianych, które przedstawiają wizerunki królów polskich i znakomitych mężów; tudzież śś. Patronów naszych i błog. Polaków. Dodane są prace rytowników naszych i inne tu należące przedmioty. Przez Ambrożego Grabowskiego.

Taż Biblioteka w doniesieniach swoich literackich podaje wiadomości z których robimy następujące wyjątki:

Józef Korzeniowski wykończył komedyą we trzech aktach wier-

szem p. n.: „Młody mąż“.—J. I. Kraszewski wkrótce nadeśle powieść, któréj treścią jest Gertruda Komorowska, ta sama, któréj pamięć piérwszy obudził Antoni Malczewski w swojéj Maryi. Wydawcy Warszawscy nowych edycyj Maryi zgłaszali się do p. Zakrzewskiego nauczyciela w Kielcach, który miał posiadać w odpisie dwie tragedye Malczeskiego: Helenę i Samuela Zborowskiego. Pokazało się teraz, że p. Zakrzewski tych odpisów nie ma, i że ta wiadomość umieszczona w życiorysie poety (w dziele: Cmentarz Powązkowski pod Warszawą) jest najprawdziwsza, iż na kilka miesięcy przed zgonem swoim Malczewski wszystkie swoje papiery spalił, i jak sądowe śledztwo wykryło po jego śmierci: „żadnych nie znaleziono papierów“.

— F, S. Dmochowski obecnie pracuje nad wykończeniem swoich Pamiętników z zawodu literackiego, które w osobném dziele zamierza ogłosić. Będzie to wielce zajmująca i nauczająca praca, szczególniéj owa chwila przełomu, kiedy tak zwana klassyczność ustąpić z pola zmuszoną została. F. S. Dmochowski w téj walce z romantykami ważny sam miał udział, a wszystkich piszących w Warszawie stale mieszkających, jak i chwilowo przebywających, miał sposobność jednych bliżéj poznać, z drugiemi żył w ścisłych znajomości i przyjaźni stosunkach. Gładkie i wprawne pióro tego pisarza, przy ważności faktów i obfitości szczegółów albo mało znanych, lub wcale nieznajomych, zapewnia temu dziełu dobre przyjęcie i upowszechnienie. Pragnęlibyśmy, ażeby autor nie usuwał ze swéj pracy strony anegdotycznéj, i mnóstwa owych drobnych szczegółków, które tak doskonale malują ludzi tamtego okresu, a w niejednym żarciku, dowcipie, znajdzie czytelnik mocny rys charakterystyczny. Obszernych rozmiarów może to być dzieło, jeżeli F. S. Dmochowski zechce nam czasy i literatów odmalować od ostatnich lat Księstwa Warszawskiego do r 1830.

—Księgarz K. Bernstein ogłosił w taniém wydaniu broszurkę p. n. „Klejnoty poezyi polskiéj“ wybrane z dzieł najznakomitszych tegoczesnych poetów. Od niedawnego czasu spostrzegamy szczególnie pochopnych naszych wielu księgarzy, do ogłaszania drukiem pism takich, za które nie czują się w obowiązku zapłacenia honoraryum autorom. Widzieliśmy takie współzawodnictwo w wydaniu kilku naraz edycyj Maryi Malczeskiego, teraz zjawiają się wybory poezyi. Zawsze to trochę godziwsze, jak owa piraterya księgarska, która grassowała przed kilką laty. Wtedy autorów naszych będących za granicą pojawiały się przedruki całych dzieł kilkotomowych, albo wyjątki obszerne najpiękniejszych poetycznych utworów. Opinia publiczna powstrzymała już nieco to łupiestwo księgarskie.

—Ksiądz Adam Stanisław Krasiński kanonik katedry wileńskiéj, bawiący w Petersburgu, w nader ozdobném i staranném wydaniu, z rycinami, wydał nowy przekład wierszem, zabytku starożytnego: „Pieśń o półku Igora“. Wiadomo, że jeden z pierwszorzędnych naszych poetów badaczy dziejowych przełożył wierszem ten pomnik poezyi starosłowiańskiéj. August Bielowski dał piérwszy poznać rodakom arcydzieło nieznanego piewcy. Przekład jego wierszem liczył się do znakomitszych utworów w literaturze naszéj. Do tego dołączył wierne tłumaczenie prozą.

— Zapowiedziane „Bajki, po-

wiastki, obrazki i wierszyki moralne dla dziatek różnego wieku". Tomasza Minasowicza, wyszły z druku nakładem księgarza Zygmunta Szteblera, w starannéj i ozdobnéj edycyi. Autor, młodość spędziwszy w służbie b. wojska polskiego, a następnie oddany pracy rolniczéj, wolne chwile poświęcił pisaniu tych bajek i powiastek, tak łatwo a wdzięcznie przylegających do umysłów młodocianych. Wiedziony piękną myślą, dążył do szlachetnego celu, aby surową naukę moralną, podać w dostępnéj i miłéj postaci dla dziatwy naszéj.

— Otrzymujemy wiadomość z Wilna, że badacz dziejów naszych Edward Kotłubaj, zamierza ogłosić drukiem: „Galerją Nieświezką". Text da nam obszerne życiorysy przemożnego domu książąt Radziwiłłów, a wizerunki w drzeworytach dołączone zostaną. Nad drzeworytami temi pracuje Michał Starkman, wydawca „Kościołów Warszawskich".

— Ant. Wieniarskiego wkrótce wyjdą: „Szkice towarzyskie i obyczajowe: Warszawa i Warszawianie". Dzieło we 2 tomach, nakładem księgarza Bernsteina.

—Tegoż autora komedya we 3 aktach p. n. Warszawiany i Hreczko-ieje, ma być wkrótce przedstawioną na Teatrze Rozmaitości Dobre przyjęcie dwóch sztuk: „Ulicznika Warszawskiego" i „Nad Wisłą". zachęciło autora do prac nowych na polu dramatycznem.

—Nakładem i drukiem S. Orgelbranda księgarza i typografa, wyszło dzieło p. n „Zarysy filozofii katolickiéj w czterech poglądach zawarte, przez Eleonorę Ziemięcką, poświęcone pamięci ks. Ignac. Hołowińskiego. W przedmowie autorka pisze: „Wydając to dziełko, nie możemy się wstrzymać od wyrażenia najżywszéj wdzięczności naszéj JW. prałatowi Wiktorowi Ożarowskiemu, JW. prałatowi Janowi Dekert, oraz W. X. kanonikowi Olszańskiemu professorowi filozofii w Akademii duchownéj Warszawskiéj, za staranne przejrzenie téj pracy i światłe uwagi. Miło nam, że możemy poszczycić się takiém świadectwem, i cieszymy się zarazem, że świadectwo to ma dziś taką powagę dla czytelników: niech ono nam wyjedna łaskawe przyjęcie pracy naszéj i niech czystość naszych intencyj, sumienną usilność w zgodzeniu wiary z nauką, osłonią niedostateczność, jakiéj świecki pisarz, a mianowicie pisarz-kobiéta, pracujący w takich przedmiotach, uchronić się nie jest w stanie. Szczéra chęć odpowiedzenia naszemu zadaniu, jest jeszcze powodem, że mniéj dbaliśmy o doskonałość formy, chętnie wielostronne względy nastręczające się myśli naszéj, uzupełniając przypiskami. Poznawszy różne drogi wiedzy ludzkiéj, lękaliśmy się wszelkiéj dwójznaczności, chcieliśmy dokładnie przekonania nasze uprzytomnić, i dla tego uboczne wyjaśnienia zdawały nam się godnemi uwagi czytelnika. Ostrożność ta tém była potrzebniejszą, że w dziełku tém chcieliśmy niejako położyć zasady nauki, którą następnie w tym samym duchu, w osobnych pracach rozwijać zamierzamy". Znany wdzięk pióra pani E. Ziemięckiéj, jasność wykładu i powaga przedmiotu, nie wątpimy, że pociągnie ku sobie wielu czytelników.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz.—Antoni Czapliński Rząd. Druk.